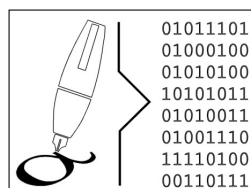


**Joanna Chmielewska**

**Babski motyw**

**2003**



— Ty, słuchaj — powiedziała już w progu mojego domu wracająca ze służbowego spotkania Martusia. — Jakaś baba leży pod wierzbą koło twojego śmietnika. To śmietnik chyba, nie?

Rzuciłam okiem w kierunku wierzby. Ściemniało się już nieco.

— Teoretycznie śmietnik, chociaż nie mam jeszcze umowy ze śmieciarzami. Bo co?

— Bo mówię, baba leży.

— No to co?

— To może powinno się coś zrobić? Może ona pijana?

Wciąż jeszcze sens informacji do mnie nie docierał. Zła byłam.

— No i cóż takiego, żałujesz jej? Niech sobie wytrzeźwieje w zieleni. Nikt jej tam chyba nie przejedzie? Wzdłuż leży czy w poprzek?

Martusia z roztargnieniem rozejrzała się po przedsionku, powiesiła torbę na wieszaku, rzuciła na szafeczkę stos teczek i zaczęła zmieniać własne obuwie na moje ranne pantofle.

— Tak jakoś geometrycznie zgięta. Ale nie, daleko nie wystaje. Słuchaj, czy ciebie to wcale nie obchodzi? Ostatecznie to jest twój dom, twój śmietnik i twoja wierzba!

— Wierzbie nie zaszkodzi, w środku rośnie. A co do baby...

Zawahałam się. Gdybym nie była taka zła z różnych przyczyn, zainteresowałabym się z pewnością normalnie, jak człowiek. Ale złość jeszcze we mnie tkwiła solidnie i byłam przeciwna światu, babie, a nawet własnej wierzbie, która, jak Bóg na niebie, żadnych złośliwości nigdy mi nie robiła. No, poza tym, że raz spróbowała walnąć mnie w oko, tu jednakże zawiniłam raczej ja.

Martusia niezdecydowanie utkwiła w progu kuchni.

— A może byś ją chociaż poszła zobaczyć? Bo potem będzie, że ja mam jakieś zwidy albo co. Gdyby leżała u mnie, przynajmniej wyjrzałabym przez okno.

— Przez moje okno tamtego miejsca nie widać. No dobrze, mogę spojrzeć...

I nagle ożywiłam się.

— Czekaj, zrobię jej fotografię! Na wszelki wypadek. Żeby nie było, że też latają po mnie zwidy, a poza tym dosyć mam już tego zajmowania parkingu pod moim ogrodzeniem! Gdzie aparat...?

Obie wyszłyśmy na zewnątrz w rannych pantoflach, na szczęście było sucho, a śmietnik znajdował się o dziesięć metrów od furtki. Aparat fotograficzny otworzyłam po drodze.

Rzeczywiście, pod drzwiczkami mojego śmietnika leżała trochę skulona postać ludzka, robiąca wrażenie kobiety. W czarnych spodniach, czegoż te baby tak uporczywie noszą spodnie...? Wpadły w szal na tle emancypacji, niech im będzie, chcą rządzić, też niech im będzie, ale do rządzenia wszak służy całkiem inna część ciała, nie ta od spodni, mogłyby rządzić i w kieckach... Rude włosy zasłaniały jej twarz, a spod spodni wystawały pantofle na wysokich obcasach, a...! To stąd wrażenie kobiety, włosy o niczym nie świadczą, ale na takich obcasach mężczyźni jeszcze nie chodzą. Chwalić Boga, nie potrafią, dobre i tyle... Zrobiłam dwa zdjęcia, błyskając fleszem, po czym, z dużym oporem, zgodziłam się pomyśleć. Martusia stała za moimi plecami.

— Ona jakoś źle wygląda, wiesz? — zakomunikowała z niesmakiem. — Jeśli jest chora, będziemy robić za nieludzkie potwory.

— Jeśli nie jest przestępczynią, humanitaryzm w stosunku do niej nie obowiązuje ani nas, ani nikogo — odparłam zimno. — Tylko złoczyńcę w tym kraju należy oszczędzać, chronić i ratować. Mogę gdzieś zadzwonić, o ile ta parszywa komórka z czymkolwiek mnie połączy. Musiałaś ją zobaczyć?

— Nie — wyznała Martusia natychmiast. — Ale jakoś wpadła mi w oko i z ciekawości podeszłam...

— A mało że wierzba zwisa, to jeszcze zielskiem przykryta. To piołun i lebioda, sama je wyrwałam z tej górki piasku, którą widzisz, piasek mój, i wcale nie piasek, tylko tak zwana ogrodnicza ziemia.

— I przykryłaś ją...?

— Kogo? Tę ziemię?

— Nie. Tę facetkę.

— Naprawdę myślisz, że ona tu leży od trzech tygodni? Zielska wyrwałam trzy tygodnie temu! Widzisz przecież, że suche!

— Ja się nie znam na zielskach — westchnęła Martusia żałośnie. — Ale masz rację, że zasłaniają. Trochę.

Stałyśmy przez chwilę, wpatrzone w leżącą postać.

— Tadeusz dzisiaj będzie? — spytała nagle Martusia.

— Będzie, cholera, ale późno, już był i pojechał, dlatego jestem wściekła, drugi raz muszę autoryzować kretyństwa. Witek też będzie, czego on mi truje alarmami, czy tych rzeczy oni nie potrafią załatwić beze mnie...?!

— Przecież to ty musisz zapłacić!

— No to zapłacę, czyś ty widziała, żebym ja dzień w dzień żarła kawior, bażanty w maładze i ostrygi...?!

— Ostrygi widziałam...

— Przecież nie tu! We Francji! Nad Atlantykiem! Tam są tańsze niż kartofle!!!

— Są, są, z pewnością — zgodziła się Martusia pośpiesznie — ale co to ma do rzeczy?

— A to, że na żarcie nie wydaję! Futro u mnie widziałas?!

— Nie wiem, czy tę kurteczkę można nazwać futrem...

— Po kosmetyczkach nie latam, odzież mam w nosie, na biżuterię kicham, dzikich ryków muzyki rąbanej za próg domu nie wpuszczę, pół litra wódki stoi u mnie trzy lata, a szampan leży od zeszłego roku! To na co ja mam wydawać pieniądze...?!

— Piwo... — podsunęła Martusia nieśmiało.

— Zgłupiałaś? Ile tego piwa? Trzy cysterny?! I gdzie je zmieszczę? Ono mi w ogóle szkodzi, bez ciebie prawie do ust nie biorę! No dobrze, wino — ugięłam się nagle.

— Owszem, drogie, ale gdybym trąbiła flachę dziennie, stałabyś teraz nad moim grobem, dawno byś stała, bo też nadmiar mi szkodzi. To co, oni naprawdę mają obawy, że zniecka pożałuję na cholerne alarmy?!

— I na co ci właściwie alarmy, skoro rzeczywiście tych rzeczy dla złodziei prawie wcale nie masz...?

— Bo złodzieje głupie — wyjaśniłam ponuro. — Myślą, że mam, możliwe, że normalna baba by miała. Za to mam komputer z zawartością, dla nich do bani, a dla mnie reszta życia. Na tę idiotyczną stałą dyskietkę nie umiem nagrywać, to znaczy umiem, ale zapominam, jak to się robi, i nie mam do tego cierpliwości. No i samochód, żeby to piorun trafił, czego oni się tak czepiają akurat moich samochodów...?

— Będziemy tutaj i w tej chwili...?

Stałyśmy cały czas na utwardzonym kawałku żwirku pod moim ogrodzeniem, o dwa metry od leżącej przy śmietniku postaci, zapomniawszy prawie, dlaczego tu stoimy. Zreflektowałam się.

— Myślisz, że ona jest żywa? — spytałam podejrzliwie, rzucając okiem na postać.

— Bo nie wiem, gdzie dzwonić, policja czy pogotowie?

— Nie będę sprawdzać za skarby świata! — zarzekła się Martusia gwałtownie.

— Chcesz, to ją macaj sama...

— Nie chcę.

— To tam zadzwoń, z czym cię połączy. Tu musimy czekać czy możemy w domu?

— Telefon leży w domu, co rozstrzyga sprawę. A propos, jak załatwiłaś...?

W kuchni nastąpił dalszy ciąg programu. Moja komórka miała jako tako możliwy zasięg albo w kuchni, albo na tarasiku przed domem z drugiej strony, ale na tarasiku cze-

kały dzikie koty, które każde moje wyjście na zewnątrz traktowały jak ukazanie się kelnera z tacą w doskonałej restauracji. Nie miałam teraz głowy do kotów, zamierzałam nakarmić je później, wolałam kuchnię, Martusia zaś, która przyjechała z Krakowa na dwa dni w celu załatwienia spraw służbowych, zgłodziła nieco po emocjach i obsłużyła się sama, przyrządzając sobie posiłek, złożony z bobu i kawałtka nogi uduszonego kurczaka. Nieśmiało bąknęła coś o sałacie, ale sałaty nie było i z warzyw poradziłam jej plasterek cytrynki. Dzwoniłam pod numery alarmowe na zmianę, aż w końcu połączyło mnie z policją. Przedstawiłam się grzecznie i powiedziałam:

— Przykro mi, że ciągle państwu truję, ale pogotowie mi się rozłącza, a pod moim domem leży jakaś obca osoba, płci prawdopodobnie żeńskiej, nie wiem w jakim stanie, i liczę na to, że policja sprowadzi także lekarza. Tu nie ma stacjonarnych telefonów, więc zróbcie coś, bo może trzeba szybko. Mój numer komórki ma chyba cała policja w Warszawie...

Przez ten czas Martusia powiedziała:

— O kurczę, jaki dobry bób! Świetny kurczak! Wiesz, że na zimno z cytryną to całkiem niezły pomysł...? Mogę sobie wziąć piwo...? Więc słuchaj, to prawie cud, sama sobie nie wierzę, zostawiłam im scenopis, omawialiśmy go nawet, wejść w to, podpisanie umowy przewidują na przyszły tydzień, gdzie ten Tadeusz cholerny, niech on tego dopilnuje, przecież i ciebie to dotyczy, ja przyjadę, jeśli ci to nie przeszkadza...

Zważywszy, iż wszystko mówiła z przerwami, na ostatnie zdanie mogłam odpowiedzieć.

— Nawet się bardzo ucieszę, bo ty o poranku jesteś jak skowronek. Umówię cię z weterynarzem i złapiecie chociaż jednego kota.

Martusia omal się nie zadławiła.

— Ty kota masz...?

— Trzynaście, ściśle biorąc, ale dwa nie wchodzi w rachubę. Cztery już załatwione, nie, pięć, więc zostaje osiem, z czego jeden pilny. Nie, źle mówię, sześć. Chociaż nie wiem, czy nie siedem, bo tak prawdę mówiąc, nie mogę się ich doliczyć i liczba jest zmienna. Ale tę jedną sztukę trzeba złapać koniecznie.

Martusia z lekkim wysiłkiem przełknęła ostatni kawałek kurczaka i podniosła się ze stołka. Siedziała przedtem bardzo niewygodnie, jakoś tak bokiem, jedząc, nie wiadomo dlaczego, przy bufecie kuchennym, zamiast przy normalnym stole.

— I z tą jedną sztuką co zamierzasz zrobić? — spytała ostrożnie, wstawiając talerzyk do zlewozmywaka. — Przyrządzić...?

— Nie pchaj tego do zlewu, tu jest zmywarka. Ubezpłodnić, o ile okaże się kotką. Inaczej w przyszłym roku miałabym tu sto czterdzieści osiem kotów, policzyłam. A małych kociąt topić nie będę, prędzej się sama utopię, więc trzeba to załatwić operacyjnie, pod narkozą.

— A dlaczego sama nie złapiesz?

— Bo mnie się już nie boją i nie mogę zawieść ich zaufania...

Kwestią kotów zajęłyśmy się tak, że o babie pod śmietnikiem zapomnieliśmy kompletnie i wizyta policji ogromnie nas zaskoczyła. Nagle pojawiło się ich trzech, w tym znajomy prawdopodobnie komisarz, uparcie nie mogłam połapać się w ich szarżach, bo zbyt długo przywykłam do sierżantów, poruczników, kapitanów, majorów i pułkowników. W dodatku pojawiali się po cywilnemu, co tym bardziej zaciemniało sprawę. Ale miałam wrażenie, że to komisarz, załatwiał już ze mną parę drobnostek z racji niezwykłego upodobania złodziei do mojego samochodu. Jakby innych toyot na świecie nie było...!

— Zaraz przyjedzie ekipa — rzekł na powitanie. — Kto ją znalazł? Któraś z pań?

— Przejdźmy może tam — zaproponowałam, wskazując pokój. — Tu nie ma gdzie usiąść, a ja nie umiem rozmawiać na stojąco.

— Tu nie było co znajdować, wystarczyło spojrzeć — odparła równocześnie Martusia. — Leży niby pod gałęziami, ale właściwie na wierzchu.

— No dobrze, to która z pań spojrzała?

Martusia przyznała się, że ona. Usiedliśmy przy stole, stanowiącym jadalnię, chociaż komisarz ostrzegł, że na razie rozmowy nie będzie, wyłącznie wstępne wyjaśnienia, protokół napisze się odrobinę później.

— Kiedy pani ją dostrzegła?

— No, kiedy...? Jak przyjechałam, nie? Od razu zaczęłaś dzwonić...

— Nie od razu — sprostowałam. — Najpierw wyszłyśmy popatrzeć, a potem kotłowałam się z tą komórką co najmniej dziesięć minut. Wychodzi, że jakieś... Co ja za brednie mówię, żadne jakieś, zegarek miałam przed nosem, sprawdzałam godzinę, bo czekałam na ciebie, widziałam, jak podjeżdżałaś, była dokładnie siedemnasta czterdzieści osiem, to znaczy siedemnasta czterdzieści dwie, bo on się śpieszy sześć minut. Więc zobaczyłaś ją o siedemnastej czterdzieści dwie i pół.

— Dlaczego pół? — zainteresowała się Martusia.

— Bo nie rzuciłaś się przecież ku niej w jednej sekundzie i nie wysiadałaś wyjątkowo ślamazarnie, tylko zwyczajnie. Zamknęłaś samochód, podeszłaś... Liczę na to pół minuty.

Komisarz chyba zgadzał się ze mną, bo kiwał głową.

— Ruszały tam panie coś? Dotykały?

— Nic kompletnie, żadna z nas — zapewniłam go stanowczo. — Co jej właściwie jest? Chora, pijana, nieżywa?

— Nieżywa.

— Jezus Mario! — jęknęła Martusia ze zgrozą. — I myśmy tam stały nad trupem i rozważały... Cośmy właściwie rozważały?

— Nie mam pojęcia. A, nie, wiem! O tych alarmach. I kto ma jeszcze dziś przyjechać...

— Boże jedyny, może ona właśnie przez ten czas umarła?! Co za świnię jesteśmy! Zdenerwowałam się trochę.

— Nie strasz mnie! Nie mogła tak umrzeć akurat w tamtej chwili, na naszych oczach! Nieruchomo leżała, ani drgnęła!

Komisarz zlitował się nad nami.

— Umarła wcześniej. Lekarz stwierdzi dokładnie, ale chyba z godzinę temu, a może i więcej. Od kiedy tam leżała, panie wiedzą?

— Nie — odparłam ponuro.

— Jak wyjeżdżałam, jeszcze nie leżała — stwierdziła Martusia energicznie. — Rozejrzałam się, patrzyłam, gdzie równiej, żeby wykręcić..

— O której to było?

— Jedenasta dwadzieścia — powiedziałam. — Umówiona byłaś na dwunastą i mówiłam, że jedziesz za wcześniej!

— No i byłam za wcześniej, ale na dobre mi wyszło...

— A pani jej nie widziała? — zwrócił się komisarz do mnie.

— Nie wychodziłam za furtkę, a od środka nie widać, bo wierzba zasłania. W ogóle siedziałam w środku domu, przy komputerze, i tylko czasem robiłam coś w kuchni. Ale, zaraz! Tu się plątały różne osoby! Z kuchni widziałam, chodził facet i roznosił jakieś reklamy, pewnie mam w skrzynce listowej, poza tym był pan Ryszard, przyniósł mi pieczywko i żarcie dla kotów, poza tym ktoś latał dookoła domu sąsiada, tu obok, z prawej strony. Więcej nie wiem, nie zwracałam uwagi.

— To niech pani sobie na razie przypomni i najlepiej zapisze, kiedy i kogo pani widziała. Ja później sporządzę protokół. Niedługo, za jakieś pół godziny...

Dopiero kiedy poszedł, przyszło nam na myśl, że nawet nie spytałyśmy, na co facetka umarła. Na galopujący zawał? Otruła się, przyszła popełnić samobójstwo akurat pod moim śmietnikiem? Zabił ją ktoś...? Nie dowiedziałyśmy się także, kim była!

— Słuchaj, może to ktoś znajomy? — spytała Martusia niespokojnie, obserwując zorganizowane zamieszanie za bramą. — Nie było widać twarzy.

— Ale włosy. Nie znam ani jednej osoby z takimi długimi rudymi włosami. Czarne, to owszem, rudych jakoś nie.

— Ale piękny kolor miała. Co oni robią? Biorą ją do suki?

— To nie suka. Karetka do przewożenia zwłok.

Martusią nagle trzepnęło.

— Boże, jaki cudny pies! — zachwyciła się. — Popatrz, popatrz! Super!

Nie musiała mnie zachęcać do patrzenia.

— Każą mu wywęszyć ślady. Mam nadzieję, że nie wywęszy niczego w moim ogrodzie i nie wda się w wojnę z kotami... Och, nieszczęsny! Przyjechała samochodem!



— Skąd wiesz?

— No przecież widzisz, jak się zachowuje! Muszę zobaczyć z bliska!

Wypadłam z domu i uczepiłam się bramy. Ostatecznie, znajdowałam się na własnym terenie i tkwić przy bramie miałam prawo. Martusia popędziła za mną.

Pies był rzeczywiście przecudowny. Pomijając urodę, idealnie wytresowany, spokojny, a zarazem skupiony, gorliwy i chętny do pracy. O swoich odkryciach informował tak, że najlepszy ćwok mógł zrozumieć.

— I bez policji zgaduję, jak było — powiadomiłam ją. — Patrz, gdzie doprowadził. Wysiadła przed sąsiadem, poszła w moim kierunku i przy śmietniku padła trupem, kroku więcej ku furtce nie zrobiła.

— Skąd wiesz?

— No przecież sama widzisz, co ten pies pokazuje. Taki pies to czyste złoto, elektronikę możesz wyłączyć, psa nie oszukasz. Zdaje się, że zdejmuje ze mnie podejrzenie, jakobym gościła ją u siebie, zabiła i wyniosła na śmietnik...

— Szczególnie, że nie masz jeszcze umowy ze śmieciarzami — przypomniała Martusia z troską.

Wściekłość, która zelżała trochę pod wpływem sensacyjnego wydarzenia, ogarnęła mnie na nowo, kiedy wróciliśmy do domu. Zarazem przypomniałam sobie, co było głównym jej źródłem.

— No i masz, następna punktualna — powiedziałam ze złością. — Uczepiła się mnie któraś dziennikarka, wywiad i wywiad, miała przyjść o wpół do czwartej albo koło trzeciej, chociaż wyłgiwałam się jak mogłam, w dodatku z fotoreporterem, i proszę bardzo, do tej pory jej nie ma. I po cholere ja się tu pindrzę, męcę w peruce, zbijam się z tematu, a w dodatku nie wiem, o co jej chodziło.

— Z którego czasopisma? — zainteresowała się Martusia.

— A bo ja wiem? Zapomniałam zapytać, bo wcale nie chciałam, zdaje się, że wymyśliła coś, czego nie cierpię. Już chyba nie przyjdzie, a nawet jeśli przyjdzie, nie zamierzam z nią gadać.

Na żadne gadanie rzeczywiście nie było szans, ponieważ komisarz dotrzymał obietnicy i przyszedł sporządzać protokół. Usadziłam go przy stole.

— Powinniśmy właściwie rozmawiać w pracowni, ale tam się suszą roślinki i nie ma miejsca — wyjaśniłam. — Do pracowni wygonimy osoby, które przyjdą lada chwila i mogłyby przeszkadzać, a tu, proszę bardzo, stół wolny, może pan pisać całą powieść.

— Kto przyjdzie? — spytał nieco podejrzliwie.

— Mój plenipotent i mój siostrzeniec. Musimy z nimi pozafatwiać rozmaite sprawy służbowe.

— Mogą także iść do salonu — zaproponowała Martusia. — Będą podsłuchiwać, ale tajemnic do ukrywania chyba żadnych nie mamy?



— Jeśli nawet, to akurat nie w tej kwestii...

— Panie pozwolą dowody osobiste — poprosił grzecznie komisarz i spojrzał na Martusię. — Pani tu mieszka?

— Niestety, nie. Mieszkam w Krakowie. Przyjechałam wczoraj, na dwa dni, bo byłam umówiona w filmie i w telewizji. Pojutrze rano wyjadę.

Gapiliśmy się w niego niczym sroka w gnat, kiedy spisywał sobie nasze dane osobowe. Skończył z personaliami i przystąpił do pytań.

— Czy zna pani Barbarę Borkowską? — zwrócił się do mnie znienacka.

— Nie — odparłam bez namysłu. — Nawet się nie muszę zastanawiać. Borkowskich w rodzinie miałam dwie, każdą oddzielnie, ściśle biorąc, w dwóch rodzinach, panieńskie nazwiska, nie miały ze sobą nic wspólnego i od dawna nie żyją. Żywej Borkowskiej nie znam żadnej. To ta nieboszczka spod wierzby?

— Skąd pani... — zaczął i zreflektował się. — O, nie będę kręcił, bo i tak się pani domyśli. Owszem, ta nieboszczka.

— A ja jedną Borkowską znam! — oznajmiła Martusia z triumfem. — Ale nie Barbarę, tylko Lucynę, i nie tu ani w Krakowie, tylko w Zamościu. Ma sklep warzywniczy. To nie ona tu leżała z pewnością, rozpoznałabym ją, jest potwornie gruba. I nie ruda.

— Bardzo dobrze — pochwalił komisarz informację, nie wiadomo dlaczego. — Czy ma pani broń palną?

Martusia zachłysnęła się piwem.

— Niech pan mnie tak nie zaskakuje — poprosiła. — Nie mam i nie chcę mieć, ja się boję broni palnej!

— Ja chcę, ale też nie mam — wyznałam z żalem i nagle ożywiłam się nadzieją. — A może pan mi nie uwierzy? I zrobicie u mnie rewizję? Takie porządne, rzetelne przeszukanie?

— Zwariowałaś, na co ci przeszukanie? — zgorszyła się Martusia.

— Jak to, na co? Może przy okazji znajdą czerwony grzebień ze szpikulcem?

— A, grzebień... Rozumiem. Jeszcze go nie znalazłaś od zeszłego roku?

— Nie. Nie miałam kiedy szukać.

Komisarz przyglądał się nam z rosnącym zainteresowaniem.

— Cały czas była pani dziś w domu? — zwrócił się znów do mnie.

— Poza chwilowymi pobytami w ogródku, cały.

— I nic pani nie słyszała?

Zdezorientował mnie doszczętnie.

— Jakie nic...? Nie ogłuchłam przecież! Radio grało, słyszałam doskonale, koty miauczały, jak wyszłam z puszką, gong u furtki słyszałam... Co jeszcze miałam słyszeć?

— Huk, na przykład. Albo warkot samochodów.

— W pracowni samochodów nie słyhać, chyba że budowlane. Ale przez ostatnie parę dni ta budowa naprzeciwko stoi i nie jeżdżą. Huku żadnego nie było. A, rozumiem! Tę facetkę ktoś zastrzelił?

Martusia z miejsca okazała sceptycyzm.

— A skąd ty wiesz, że ktoś, może ona tak sama siebie? Samobójczyni?

— No coś ty, pod moim śmietnikiem...?!

— Pod wierzwą płaczącą.

— Wszystko jedno. Gdyby sama siebie, znaleźliby pistolet i ten pan nie pytałby nas o broń palną. Trudno chyba przypuszczać, że weszła, poprosiła o pożyczenie, rąbnęła w siebie i potem co? Przerzuciła mi z powrotem przez ogrodzenie? Pies powiedział, że nas tam przy niej nie było!

Komisarz wytrzymał to wszystko, wzdychając tylko od czasu do czasu. Spróbowałam się skupić, bo w końcu wydarzenie mnie interesowało, a nabrałam obaw, że, zraziwszy do siebie władze śledcze, niczego się więcej nie dowiem.

— Zaraz, chwileczkę. Kto tutaj był ostatni...? Witek...

— Witek dopiero ma być — przypomniała mi z naganą Martusia.

— Ale już raz był. Przyleciał o wpół do trzeciej i zaraz poleciał, wiem, że o wpół do trzeciej, bo myślałam, że to ta na wywiad, spojrzałam na zegarek...

— I Tadeusz był.

— Tadeusz był wcześniej, zaraz po twoim odjeździe. Witek był o wpół do trzeciej i nic nie mówił, żeby coś leżało, potem już tylko czekałam na ciebie. Czyli jakąś Barbarę Borkowską ktoś rąbnął z broni palnej pomiędzy czternastą czterdzieści pięć, a siedemnastą trzydzieści, przyjechawszy tu z nią samochodem. Nie pytaj mnie głupio, skąd wiem, bo sama widziałas, pies ją wywęszył na małym kawałku, więc z czegoś wysiadła, a potem to coś samo nie odjechało. Przyjechał z nią zabójca, bo osoba niewinna od razu podniosłaby krzyk i w pięć minut zawiadomiła policję. Albo usiłowałaby ją ratować. Pistolet miał z tłumikiem, inaczej nie ma siły, huk bym usłyszała, chociaż mogłam nie zwrócić uwagi. Więcej nie wiem i nie wymyślę.

— Całkiem wystarczy — powiedział komisarz potępiająco. — Ja tu nie przyszedłem po to, żeby pani prowadziła dochodzenie, tylko po odpowiedzi na pytania. Czy ten pani śmietnik był zamknięty?

W tym momencie zadźwięczał gong od furtki i zaraz potem szczęknęły drzwi.

— Pan Tadeusz — powiedziałam. — Wszystko otwarte, ale on dzwoni z grzeczności. Martusia, zajmij go czymś chwilowo.

— Nie ma obawy! — zapewniła Martusia, zrywając się z miejsca. — Od razu mu powiem o tej umowie z telewizją...

— Kto to jest pan Tadeusz? — spytał komisarz.

— Mój plenipotent, agent i ofiara. Znęcam się nad nim i wykorzystuję go prawie wszechstronnie, z bardzo słabymi wyrzutami sumienia.

Pan Tadeusz już wchodził, próbując wygłosić jakieś uprzejme wyrazy, co zostało mu uniemożliwione. Wszyscy odezwali się do niego równocześnie, Martusia jednak była najbliższą i jej słowa wybiły się z tłoku.

— Tadeusz, znasz jakąś Barbarę Borkowską?

— Barbarę Borkowską? — zastanowił się pan Tadeusz odruchowo. — Zdaje się, że jest taka dziennikarka... Zajmuje się chyba jakimiś prawniczymi historiami, osobiście się z nią nie zetknąłem, ale obito mi się o uszy, że to raczej nieciekawa postać... Zwróciła się do pani o wywiad?

— Tego nie wiem, ale chyba nie — odparłam niepewnie, nie ruszając się od stołu. — Ktoś tu miał przyjechać, mimo moich protestów. Jest nachalna i bezczelna?

— Podobno niekiedy tak, w sposób wręcz ordynarny...

— A, to może i ona. Pan przecież wie, że ja nie zapisuję...

— I rąbnęłaś ją, bo się pchała na chama! — ucieszyła się żywiutko Martusia.

— Martusia, policja tu siedzi...!

— Czy coś się stało? — zdenerwował się z miejsca pan Tadeusz. — Znów jakieś włamanie do pani...?

— Ach, nie, skąd! Tylko zwłoki.

— Tu, w domu...?!

— Nie. Za ogrodzeniem, pod wierzbą. O, cholera! — zwróciłam się z nagłym niepokojem do komisarza. — Pan ma rację, mogłam ją zastrzelić od środka, przez pręty. No nie, teraz już naprawdę musicie poszukać u mnie tej broni palnej! Chyba że stwierdzicie naukowo kierunek strzału, miejsce i możliwości mojego śmietnika. Chętnie wezmę w tym udział, jeśli trzeba.

Pan Tadeusz, nie mający pojęcia, co właściwie zaszło, natychmiast zażądał uczestnictwa w ewentualnej wizji lokalnej. Jest moim plenipotentem, nie pozwoli na żadne moje wygłupy i nie dopuści do szykan, ma obowiązek chronić moje interesy!

— Ona nie będzie szykanować policji, ona ich lubi — pocieszyła go szybko Martusia.

Komisarz przez cały czas zachowywał filozoficzny spokój. Przed sobą miał protokół, więc nie musiał przypominać sobie, na czym stanął. Twardo kontynuował działalność służbową.

— Pytałem panią, czy ten śmietnik był zamknięty od zewnątrz i od wewnątrz. I od kiedy?

— Od zewnątrz zamknięty. Sprawdziłam to z pustej ciekawości trzy tygodnie temu, jak wrywałam zielsko. Od wewnątrz nie wiem, tam wierzbą przeszkadza. I nie mam pojęcia od kiedy, pewnie od zawsze.

— Niemożliwe. W środku coś leży.

— Ale chyba nie drugie zwłoki? — zainteresowała się nieufnie Martusia.

— Nie — zapewniłam ją. — Nic nie śmierdzi. A jeśli sąsiad zezna panu, że przed miesiącem z hakiem coś u mnie okropnie śmierdziało, od razu panu powiem, że to był krowiak. Dopiero po dwóch dniach został przykryty ziemią. Mam na to świadków.

— Bardzo dobrze. A gdzie są klucze od tego śmietnika? Bo zamki widziałem.

Stropiłam się nieco. Majaczyło mi się, że zaraz po objęciu domu w posiadanie rozmaite klucze oglądałam, były mi pokazywane, nawet jakieś plakietki przy nich wisiały, ale co z nimi zrobiłam, Bóg raczy wiedzieć. Niewątpliwie położyłam je tak, żeby łatwo znaleźć, dzięki czemu zapewne przepadły na zawsze.

— Otóż nie wiem — wyznałam ze skruchą. — Możliwe, że znajdują się gdzieś w kuchni. Jeśli pan sobie życzy, możemy zaraz poszukać, ale za skutek nie ręczę.

— Pani Joanno, to jest poważna sprawa! — zdenerwował się pan Tadeusz, powodując tym życzliwy błysk oka komisarza. Ujawniała się w owym błysku chyba nawet odrobina wdzięczności. — Pani nie może tego tak lekkomyślnie traktować, dostała pani przecież wszystkie klucze! Albo może ma je pan Ryszard...?

— Może i ma — zgodziłam się. — A jak pan chce, proszę bardzo, niech pan przeszuka kuchnię. Ponadto mógłby pan otworzyć butelkę wina i w ogóle usiąść normalnie, a nie tak nam stać nad głowami.

— Albo może pójdziemy do pracowni i ja ci wszystko opowiem o tej umowie z filmem — podsunęła mu zachęcająco Martusia. — Mam od nich propozycje, ale sama ich nie rozważę, bo to i Joanny dotyczy. Ale chyba wypali. No...?

Pan Tadeusz przez chwilę silnie kojarzył się z człowiekiem, który dziarsko podtrzymuje dwa walące się drzewa i ma wielką nadzieję uchwycić i trzecie. Jednakże, jako istota pracująca głównie umysłem, błyskawicznie wybrnął z sytuacji.

— Może jednak najpierw załatwimy sprawy z panem...

— Komisarzem — odpowiedziałam litościwie.

— ...z panem komisarzem, a potem zajmiemy się innymi kwestiami. Pani Joanno, ja zadzwonię do pana Ryszarda i spytam o klucze...

— Z kuchni! — syknęłam. — Na tarasiku siedzą koty!

— Kto to jest pan Ryszard? — spytał komisarz cierpliwie.

— Niech się pan z góry nastawi na całą książkę telefoniczną — poradziła mu życzliwie Martusia.

— Taką osobową, której w ogóle nie ma.

— Mój wykonawca — odpowiedziałam równocześnie. — Można powiedzieć, młodszy kolega po moim niezmiernie odległym fachu, istny anioł. Nie dość, że wybudował mi dom, to jeszcze się mną opiekuje i dba o wszystko znacznie porządniej niż ja. Nie chcę tego specjalnie podkreślać, ale sam pan chyba widzi, że ma pan do czynienia z kretynką, której luzem zostawiać nie można.

— Żeby tylko takie kretynki chodziły po świecie! — westchnął komisarz grzecznie.  
— Wracając do tematu, stwierdza pani, że śmietnik był zamknięty. Ponadto, cofnijmy się, istnieje możliwość, że Barbara Borkowska była dziś z panią umówiona?

— Co nie przeszkadza, że uparcie jej nie znam — powiedziałam z irytacją i podniosłam się wreszcie od stołu. — Niech pan zaczeka, pójdę znaleźć papierek, może tam coś zapisałam.

Małe świstki poniewierały się na kuchennym stoliku, dookoła podpórki na książki, które z reguły czytałam przy jedzeniu. Przyzwyczajenie podobno naganne, ale, zważywszy, iż czyniłam to od blisko pół wieku i nie dostałam ani wrzodów żołądka, ani raka, ani bulimii, ani anoreksji, ani żadnych dolegliwości wątroby, ani w ogóle niczego, dla mnie akurat najwidoczniej nieszkodliwe. Komórka leżała obok, o ile ktoś trafiał na chwile moich posiłków, notatki robiłam na tym, co miałam pod ręką. Malutkie kartki z notesika.

Pan Tadeusz tkwił ze swoją komórką w oknie kuchennym, mogłam zatem bez przeszkód przeszukać stół. Znalazłam właściwy świstek.

— Proszę bardzo — powiedziałam z triumfem, wracając do części jadalnej. — Jest! Piętnasta, wywiad, ze znakiem zapytania, bo wcale nie byłam pewna, czy tego wywiadu udzielię. Nie chciałam, baba się uparła. Musiała podać nazwisko, bo pod spodem jest gryzmoł, nie do odczytania, ale dwa razy występuje w nim duża litera B. Gdyby nie było gadania o Borkowskiej, uważałabym, że to raczej Borzycka, Brzezińska albo coś koło tego. I fot, znaczy, miała przyjechać z fotoreporterem, co mnie zgniewało dodatkowo. No więc możliwe, że jechała do mnie i szlag ją trafił po drodze.

Komisarz z uwagą obejrzał świstek.

— A to wcześniej? Wyżej...?

— A, nie, to zakupy. Melon, widzi pan, koty i kryształ, znaczy kocie żarcie i płyn do płukania naczyń. Pan Ryszard mi to właśnie przywiózł o poranku.

— Pani pozwoli, że ja to załączę do protokołu?

— Jeśli z drugiej strony nic nie ma...

Nic nie było, więc skwapliwie wyraziłam zgodę na załączenie. Gdybym nie wyraziła, też by pewnie załączył. Z kuchni wrócił pan Tadeusz.

— Ma pani po dwa egzemplarze kluczyków do śmietnika, pan Ryszard ma trzeci komplet, pani kluczyki leżą albo na bufecie obok mikrofalówki, albo na tym regale w kącie. Mają plakietkę. Czy trzeba je znaleźć?

Komisarz zastanawiał się przez chwilę.

— Tak — zdecydował i podniósł się z krzesła.

— Ale pozwoli pan, że poszukamy razem.

W progu kuchni zatrzymał się i popatrzył na mnie.

— O ile znam panią i wiem o pani cokolwiek, Jestem pewien, że sama pani to zgadnie. Więc wolę powiedzieć, a wszystkich państwa proszę o dyskrecję. Trzeba panią wyeliminować, co, obawiam się, wcale nie będzie łatwe. Istnieje możliwość, że strzał oddano ze śmietnika, tam są pręty, a nie drzwiczki. Łatwo sprawdzić, czy kluczyków ktoś ostatnio używał, więc niech zostaną zabezpieczone. Jeśli leżą już długo nietknięte, pani będzie z głowy.

— Z czego wynika, że dostała trochę z boku, od tyłu — rzekłam smętnie do Martusi, kiedy obaj, komisarz i panem Tadeuszem, poszli grzebać na regale w kuchni. — Nie od przodu. Mam nadzieję, że pan Ryszard ma alibi, to człowiek pracy, może w tym czasie był na budowie w Magdalence albo gdzieś tam. Nie zaczął się w moim śmietniku...

— Ty, słuchaj, mnie to przeraża — powiedziała Martusia z przejęciem. — Jechała do ciebie, nie chciałaś jej i ktoś ją zabija? Masz jakiegoś wynajętego? Usuwa niepożądanych gości? Powiedz mi wprost, jeśli będę niepożądana!

Poderwałam się na skutek skojarzenia.

— O Boże, koty! Biedne stworzenia, głodne czekają! No, już trudno, nie mam teraz głowy do zakładania pułapki, nie będziesz jutro łapać kota, przepadło. Dam im jeść i niech nie zawracają głowy.

Równocześnie skończyłam wydzielać kotom zawartość puszek, trochę chrupków i mleka, a pan Tadeusz z komisarzem znaleźli kluczyki od śmietnika. Leżały sobie już długo, nie używane.

— To teraz poproszę panią o tych ludzi, których tu pani widziała — powiedział komisarz, siadając znów przy stole. — Miała pani ich spisać. I godziny, mniej więcej, kiedy tu byli.

Spisać, co prawda, nie spisałam, ale udało mi się przypomnieć sobie widoki. Wyszło na to, że najpóźniej odjechał Witek, ludzie u sąsiada plątali się wcześniej. Możliwe, że ktoś tam jeszcze przechodził i przejeżdżał naszą imitacją ulicy, ale to już nie była moja sprawa.

Witek, mój siostrzeniec, pojawił się, jak na zawołanie, kiedy komisarz prawie wychodził.

— Nie — powiedział stanowczo. — Nikt tu nigdzie nie leżał, podjechałem od tamtej lewej strony i zawracałem tuż przy śmietniku. Mowy nie ma, żebym nie zauważył. Borkowskiego jednego znam, to taksówkarz, ma zamężną siostrę, która inaczej się nazywa, i mamusię, o ile wiem. Mamusia około sześćdziesiątki, dopiero co go widziałem i nic nie wiem o tym, żeby straciła życie. Byłby chyba, zaraz potem, w trochę gorszym humorze...?

Taksówkarz Borkowski mógł się, oczywiście, okazać zwyrodnialcem, który na wieść o zejściu mamusi chichocze głupkowato, ale wiek nie pasował. Osoba spod śmietnika i wierzyby była znacznie młodsza, trzydzieści parę i nic więcej.



Trudno, na Borkowskich wokół mnie panował zdecydowany nieurodzaj. Wiedzy o denatce władze śledcze musiały szukać gdzie indziej...

\* \* \*

Sprawę osobliwego zabójstwa w dzielnicy Wilanów, przejął, jak zwykle, major, czyli podinspektor, Edward Bieżan z Komendy Stołecznej. Wszystkie zbrodnie natury, można powiedzieć, kameralnej, wtykano Bieżanowi, który radził sobie z nimi znakomicie i wołał je od przestępczości zorganizowanej, ogólnopanstwowej, politycznej i zgoła międzynarodowej. Tu, na pierwszy rzut oka, żadna mafia nie wchodziła w rachubę, mogły to być zatem porachunki prywatne.

Protokół komisarza Bieżana przeczytał, po czym zażądał dokumentów, dotyczących właścicielki posesji, przed którą znaleziono zwłoki. Dokumenty dostarczono mu błyskawicznie. Nie było ich wiele, odznaczały się za to dość atrakcyjną treścią i nie powodowały znudzenia. Osoba była ogólnie raczej znana, młodość miała zdecydowanie za sobą, nie popełniała kompletnie żadnych przestępstw, a mimo to uparcie powodowała liczne, bezpośrednie kontakty z policją. I to od dawna.

— Albo ma ślepy niefart, albo to wariatka — zaopiniował komisarz Robert Górski, stały współpracownik Bieżana, studiując dostarczone teksty. — To nie do uwierzenia, żeby jednej babie mogły się ciągle takie rzeczy przytrafiać. Kradzież, kradzież, włamanie, włamanie, wmieszana w dwie... nie, w trzy zbrodnie, świadek, świadek, świadek... Rany boskie, jak ona to robi? Jeszcze w młodości, niechby, aktywny charakter, ale na starość...?

— Wariatki się nigdy nie starzeją — pouczył go Bieżan. — A nawet jeśli, wariactwo im zostaje.

— I nawet się pogłębia?

— Możliwe...

— Ejże, zaraz! — ożywił się nagle Robert, zahaczywszy wzrokiem o początek protokołu, gdzie widniały personalia osoby. — Ja ją przecież znam! Z pięć lat temu się z nią zetknąłem, gdzie jej do wariactwa, to całkiem przytomna facetka i niegłupio myśli. Ale wtedy gdzie indziej mieszkała... Z nią się można dogadać.

— To i lepiej. Ale nie zajmujmy się nią teraz, bo mamy denatkę.

Górski przerzucił się na drugą część lektury.

— Też niezła postać. Dwa lata temu wyleciała z prokuratury, awanturnica i pijaczka... a jednak pracuje, to znaczy pracowała. Z doskoku, w różnych redakcjach... No i tyle. Wiemy coś więcej?

— Nic prawie i właśnie musimy się dowiedzieć. Rozwiedziona, mieszka sama, dzieci... tu mam odpis wyroku... dzieci u męża. Bujny tryb życia prowadziła, warto zajrzeć do jej, mieszkania, motywy zabójstwa przede wszystkim...



— U tego męża bym popatrzył, u rodziców, jeśli żyją, tam są imiona, nazwisko panięskie... może miała jakieś rodzeństwo? Współpracownicy, przyjaciółki, znajomi...

— I sąsiedzi — podsumował Biezan. — Nie ma co myśleć, póki nic nie wiemy, ruszamy do roboty. Na pierwszy ogień mieszkanie, bo później rodzina się dobierze. Mamy chyba klucze...?

Dokładnie tego mieszkania denatki jednak nie przejrzeni, ściśle biorąc, nie przejrzeni go wcale, ponieważ okazało się, że właśnie nie ma do niego kluczy. Przy ofercie ani jednego klucza nie znaleziono.

Zważywszy, iż torebka ofiary znajdowała się pod zwłokami i nie została splądrowana, Biezan dysponował całą jej zawartością, która zresztą była dziwnie skąpa. Dowód osobisty, dziennikarska legitymacja służbowa, uprawniająca do wchodzenia prawie wszędzie, i wyciąg z konta bankowego sprzed trzech miesięcy. Ponadto w owej torebce znajdowały się liczne kosmetyki, portmonetka z sumą czterystu dwudziestu siedmiu złotych i sześćdziesięciu dwóch groszy, długopis, nowy, czysty notes, grzebień, napoczęte opakowanie proszków przeciwbólowych, papierosy, zapalniczka, chusteczki higieniczne i przepis na maseczkę kosmetyczną, wycięty z jakiegoś czasopisma. Nic więcej. Jak na damską torebkę, było to niewiele.

No i żadnych kluczy. Kurteczki nie miała, tylko lekką bluzkę, co też wydawało się dziwne o tej porze roku. Kieszenie spodni zawierały w sobie trzy złote w dwóch monetach i zmieszony rachunek ze sklepu, niestety, raczej dużego, na dwie kajzerki, puszkę pasztetu i jedno opakowanie pieprzu. Słabo czytelna data wskazywała, iż zakupu dokonano przed czterema dniami. Żadnych kluczy również nie było.

Upewniwszy się, że nie zachodzi tu żadna pomyłka, Biezan zdenerwował się nieco i zawahał. Klucze mogła facetka zostawiać u sąsiadów albo u dozorczyńni, mieć jakiś uraz na tle gubienia czy coś w tym rodzaju, równie dobrze mógł je ukraść zabójca. Ktoś mógł z nią mieszkać i dysponować kluczami chwilowo. W każdym razie brak kluczy był znamienny i nie należało go lekceważyć.

— Przyjechała tam samochodem — zauważył niepewnie Robert. — Mogły jej wylecieć z kieszeni...

— Z jakiej kieszeni? — zirytował się Biezan. — Te w spodniach ciasne, jak to sobie wyobrażasz, jeden mały kluczyk miała do wszystkich zamków w drzwiach wejściowych?

— Z kurtki. Może miała kurtkę...

— I wysiadła bez? Jedwabna bluzka, jest październik, a nie pełnia lata!

— Rąbnął ją i wypchnął, jak siedziała...

Śledztwo powinno natychmiast ruszyć w dwóch kierunkach równocześnie, po mieszkaniu i po ludziach, sprawdzić lokal, a zarazem przesłuchać rodzinę, przyjaciół i znajomych. Żadnych zaniedbań! Sprowadzić policyjnego ślusarza!

W tym momencie Bieżan dostał wyniki sekcji.

Na tych wynikach bardzo mu zależało, ślusarza zatem na razie zostawił w spokoju. Policyjny ślusarz był wnukiem przedwojennego włamywacza, czego specjalnie nie eksponowano, za grzechy dziadka nie odpowiadał, ale za to odziedziczył talenty. Mimo postępu, elektroniki i coraz wymyślniejszych zabezpieczeń, nad wszelkimi zamkami panował bezapelacyjnie, wiadomo było zatem, że przyjedzie w każdej chwili, pomęczy się kwadrans i otworzy dowolne drzwi, niczego nie zniszczywszy.

Sekcja wykazała, iż strzał padł od tyłu, lekkim skosem z prawa na lewo, dokładnie w serce, z broni niezidentyfikowanej, nabój kaliber czterdzieści pięć, czyli musiało to być zdrowe kopyto na grubego zwierza, typu luger. Łuski nie znaleziono, zatem dokładniej broni określić się nie da. Zabójstwo nastąpiło na godzinę do dwóch przed pierwszym badaniem zwłok, zatem mniej więcej pomiędzy szesnastą a siedemnastą trzydzieści. Ofiara jak padła, tak leżała, nikt jej nie przemieszczał.

Ponadto miała odrobinę zdewastowaną alkoholem wątrobę, ślad po bardzo starym złamaniu ręki, doskonale zresztą zrośniętej, i dawno zaleczone zapalenie przydatków, które zapewne sprawiło, że nigdy nie rodziła dzieci.

Prawie równocześnie biuro ewidencji ludności poinformowało, iż zamieszkała pod podanym adresem Barbara Borkowska, z domu Mięczak, wciąż posiada rodziców, Gustawa i Alinę Mięczaków, zamieszkałych i tak dalej, oraz brata, Włodzimierza Mięczaka, zamieszkałego i tak dalej. Także rozwiedzionego męża, Stefana Borkowskiego, hodującego jej dwoje dzieci w wieku szkolnym, Agatę i Piotra, zamieszkałego i tak dalej. Innych Barbar Borkowskich istnieje zatrudnienie, ale nie mieszkają pod tym samym adresem, tylko całkiem gdzie indziej.

— Cholernie dużo naraz musimy zrobić — powiedział zmartwiony Bieżan, wpatrzony w całość leżących przed nim materiałów. — Nic mi się tu nie zgadza, to znaczy nie nic, tylko, powiedzmy, połowa. Nie będę twierdził, że większa, ale zasadnicza. Miała w końcu, do cholery, te dzieci czy nie?

— Mogły być adoptowane — podsunął równie zmartwiony Robert.

— I co, u diabła, zrobiła z kluczami? Człowiek wychodzi z domu i nie wyrzuca od razu kluczy do rynsztoka. Zabójca grzebał jej po kieszeniach? Po śmierci? Strzał z przedstawienia odpada, odległość mogła wynosić dwa metry, nie mniej... no, półtora.

— Wizja lokalna...

— Bez przesady, ale to miejsce musimy obejrzeć. Czekaj. Trzeba będzie się podzielić...

Bieżan urwał, rozmyślał przez chwilę, Górski posłusznie czekał, wreszcie jego zwierzchnik rzekł:

— Miejsce zabójstwa musimy obejrzeć razem, chcę się odczepić od tej twojej znajomej wariatki, która tam mieszka, i sprawdzić, jak to wszystko razem w ogóle wyglą-

da. Potem ruszymy w różnych kierunkach, weźmiesz rodziców, a ja męża, jak się uda, to i brata. Jeszcze dzisiaj wieczorem. Jutro od rana przejedziemy się po współpracownikach i przyjaciółkach, bo liczę na to, że o przyjaciółkach dowiemy się dzisiaj. Przed końcem pracy ściągniemy ekipę do tego jej mieszkania i przetrzepimy wszystko.

— Prokuratura... — bąknął nieśmiało Robert.

— Rano dostaniemy od nich informację poufną, już uzgodniłem. W razie potrzeby pogada się osobiście. Odwalmy proste rzeczy, bo może się okazać, że jest to zemsta skazanego i dopiero wtedy zacznie się pożar burdelu.

Ustaliwszy plan działania, udali się na miejsce przestępstwa.

\* \* \*

Martusia, pół dnia spędziwszy zarazem pracowicie i rozrywkowo, zamierzała odjechać nazajutrz rano, żeby wczesnym popołudniem znaleźć się w Krakowie. Zastanawiała się, czy wykorzystać poranek na łapanie kota, czy nie. Musiałabym w tym celu ustawić klatkę w odpowiednim położeniu, przedtem, rzecz jasna, sprawdzić, czy ta cholerna kotka idzie spać do kociego domku, czy też zamierza spędzić noc diabli wiedzą gdzie, niepotrzebne stresowanie dziesięciu niewinnych kotów, bez tej jednej, właściwej, budziło opór w mojej duszy. A zaniedbać pożądaną, to czysta rozpacz, kociała się trzy razy do roku i w dodatku była złą matką, zostawiała swój pomiot mnie na opiece i szła na łafry, nie zakładałam u siebie kociego sierocińca, dzikie koty powinny żyć po swojemu, żarcie miały, ochronę przed zimnem również, niezbędne lekarstwa dostawały, bez wygłupów z tymi dziećmi!

— Ty chyba zwariowałaś — stwierdziła Martusia krytycznie, obserwując moje kontakty z Czarną Panterą, czy może z Czarnym Panterem, ponieważ był to kocur rozmiarów prosiaka, który rządził terenem, potężny i wspaniały. — On się ciebie w ogóle nie boi!

— A dlaczego ma się bać? — odparłam z irytacją. — Ma się ze mną zaprzyjaźnić, kretyń głupi. Już zabił małego kociaka, tylko łapą majtnął. Przegania towarzystwo i muszą pilnować, żeby miały co jeść. A co do mleka, sam jeden wypiłby udój od dwóch krów. Uparty, ale ja nie popuszczę.

Czarny Panter pił mleko, mimo wygłoszonej przeze mnie groźby: „Czekaj, cholero, a ja cię pogłaszczę”. Głaskałam go, on syczał wściekle i warczał wręcz po psiemu, ale na włos się nie odsunął. Proponowałam grzecznie, żeby się zastanowił, kto go karmi, drapnął mnie kiedyś w palec, miesiąc się goiło, niemniej jednak obydwójce zaparliśmy się przy swoim. Ja cię, draniu, jeszcze udomowię...!

— I tak codziennie z nim się kotłujesz?

— A skąd! On chodzi własnymi drogami, jak prawdziwy kot. U mnie bywa, jak w restauracji, nocuje gdzie indziej. Chrupki dostaje, kocim gulaszem go karmić nie będę, ze-

żarłby trzy puszki na jeden posiłek. Najwięcej leci na mleko i na bazie mleka załatwimy zawieszenie broni. Jeszcze rok, jeszcze dwa...

— Wolę psy — powiedziała Martusia stanowczo. — Ty masz więcej fiołów niż mi się zdawało. Słuchaj, czy o tej nieboszczce pod wierzbą już coś wiadomo?

— Nie mam pojęcia — odparłam, odrywając się od kota. — Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do weterynarza, żeby na jutro był przygotowany...

Zabrzączał gong, dałam zatem spokój rozważaniom i poszłam otworzyć.

Dwóch nowych, nie znanej mi rangi, po cywilnemu, obaj sympatyczni. Nagle uświadomiłam sobie, że młodszego znam, zaraz, jak mu wtedy było, kapral Górski...!

— O, jak miło pana zobaczyć! — wykrzyknęłam z uciechą, z miejsca przypomniawszy sobie wszystkie nasze perypetie sprzed kilku lat. — Awansował pan na nowo? I jak teraz...?

Były kapral Górski odrobinę się zaróżowił, z czego bystro wywnioskowałam, że minionych komplikacji etyczno-uczuciowo-zawodowych nie należy chwilowo eksponować. Ugryzłam się w język i z lekkim wysiłkiem przestawiłam na opanowanie i powściągliwość.

Przedstawili się obaj oficjalnie. Kapral Górski okazał się obecnie komisarzem, wedle mojej prywatnej nomenklatury porucznikiem, znaczy poszedł o stopień wyżej od tego czegoś, z czego go zdegradowali. Widocznie udało mu się zrealizować ówczesne zamia-ry.

— Nie chcemy pani zbyt przeszkadzać — rzekł ten drugi, starszy, podinspektor Biezan, szybko obliczyłam sobie, że dawniej major — ale prowadzimy tę sprawę i musimy popatrzeć na miejsce wydarzenia. Z różnych stron.

— Może najlepiej z tej, od której ja patrzyłam? — podsunęła Martusia zachęcająco, zanim zdążyłam się odezwać.

— Możemy i z tej, bardzo chętnie. Także z innych.

— Chce pan kluczyki od śmietnika? — spytałam z rezygnacją. — Już wiem, gdzie leżą.

— Za chwilę. Najpierw popatrzymy od zewnątrz. Panie wiedzą, jak to było.

Panie wiedziały mnóstwo. Martusia odpracowała całą scenę swojego przyjazdu, zrobiłam jej przy tej okazji kilka podobizn. Panowie, podinspektor Biezan i komisarz Górski, ustawiali się w rozmaitych miejscach i wpatrywali się to w mój śmietnik, to w ziemię, pilnie porównując teren ze swoimi zdjęciami, których mieli piękny komplet. Porozumiewali się ze sobą półsłówkami, ale żadna z nas nie była głucha ani całkowicie niedorozwinięta, udało nam się zatem wywnioskować, że ofiara, wysiadłszy ze wskazanego przez psa samochodu, szła ku mojej furtce. Samochód znajdował się za nią i z niego padł strzał. Trafiło ją w plecy, obróciło troszeczkę, upadła na tę małą górkę mojej ziemi, pożał się Boże, ogrodniczej i zjechała z niej łagodnie pod zwisające obficie gałęzie wierzby.

Jeśli strzelał kierowca, łatwo było wydedukować, że samochód stał przodem do niej i do mojego domu, kierowca siedzi bowiem na ogół po lewej stronie. Wystarczyło otworzyć drzwiczki albo opuścić szybę...

— Szczególnie, jeśli był leworęczny — zauważyła Martusia. — Bo inaczej musiałyby się chyba tak jakoś wygiąć, nie?

— Mógł się tylko wychylić i trzymać kopyto dwiema rękami — odparłam niepewnie, usiłując wyobrazić sobie scenę. — Możemy spróbować, chcesz?

— Masz spluwę? Mówiłaś, że nie masz!

— Będę trzymać cokolwiek. Kawał drewna. Tylko trzeba by przedtem wyjechać z garażu, bo tam cholernie ciasno.

— Na kawał drewna mogę się zgodzić. Obie kolejno spróbujemy!

Panowie śledczy też nie byli głusi i nasze dedukcje do nich dotarły. Nie zaprzeczali niczemu, obejrzeni jeszcze śmietnik od strony ogrodu, na wnętrzu urzędnika im nie zależało, wrócili do domu i spytali mnie o ruch na drodze.

Wyjaśniłam grzecznie, że przedstawia się on bardzo rozmaicie. Ulica in spe jest przelotowa, można na nią wjechać z dwóch stron, z tym że z jednej jest dość wygodnie, chociaż wąsko, a z drugiej rozwała się opony, miski olejowe i czasem nawet resory. Ale ludzie jeżdżą, aczkolwiek ostatnio pojawił się tam jakiś dodatkowy wykop w poprzek. Jeżdżą także dźwigi, wywrotki, betoniarki, koparki podsiębierne i różne inne tym podobne pojazdy, kiedy budowa naprzeciwko idzie. W tej chwili właśnie stoi, nic budowlanego zatem nie jeździ, tylko osobowe. Rano nieco gęściej, bo ludzie udają się do pracy, później zaś, po południu i wieczorem, wracają rozmaicie i w zasadzie panuje spokój. Chyba że u mnie jest akurat zbiegowisko służbowe i gęsty ruch szaleje przed moim domem.

— A ludzie? Mam na myśli, przechodnie. Ludzie na piechotę.

— Chodzą, owszem, dlaczego nie. Rzadko. To nie jest miejsce cudownie pięknej promenady. I pora niewłaściwa, do sklepu idą wcześniej, z psami wychodzą później. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Za mało siedzisz w oknie i wyglądasz — zganiła mnie Martusia.

— Możliwe. Bardzo przepraszam.

— Ale jednak ludzie chodzą — podjął swoje podinspektor — i dziwi mnie, że nikt tej denatki nie zauważył wcześniej. Leżała, tu przecież co najmniej godzinę.

— Odzież — mruknęłam.

— Co odzież?

— Ubrana była odpowiednio. Pasowała kolorystycznie do terenu.

— Miała na sobie czarne spodnie i bluzkę w szerokie pasy — wtrąciła żywo Martusia.

— Cała była zgniłozielono-czarna.

— Zgadza się. — przyświadczyłam. — Można było nie zwrócić na nią uwagi. Martusia ma filmowe oko, więc zwróciła.

Pozastanawiali się chwilę nad tym i dali spokój tematowi, przyznając zapewne słuszność naszym poglądom. Komisarz Górski skierował pytające spojrzenie na swojego zwierzchnika, podinspektor Bieżan delikatnie kiwnął głową.

— No więc pani odpada — rzekł do mnie Górski z wyraźną ulgą. — Pani natomiast, bardzo mi przykro, jeszcze nie.

To było do Martusi, która bardziej się zdumiała niż przestraszyła.

— Dlaczego ja nie? Bo co? Dlaczego miałam kropnąć obcą babę i w dodatku pod śmietnikiem Joanny? I jakim sposobem, rozdwoiłam się czy co?

— Powiedziałem: jeszcze. Obie panie doskonale się orientują, że musimy sprawdzić, gdzie pani była wcześniej...

— W telewizji! Na Woronicza!

— Mam nadzieję, że ktoś tam panią widział?

— Wszyscy! Kłóciłam się!

— Zatem sprawdzić będzie łatwo...

— Wcale nie wiem — przerwałam złowieszczo. — Telewizja jest to instytucja nieobliczalna. Mogą powiedzieć, że jej w życiu na oczy nie widzieli i w ogóle jej nie znają.

— No, jeśli Boguś powie, że mnie nie zna, wydrapanie oczków ma jak w banku...!

— Musisz mu drapać oczków? Nie może być oczek?

— Oczków i oczek, i noseczka, i uszków naderwać...!

— Dla uproszczenia sprawy niech pani może powie, z kim pani tam rozmawiała — poprosił Bieżan.

Rozwścieczona samą myślą o podłej dywersji telewizyjnej, Martusia sypnęła nazwiskami i nawet numerami pomieszczeń. Słuchałam tego bez wielkich emocji, bo wiedziałam przecież, po co tam była, co załatwiała i z kim. Że się kłóciła, to pewne, trudno było jej nie zauważyć, a jeśli gliny zaczną pytać dyplomatycznie, nie wyjawiając przyczyny...

— Ale niech panowie nie mówią im tak od razu, o co jest podejrzana — ostrzegłam. — Parę osób mogło się tam zdenerwować i zaprzeczać teraz jej na złość. To nie jest gro-  
no anielskie.

— A my, proszę pani, tacy znów bardzo gadatliwi nie jesteśmy — przypomniał mi łagodnie komisarz Górski.

Poszli wreszcie. Przystąpiliśmy do śledztwa osobistego, bo wcale nie byłam pewna, czy podejrzenia tak całkowicie ze mnie spadły. Jeszcze raz poszłam oglądać śmietnik od zewnątrz i spłoszyłam cztery koty, siedzące na wierzbie...

\* \* \*

Nazajutrz o poranku Edzio z Robertem, czyli podinspektor Bieżan z komisarzem Górskim, dysponowali już wiedzą olbrzymią, tyle że wszystkie uzyskane informacje uparcie wydawały im się jakby nieco sprzeczne ze sobą nawzajem. Ciągłe się coś nie zgadzało.



Brat ofiary, Włodzimierz Mięczak, w najmniejszym stopniu nie pasował do swojego nazwiska. Był energiczny, stanowczy, bystry, poglądy miał ugruntowane i trzymał się własnego zdania. Komunikat o tragicznym zejściu siostry przyjął ze śmiertelnym zdumieniem i niedowierzaniem.

— Pan jest pewien, że to ona? — spytał podejrzliwie. — Nie zachodzi tu jakaś pomyłka?

Bieżan pożałował, że nie wziął ze sobą zdjęcia ofiary, ale i tak w planach mieli identyfikację zwłok, więc nie była to strata nieodwracalna. Umówili się na tę identyfikację od razu, na następny dzień rano.

Ponadto brat oświadczył, że o wrogach siostry nic konkretnego nie wie, pracowali obydwój intensywnie w zupełnie różnych dziedzinach, widywali się rzadko, tak że trzy razy do roku, przeważnie u rodziców, jakiś czas temu siostra miała kłopoty, wyleciała z prokuratury, ściśle biorąc, zrezygnowała sama, ale pod przymusem, bo atmosfera wokół niej zrobiła się jakaś nieprzyjemna. Na czym polegała nieprzyjemność, nie pamięta, nie wnikał, jego zdaniem żadnego prokuratora nic przyjemnego nie może otaczać. Podał nazwisko przyjaciółki, którą znał od dawna, bo była to przyjaźń jeszcze ze szkolnej ławy.

Rozwiedziony mąż, Stefan Borkowski, okazał się rozmowniejszy, chociaż widać było, że stara się wypowiadać powściągliwie. Stwierdził, że jakiś czas temu, przed trzema albo czterema laty, w jego byłą żonę jakieś złe wstąpiło i zaczęła się zachowywać skandalicznie. Różne awantury urządzała publicznie po pijanemu, nachodziła obcych ludzi, nękała ich przez telefon, stała się zgoła kompromitująca i on tego nie wytrzymał. W dodatku łągała, wypierała się, nie sposób było się z nią dogadać, raz ją policja zgarnęła z ulicy do żłobka, uciekła im, dobiegły go słuchy, że coś gdzieś ukradła, nie wytrzymał tego i wniósł sprawę o rozwód. Jest człowiekiem przyzwoitym, pracującym, na odpowiedzialnym stanowisku i na takie rzeczy nie może sobie pozwalać.

— A w domu? — spytał Bieżan.

— W domu jej prawie nie było, a jeśli była, siedziała z nosem w papierach, wcześniej w aktach prokuratora, później w jakichś tekstach, artykułach, korespondencji... Dzieci były zmuszane do samoobsługi, jako matka chyba nie zdała egzaminu...

— Bywała pijana także i w domu?

— Nie. W domu nie. Korespondowało to ściśle z kłamstwami, że wszystko nieprawda, ona nic nagannego nie robi. Głupio mi było strasznie, czułem się permanentnie oszukiwany...

Nazwisko przyjaciółki potwierdził, ale przyjaciółki w domu nie było i Bieżan nie zdążył jej dopaść, przed nocą. Za to Robert Górski przyniósł wieści odmiennej natury, pochodzące od rodziców, ściślej biorąc, od ojca, bo matce nie uwierzył. Jego zdaniem, każda matka miała prawo wybielać córkę.



Mimo szoku i rozpaczy, ojciec wypowiedział się rozsądnie i stanowczo.

— Rozmawiałem z córką. Niewiele powiedziała, bo przywykła swoje sprawy załatwiać sama, ale jednak poskarżyła się. Jakieś plotki o niej krążą, ktoś się specjalnie stara, żeby ją obgadać, obmówić... Nie miała czasu ani chęci badać tego wnikliwie, zajęta była, dużo pracowała, trochę to traktowała lekceważąco i z humorem, bo też istotnie były to rzeczy bez sensu. Absurdalne. Nie wyobrażam sobie mojej córki, ordynarnie wymyślającej komuś na ulicy. Jestem prawnikiem, cywilistą, wielokrotnie radziła się mnie w sprawach służbowych, rzecz jasna, w ramach obowiązkowej dyskrecji. Później też zajmowała się kwestiami prawnymi, w różnych redakcjach, też konsultowała ze mną rozmaite problemy. Nie wiem, nie rozumiem, dopuszczam możliwość, że mścił się na niej w ten sposób ktoś kiedyś skazany...

Czystym przypadkiem w chwili jego rozmowy i ojcem odezwał się telefon. Jakaś osoba z jakiejś redakcji poszukiwała Barbary Borkowskiej, znała ją doskonale, znała telefon rodziców, pytała, czy jej tam przypadkiem nie ma, bo ma pilną sprawę, a komórka nie odpowiada. Robert skorzystał z okazji i w godzinę później porozmawiał także z osobą.

— No i całkiem nic z tego nie rozumiem — powiedział z irytacją do Bieżana, kiedy o poranku omawiali wyniki dotychczasowego dochodzenia. — Pracująca kobieta, świetny prawnik, obowiązkowa, inteligentna, punktualna, sympatyczna, życzliwa ludziom, a równocześnie pijaczka, awanturnica, nieodpowiedzialna, puszczałska, teraz to się elegancko nazywa nimfomanka, szlajająca się po knajpach, zatruwająca ludziom życie. Czy tam, pod tym śmietnikiem Chmielewskiej, nie leżały przypadkiem dwie osoby? A myśmy jedną przeoczyli?

— Mam dokładnie to samo wrażenie — zapewnił go Bieżan. — Ciekawa postać. Dzięki czemu motywu zbrodni możemy szukać w czterech stronach świata. Zaczynam rozumieć za to drugą żonę tego męża.

— Bo co?

— Bo w pierwszej chwili zdziwiłem się, tak jakoś odruchowo i podświadomie, że wziął sobie obladro. Cicha myszka, taka bezbarwna, małowówna, jakby jej wcale nie było. Nawet ładna, ale ciężko się w niej urody dopatrzeć, bo nie eksponuje. Nieefektowna. Wpatrzona w niego jak w obraz święty, widać, że nie ma świata, poza nim. I do dzieci też jakaś taka, niby dobra, ale niemrawa. Teraz wiem, to miał być kontrast. Cisza po huraganie.

— No dobrze, ale ten huragan też, można powiedzieć, niezdyscyplinowany. To wieje, to przy robocie siedzi i poważnie ją traktuje. Tę robotę. Wedle tej facetki, sekretarz redakcji tygodnika „Prawo i Życie”, w życiu takiego dziennikarza nie miała, wprost perła, fachowość, rzetelność i tak dalej. I świetnie pisze. Znaczy, pisała, ale ona, ta, jak jej tam, Anna Parlicka, czasu przeszłego nie przyjęła do wiadomości i mówiła w terażniejszym.

Kieliszka wódki w jej ustach nie widziała!

Bieżan przez chwilę intensywnie myślał.

— Otóż to! — rzekł w zadumie. — Mamy tu wstępne zeznania, zaraz, niech policzę, siedmiu osób, z których ani jedna nie była naocznym świadkiem ekscesów denatki. Wszyscy albo operują plotkami, albo osobiście stwierdzają solidność. Możliwe, że ten ojciec ma rację, ktoś jej robił koło pióra.

— A ona się nie ugięła, więc ją kropnął? — ożywił się Robert.

— Niewykluczone. Ale teraz pytanie, dlaczego ją kropnął. Czego się spodziewał po tej akcji plotkarskiej i co mu nie wyszło?

— Zaraz, a brat...? Że to nie ona...?

— Więcej żywił dla siostry uczuć niż okazywał i teraz nie chce uwierzyć. To lekarz, chirurg, już miałem telefon, prosił, nie on, recepcjonistka czy pielęgniarka w szpitalu, żeby przełożyć na jutro, bo ma z wypadków cztery operacje pod rząd i dwie zaplanowane. Błaga, żeby nie rodzice, tylko on, boi się o matkę.

— Może być chyba jutro, nie? Zwłoki nie uciekną?

— Nawet wolę jutro. Zdążą jej zrobić kosmetykę. Czekać, zastanawiam się, kogo łąpać... Przyjaciółkę!

Przyjaciółka została złapana w miejscu pracy, oprowadzała właśnie po Starym Mieście wycieczkę cudzoziemców, bo ukończywszy historię, zatrudniała się teraz jako przewodnik po zabytkach. Zastępstwa przewidzianego nie miała, dziko zdenerwowana, umówiła się, że skróci peregrynacje historyczne i pozbędzie się wycieczki, po czym, po godzinie z drobnymi groszami, wyrwała się z tłumu i wsiadła do samochodu Bieżana. Czekali na nią obaj z Górskim na Podwalu pod Kilińskim.

— Baśka...? — spytała w przerażeniu. — Ależ to niemożliwe! Ja nie chcę! Ja się nie zgadzam!!!

Zważywszy, iż z miejsca dostała jakiegoś okropnego szoku, została odwieziona do pogotowia, gdzie zabroniono rozmawiać z nią co najmniej przez najbliższe cztery godziny. Śledztwo ruszało Bieżanowi jak po grudzie. Wymyślił następną redakcję, „Poradnik prawny”, licząc na to, że współpracownicy żadnych szoków nie doznają, najwyżej się zdenerwują, ale to było do opanowania.

Dowiedział się tam tego samego, co od Anny Parlickiej. Że Barbara Borkowska to znakomity fachowiec w dziedzinie prawa, jednostka odpowiedzialna, punktualna, solidna, żadnych spóźnień z jej strony, żadnej nawalanki, owszem, jakieś plotki krążyły na temat jej alkoholizmu, ale w pracy to nie przeszkadzało, więc kogo obchodzi, czy ona się upija, czy nie. W pijanym widzie żadnego artykułu nie napisała, a jeśli nawet, miał on sens i nikt upojenia nie zauważył. Jeśli wszyscy alkoholicy mieliby tak pisać, proszę uprzejmie, chętnie zatrudnią alkoholików. Nie podrywała nikogo, nie sypiała z kolegami po fachu, nie wymyślała nikomu rysztołowymi słowami, aczkolwiek, ogólnie biorąc, leksykon miała niezły. Każdemu dziennikarzowi znajomość języka ojczystego jest nader przydatna.

— Może jestem głupi, ale nadal widzę w tym dziki melanz — rzekł Robert Górski z rozpaczliwą determinacją. — I może jestem jeszcze głupszy niż jestem, ale bez rozplatania tej gmatwaniny charakterologicznej nie widzę szansy na znalezienie motywu.

— Wcale nie jesteś taki głupi, jak ci się wydaje — pocieszył go Bieżan w lekkim roztargnieniu. — Mam bardzo podobne poglądy. Człowiek żyje w domu, pokaż mi twoje mieszkanie, a powiem ci, kim jesteś. Wejdziemy w tę kołomyję od podstaw, ta przyjaciółka, jak jej tam, Agata Młyniak, może poczekać. Bardziej przyjdzie do siebie. Bierzemy ludzi i jedziemy do niej.

I tak uczynili.

\* \* \*

Po tygodniu nieobecności wróciłam do domu. Musiałam odpocząć, musiałam na nowo nabrać wigoru i przystosować się do życia. Już trzeciego dnia urlopu zregenerowałam się i pozostałe cztery poświęciłam nabieraniu zapasu sił. Po czym przyjechałam dość późnym popołudniem, o zachodzie słońca, kiedy ledwo zaczynało się ściemniać.

Zupełnie zwyczajnie wywlokłam torbę z samochodu, wjechałam na trzecie piętro i wetknęłam klucz do zamka. Tego dolnego, pod klamką, bo zawsze w ten sposób otwierałam mieszkanie, zamknięte na dłużej.

Klucz nie chciał się przekręcić.

Zdziwiło mnie to, ale jakoś tak byle jak, wyjeżdżałam w stresie i mogłam coś przeczyć. Wetknęłam górny, od zasuw, też się nie chciał przekręcić. Nic nie myśląc i nic nie rozumiejąc, jeszcze bez niepokoju, przycisnęłam klamkę. Drzwi okazały się otwarte, a za nimi ujrzałam jakichś obcych facetów.

Co najmniej trzech albo czterech rabowało mi mieszkanie. W przedpokoju leżały wszystkie buty, wywalone z szafki, z kuchni wyrzała obca morda, dalej dostrzegłam wypięty zad jakiegoś, który grzebał w komodzie. Na inne widoki nie czekałam, w mgnieniu oka przeleciało mi przez głowę wszystko, co wiedziałam o bandziorach, co znałam z praktyki, chamstwo i brutalność bezwzględna, zaskoczeni na rabunku, mordują, walą po zębach, duszą, strzelają bez opamiętania, wiążą i torturują, żeby im zdradzić miejsce ukrycia pieniędzy albo kosztowności. Już się rozpędziłam narażać na te rozkosze, szczególnie, że sejf z skarbami nie posiadałam, w co z pewnością nie zgodziliby się uwierzyć. Pryskać zatem i dzwonić do glin!

Cofnęłam się od progu, trzasnęłam drzwiami i runęłam ku windzie skokiem tygrysim, a może nawet kangurzym. Stała jeszcze na moim piętrze, zdążyła się zamknąć, zanim jej dopadli. Dwóch wyleciało za mną, od razu ruszyli w dół, po schodach. W dramatycznych chwilach myśl biegnie ze zdwojoną szybkością, lub też kamienieje, u mnie nastąpił ten pierwszy przypadek, udało mi się wycelować w guzik drugiego piętra. Kiedy na drugim piętrze przyciskałam szóste, oni już byli poniżej pierwszego, wy-

hamowali z poślizgiem i zawrócili. Szybciej — jednakże leci się na dół niż do góry, wyskakując na szóstym, słyszałam łomot poniżej czwartego.

Jak oszalała, łupnęłam pięściami w drzwi Marioli, musiała być w domu, dzwoniłam do niej z drogi, zaprosiła mnie na obiad! Wałac i dzwoniąc, wrzeszczałam równocześnie:

— Otwieraj!!! To ja!!! Prędzej!!!

Otworzyła błyskawicznie.

— Przecież otwarte. Czekam na ciebie! Jezus Mario, co się stało...?

Wpadłam do niej, dopiero teraz uświadamiając sobie, że uprawiam tę gimnastykę cały czas z ciężką torbą w ręku. Rzuciłam torbę, zatrzasnęłam za sobą drzwi.

— Zamykaj! Na wszystkie zamki! Goniaj mnie!

Jeszcze szczękała swoimi zasuwaniami, kiedy dopadłam telefonu.

Jasne, że mogłam dzwonić przez komórkę nawet z windy, chociaż diabli wiedzą czy w windach odbiór nie zanika, ale z komórki dodzwonić się pod alarmowe telefony, to już lepiej lecieć do komendy piechotą. U Marioli miałam stacjonarny.

Do faceta, który się zgłosił jakoś zdumiewająco szybko, powiedziałam spokojnym i opanowanym głosem:

— Proszę pana, przed chwilą wróciłam z podróży i stwierdziłam, że jakieś bandziory rabują moje mieszkanie. Uciekłam z progu i dzwonię od sąsiadów trzy piętra wyżej. Do tego stopnia bezczelni, że gonili mnie po schodach i teraz się kotłują tutaj pod drzwiami. Trzech widziałam wyraźnie, ale mam wrażenie, że jest ich tam więcej, co najmniej czterech. Proszę coś zrobić możliwie szybko, bo mi rozwalą cały dom.

— Pani nazwisko i adres poproszę. I numer telefonu, z którego pani dzwoni.

Zaspokoiliam jego wymagania i odłożyłam słuchawkę. Mariola nie musiała o nic pytać, stała obok i wszystko słyszała. Tamci za drzwiami chyba zrezygnowali i odeszli, bo zapanowała cisza.

— Za skarby świata nie otworzę teraz i nie wyjrzę — zarzekła się — ale chyba muszę uprzedzić Mundzia, lada chwila powinien wrócić i jeszcze się na nich nadzieje.

— Uprzedź — zgodziłam się. — Niech może pojedzie na siódme i z góry popatrzy, co się tu dzieje. Ma komórkę?

— Ma.

— To czekaj, zadzwoń z mojej, bo gliny mogą sprawdzać, czy to nie wygłup, i zadzwonić do ciebie.

Wygrzebałam komórkę z dna torebki. No jasne, trudno się dziwić, że się nią nie posłużyłam, skoro znajdowała się pod całym normalnym torebkowym śmietnikiem. Mogli mnie pięć razy udusić, zanim bym się jej domacała.

Mariola dzwoniła, a mnie przychodziły na myśl rozmaite głupoty. Śmieszna rzecz, z nią byłam na”ty”, a z jej mężem na”panie Rajmundzie”. Jakoś mi to lepiej pasowało, coś

w nim było takiego, że wolałam utrzymywać lekki dystans. Znaliśmy się wszyscy, z moim mężem włącznie, prawie dziesięć lat, przez przypadek wprowadzaliśmy się do tego domu równocześnie, dwie rodziny razem w windzie i na schodach z całym mieszkaniowym majdanem. Na tych schodach się chyba zaprzyjaźniliśmy, kiedy w którymś momencie byłam zmuszona przełazić górą przez ich kredens, który nie mieścił się nigdzie, winda zaś była zapchana naszymi materacami. Potem, przez kilka trudnych dni, zapraszaliśmy się wzajemnie na posiłki, żeby uprościć robotę żywieniową, na zmianę, raz ona, raz ja, bo po co tracić czas niepotrzebnie. Jedną noc, z racji robót wykończeniowych, oni spędzili u nas, a jedną my u nich i bliska znajomość została zawarta.

Ja wtedy gotowałam głównie makaron i ryż oraz przyrządzałam jajka w postaci jajecznic i omletów, a Mariola obierała kartofle, co uszczęśliwiało mojego męża. Uwielbiał kartofle. Zaraz, chyba uwielbia nadal, żyje przecież...? Jak ona na to obieranie znajdowała czas...?

Już też nie miałam kiedy wdać się w te wspominki, tylko akurat teraz, w chwili rabunku mojego mienia! Upadłam na głowę, to zapewne obrona organizmu przed zbyt silnym szokiem...

Telefon nie dzwonił, Mundzio zapowiedział swój powrót dopiero za trzy kwadranse, w cichości ducha podejrzewałam, że woli przeczekać wizytę bandziorów w jakimś oddaleniu i przyjść na gotowe, kiedy już policja zrobi z tym porządek. Mariola powiedziała to głośno, bez żadnego rozgoryczenia, raczej aprobując jego ostrożność, po czym wyciągnęła z lodówki białe wino.

— To lekki trunek — rzekła zachęcająco. — W tak katastroficznych okolicznościach pozwolimy sobie na mały aperitif...

\* \* \*

Policyjny ślusarz nie zawiódł oczekiwań.

Zajrawszy wreszcie do upragnionego mieszkania, stwierdzili, iż ofiara zajmowała lokal trzypokojowy z kuchnią i łazienką, porządek w nim panował przeciętny, żadnych brudnych naczyń w kuchni, żadnych śladów uczt i libacji, w łazience stertka łachów osobistych, przygotowanych do prania, w jednym pokoju biurko, zavalone mnóstwem papierów, komputer, drukarka, ogromna ilość książek wszędzie, nieco zaniedbane kwiatki na parapetach, odzież i bielizna w szafach raczej skotłowana, w lodówce nader nikła ilość alkoholu, wiekowa, ale bardzo ładna dekoracja z suchych roślin i, co osobliwe, w tym wszystkim jakiś wdźwięk. Urok. Smak. Talent plastyczny chyba, bo nawet bluzka, rzucona byle jak na krzesło przy tapczanie, pasowała kolorem do otoczenia, nawet śmietnik na biurku tworzył miłą dla oka kompozycję. Dziwne...

Równie dziwna wydała im się nikła warstewka kurzu na wszystkim. Nie sam kurz, jako taki, bo na i pedantkę ofiara nie wyglądała, ale właśnie jego równomierność. Było

go tak niewiele, że nie zwróciliby może uwagi, gdyby nie słońce, które padło akurat na lśniące kawałki biurka i papierowy śmietnik, ujawniając jednolitość powierzchni. Mogła kurzu wcale nie ścierać, ale wówczas leżałby różnie, tu więcej, tam mniej...

— Coś mi tu nie pasuje — powiedział w zamyśleniu Bieżan, wstrzymując na razie działalność przybyłej z nim razem ekipy. — Żywego ducha w tym pomieszczeniu nie było co najmniej od tygodnia. W ogóle nie wracała do domu czy jak...?

— A równocześnie wygląda, jakby wyszła przed chwilą — skrzywił się Górski z niezadowolaniem. — W łazience kosmetyki, ręcznik, szlafrok... Wyszła zwyczajnie i coś jej przeszkodziło wrócić?

— No, raczej przeszkodziło radykalnie...

— Przecież nie żyje dopiero od przedwczoraj!

— Toteż dlatego trzeba się temu przyjrzeć. Przy okazji odpada przypuszczenie, że oddała klucze sprzątacze...

— Sprzątaczkę tu nie było — zaopiniował stanowczo Robert. — Widzimy na własne oczy. Kurze by wytarła w pierwszej kolejności.

— No dobra, chłopcy, ruszamy...

Ruszyli metodycznie i spokojnie. Pracowali już prawie godzinę, przeglądając zawalone papierami biurko i pełną różnych teczek komodę, technik, fotograf i daktyloskop zbierali i zabezpieczali wszelkie możliwe ślady, daktyloskop wydziwiał nad jakimś kwiatkiem, który mu kwitł o niewłaściwej porze roku, technik kręcił nosem w kuchni, badając produkty spożywcze w lodówce, przydzielony im do pomocy na wszelki wypadek sierżant Zabój opróżnił szafkę z butami, kiedy nagle usłyszeli szcęknięcie klucza w zamkach drzwi wejściowych. Ktoś spróbował dolnego, potem górnego, a potem uchylił drzwi. Nie zdążyli tego kogoś nawet porządnie zobaczyć, bo trwało to półtorej sekundy. Drzwi zatrzęsły się z hukiem, a indywiduum zwało.

— Łapcie go! — wrzasnął Bieżan.

W pogoń skoczyli Robert Górski i sierżant Zabój. Drzwi windy zatrzęsły się im przed nosem, runęli w dół po schodach, dali się złapać na podstęp, jadąca już winda zatrzymała się na drugim piętrze i poszła w górę. Prawie z nią wyrównali, ale jednak była szybsza, dostrzegli jeszcze tylko, że zamykają się drzwi mieszkania na szóstym piętrze.

— Lokal numer sześćdziesiąt jeden — zaraportował Górski, wróciwszy nieco zdyszany. — Spróbowałem grzecznie zapukać, ale nikt nie otworzył.

— Nie szkodzi, oknem nie ucieknie, szóste piętro. Niech tam Zabój posiedzi na schodach i oka od drzwi nie odrywa, zaraz, która to strona? Tylna, bardzo dobrze, żadnych gzymsów nie ma, oszczędnościowo elewację zrobili. A z prześcieradłami musiałoby potrwać, co nie przeszkadza, że trzeba ściągnąć człowieka, niech popatrzy na wszelki wypadek. No i proszę, znalazły się klucze...

Zadzwoił i załatwił sprawę, bardzo zadowolony z wydarzenia, które mogło mu dostarczyć nowego materiału.



Dokładnie w tym samym momencie, zadzwoniła jego komórka, a do drzwi załomotał ktoś następny, komu czym prędzej otworzono. W przedpokoju penetrowanego mieszkania Bieżan ujrzał dwóch policjantów z patrolu. Gestem kazał Górskiemu dogadać się z nimi, a sam zajął się rozmową telefoniczną.

— Niejaka Barbara Borkowska zgłosiła przed chwilą włamanie do jej mieszkania — usłyszał. — Radiowóz już wysłany, ale zdaje się, że Borkowska należy do waszej sprawy, kryptonim „Wierzbą”, i, zaraz, sprawdzam... Adres się zgadza, ten sam... Moment, mnie tu wychodzi, że Borkowska Barbara to denatka...?

— Owszem, denatka — potwierdził sucho Bieżan, z wysiłkiem kryjąc zaskoczenie. — Osobiście dzwoniła?

Zarazem uświadomił sobie głupotę pytania i aż mu się gorąco zrobiło. Oficer po drugiej stronie też musiał zbaranieć, bo potwierdził. Tak jest, ofiara w tej sprawie, denatka, dzwoniła niejako od siebie, więc chyba osobiście.

Wyłączając komórkę, Bieżan ujrzał wyraz twarzy Górskiego i wręcz ucieszył się, że nie jest osamotniony w osłupieniu. Patrol potwierdził informację, zostali tu przysłani, ponieważ w mieszkaniu numer trzydzieści sześć znajdują się podobno włamywacze, akurat byli radiowozem blisko, więc udało im się szybko przyjechać. Zawiadomiła właścicielka mieszkania, niejaka Barbara Borkowska. Więcej nie wiedzą, a co do włamywaczy, to podinspektora Bieżana i komisarza Górskiego znają osobiście i nie są pewni, czy powinni ich zakuć w kajdanki.

Technik, daktyloskop i fotograf uparcie robili swoje, na nikogo nie zwracając uwagi.

Nie takie rzeczy już bywały udziałem policji, chociaż nieżywe ofiary zbrodni odzywały się raczej dość rzadko, tu zatem zachodziła przypadłość nietypowa, Bieżan jednakże rychło odzyskał równowagę. Najprościej było przyjąć, że ktoś sobie zrobił głupi żart, co przytrafiło się nagminnie, nędznie za to wyglądała sytuacja żartownisia. Wiadomo było, gdzie się znajduje, najprawdopodobniej w lokalu numer sześćdziesiąt jeden. Bieżan był zły i postanowił sobie z wesołością pogadać od serca. Zwolnił patrol, upewnił się, że na tyłach budynku siedzi już jego człowiek, sprawdził, czy sierżant Zabój ma dobry widok na drzwi podejrzanego mieszkania i odetchnął.

— Widziałeś w ogóle tego, co grzebał kluczem? — spytał Roberta.

— Nie. Przy komodzie byłem. Zabój był w przedpokoju, a Nowicki w kuchni. — Bieżan wezwał technika Nowickiego.

— Widziałeś tego w drzwiach?

— O tyle, o ile. Mignęły mi spodnie, chyba dżinsy, jedna ręka w ciemnym rękawie i ćwierć łba. Coś rudego to miało na głowie.

— Facet w ogóle czy baba?

— A cholera wie. Mogło być i jedno, i drugie. Ale jeśli facet, to mikry, chłopak może. Bykowatość rzuca się w oczy.



— A w windzie? Jak wpadał do windy?

— Już się drzwi zamykały — zwrócił uwagę Robert. — Rude na głowie, fakt, też mi się jakoś w oczy rzuciło. I majaczy mi się, że to miało jakiś bagaż, ale konkretnie nie powiem, bo to było jakby zmaza. Albo nawet jeszcze mniej, czy ja wiem, ruch ramienia...?

— W meldunku było, że facetka wróciła do domu z podróży, bagaż by pasował. Niemożliwe, żeby ktoś latał z ciężarami wyłącznie dla głupiego dowcipu. Musiałby to być ktoś, kto nas cholernie nie lubi. Mnie, ciebie, Wrzeszczaka...

— Mnie wszyscy lubią — oznajmił z energią daktyloskop. — Ja jestem sympatyczny i żadnej dziewczyny od lat nie puściłem kantem!

— No to może Nowickiego albo Drała...

— A dlaczego nie Zabója? — zaprotestował z urazą fotograf Dral.

— Uspokójcie się, snuję hipotezy. Poza wszystkim, ten, ta, to, miało klucze. Dobra, róbcie swoje delikatnie. Robert, idziemy na górę, jeśli nam nie otworzą, jak Boga kocham, wyłamiemy drzwi. Jakie one?

— Nie antywłamaniowe, zwyczajne, drzwi jak drzwi...

Na górę nie poszli, tylko pojechali windą.

\* \* \*

Aperitif smakował nam coraz bardziej, na przekąskę Mariola wyciągnęła serek i zaczęła żałować Mundzia. Biedny chłopiec, taka świetna przystawka go ominęła! Ciekawe, swoją drogą, co się tam dzieje u mnie, na dole, okradli mnie doszczętnie czy tylko częściowo?

— Miałaś w ogóle coś cennego? — spytała z troską.

— Komputer — zaczęłam wyliczać. — Bierz diabli zawartość, dyskietkę wożę ze sobą, ale szkoda mi pieniędzy na nowy. Kolekcję kamieni półszlachetnych i byle jakich, częściowo oszlifowanych, wartość właściwie żadna, ale ja je lubię. Książki, kosmetyki, siedem pustych portmonetek, biżuteria, sztuczna, ale ładna, głównie za to dostaną.

— I dobrze im tak — powiedziała Mariola z wielką satysfakcją.

— Starą kurtkę futrzaną, szwy się w niej rozchodzą, gdyby ją ukradli, ucieszyłabym się bardzo, bo wiesz, jak to jest. Niby już do niczego, a wyrzucić szkoda. No, radio, takie małe, czy ja wiem, co jeszcze...? Same przedmioty użytkowe, co, do diabła, przyjdzie im z długopisów, szklanek, używanych ręczników? Musiałabym upaść na głowę, żeby kraść w takim domu, jak mój!

— Może się pomylili...?

— No to dobrze im tak. Polej jeszcze trochę, wstyd zostawiać tę odrobinę na dnie butelki. Pieniądze mam w banku, a czeki przy sobie, zaraz jutro kupię parę flaszek, bo zostałam przy życiu i trzeba to uczcić!

— Łaska boska, że uciekłaś od razu i nie próbowałaś się z nimi bić — powiedziała Mariola pobożnie.

Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, że nie zwariowałam jeszcze do reszty, bo ktoś zadzwonił do drzwi. Zadzwonił zwyczajnie, nie natrętnie, tak jakoś łagodnie i nieśmiało, że Mariola bez sekundy namysłu poszła otworzyć. Nawet nie spytała: „Kto tam?”. Możliwe, że wpływ na to miało pół butelki białego wina reńskiego.

Za drzwiami stało dwóch obcych facetów, którzy przedstawili się szybciej niż dali obejrzeć.

— Podinspektor Edward Biezan i komisarz Robert Górski. Proszę, oto legitymacje.

Ucieszyłam się nadzwyczajnie i zerwałam z krzesła.

— Co za szczęście! Panowie, co się tam dzieje, w moim mieszkaniu? Złapaliście tych bandziorów? Zdążyli mnie okraść? Zdewastowali wszystko? Zabrali komputer czy został...?

— Chwileczkę, proszę pani — powiedział bardzo łagodnie podinspektor. — To pani dzwoniła z zawiadomieniem o włamaniu?

— Ja, oczywiście! To przecież moje mieszkanie! Niechże pan powie od razu, co mi ukradli i zniszczyli?!

— Moment. Nie ukradli niczego...

Oślabłam z ulgi i czym prędzej z powrotem usiadłam na krześle przy stole Marioli.

— ...ale może zechce nam pani pokazać jakiś dokument tożsamości. Najlepiej dowód osobisty.

Ależ proszę bardzo, w obliczu tak pięknej informacji mogłam im pokazywać wszystko, cokolwiek miałam przy sobie.

W pośpiechu wyciągnęłam z torebki olbrzymi chłam. Dowód osobisty, paszport, prawo jazdy, dokumenty samochodowe, karty kredytowe, czeki, zawiadomienia z banku, jakieś pokwitowania, rachunek hotelowy, legitymację służbową i nawet kartę wstępu do Sejmu na obrady. Zdaje się, że były tam także wszystkie kwitki na benzynę, którą brałam po drodze, i opłata za ostatnie pranie. Metryki, świadectwa ślubu i orzeczenia o rozwodzie w torebce, niestety, nie nosiłam.

Hamowali pośpiech, dał się jednak odrobinę zauważyć. W pierwszej kolejności rzucili się na wszystko z fotografiami, pilnie porównując moją twarz z podobizną. Szczerze pożałowałam, że na zdjęciu paszportowym wyglądam jak mazepa, ale na to już nic nie mogłam poradzić.

— Pani się nazywa Barbara Borkowska? — spytał podinspektor jakimś takim dziwnym, jakby nieludzkim, głosem. — Z domu Mięczak? Córka Gustawa i Aliny...

— Z domu Kwiatkowskiej — wyrwało mi się odruchowo. — Nazwisko panieńskie babci też znam. Chce pan? Wojtycka. Drugiej babci również, Hercen. Zofia Hercen. Każdy człowiek na ogół posiada dwie babcie i nie ma na to siły.

— Ma pani jakieś dowody...?

— Co za pytanie! Oczywiście! Tylko musimy zejść niżej, do domu. Mam także ich fotografie, może je pan obejrzyć, skoro nic nie ukradli. Czy w kwestii i telefonu do panów i włamania fotografie babć mają jakieś istotne znaczenie? Jeśli pan sobie życzy, mam także pradziadków, ale nie wszystkich, bardzo mi przykro. Pradziadków wypada ilość podwójna, po cztery sztuki.

Naprawdę, z całego serca, chciałam im służyć wszystkim, czegokolwiek mogliby sobie życzyć. Przez tę krótką chwilę, pomiędzy ucieczką spod własnych drzwi a pierwszym kieliszkiem rieslinga, zdążyłam przeżyć całą utratę mienia z komputerem na czele, i prawdopodobnie także wyliczyć sobie straty i chyba się trochę zdenerwować. W ich komunikat, że tych; strat nie poniosłam, uwierzyłam bez zastrzeżeń i spłynęło na mnie niebiańskie szczęście. Boże wielki, raz jeden nie udało się losowi pognać mnie do szczętnie!

Obaj, podinspektor i komisarz, przez długą chwilę siedzieli nad moimi dokumentami, jakby się przeistoczyli w istoty z gęstej gliny. Nie w kamień, poruszali się. Doznałam wrażenia, że fakt mojego istnienia przeszkadza im potwornie.

— Panowie — zaczęłam delikatnie. — Ja jestem z zawodu prawnikiem...

Podinspektor gwałtownie się ożywił.

— Ma pani dyplom?

— Jasne, że mam! Trzy piętra niżej. Także kolejne świadectwa z miejsc pracy, także nominację na prokuratora, także dowody niezasłużonej kompromitacji... Czy skompromitowanego prokuratora wolno okradać? Znam kodeks, nie ma tam takiego paragrafu!

— Nie, to nie o to chodzi... Wszystko wskazuje na to, że jest pani Barbarą Borkowską, zamieszkałą pod tym adresem... Ma pani jakieś kwity opłat za mieszkanie, jakiś dowód kupna...?

— Notarialny — rzekłam sucho, bo coś mi się tu zaczęło nie podobać. — Czy pan ma jakieś wątpliwości, że ja to ja i że tu mieszkam? Co się dzieje? Zazwyczaj wystarcza dowód osobisty z pieczętką zameldowania. Panowie, przepraszam bardzo, ale nie jestem ślepa ani głupkowata, najwyraźniej w świecie powątpiewacie w fakt mojego istnienia. Ilu świadków mam postawić? I o co w ogóle biega, bo wężę tu coś dziwnego? W czym dzieło?

Przez długą chwilę podinspektor milczał, a komisarz patrzył w niego kamiennym wzrokiem, który stanowczo miał nie wyrażać nic. No owszem, nie wyrażał. W związku z czym wiadomo było, że coś tu przerażająco nie gra.

Podinspektor wreszcie odzyskał ludzkie cechy i westchnął.

— Jest pani, chwalić Boga, prawnikiem. Może to ułatwi sprawę. Gdyby zdołała pani, mimo wszystko, przejść na płaszczyznę zawodową, byłbym bardzo wdzięczny.

— Sądzę, że zdołam — odparłam nieco mniej sucho, bo zaczęła mnie ta dziwna sytuacja interesować, a pół butelki rieslinga nie miało nade mną władzy. — Niech pan wali wprost.

— Wprost, proszę uprzejmie. Otóż przedwczoraj, dwie doby temu, licząc do chwili obecnej, Barbara Borkowska, zamieszkała pod tym adresem, została zamordowana strzałem z pistoletu na terenie gminy Wilanów. I nie żyje, znajduje się w kostnicy. Zarazem Barbara Borkowska, zamieszkała pod tym adresem, siedzi przede mną, całkiem żywa. Dziwi się pani, że czuję się nieco zdezorientowany?

— A mówiłem, że dwie...! — wyrwało się jakoś przeraźliwie spontanicznie komisarzowi.

Rzuciłam na niego okiem, młody był, miało prawo mu się wyrwać. Po czym spojrzałam na komisarza.

— Skąd pan wie, że to byłam ja? — spytałam głosem jeszcze bardziej nieludzkim niż on na początku.

— Dowód osobisty, zameldowanie... Nie zgłaszała pani kradzieży dowodu osobistego, sprawdzałem.

Milczałam przez chwilę. Płaszczyna zawodowa to płaszczyna zawodowa.

— Osób, nazwiskiem Barbara Borkowska, jest w tym kraju zatręśnienie. Sfałszowanie pieczętki meldunkowej jest zupełnym drobiazgiem nawet dla pseudofachowców. Czy przeprowadzono identyfikację i zwłok? Czy rozmawiał pan z osobami bliskimi dla ofiary? Czy denatka została rozpoznana?

— Nie. Jeszcze nie. Identyfikacja przewidziana jest na jutro, brat denatki...

— Matko jedyna, Włodek! Niech pan się nie wygłupia, niech pan nie straszy mojego brata! A tym bardziej rodziców! Ja żyję, nie zauważył pan?! Jeśli łupnę pana tą pustą flachą w ciemię, może pan dostrzeże moją aktywność...?! O, cholera, najmocniej przepraszam...

Zreflektowałam się. Walenie flachą w ciemię to już płaszczyna nie bardzo zawodowa.

Z lekkim wysiłkiem weszłam z powrotem w skórę prokuratora.

— Oparł pan się wyłącznie na dowodzie osobistym i pieczętce zameldowania? Bez rozpoznania ofiary?

— Istotnie, błąd. W dodatku istnieje silne prawdopodobieństwo, że Barbara Borkowska, dziennikarka, była umówiona w miejscu przestępstwa na zbliżoną godzinę, przybyła tam i została zabita.

— Jak?

— Jednym strzałem, prosto w serce, od tyłu.

— Tam jacyś ludzie mieszkają...?

— Teren i okoliczności sprzyjają popełnieniu tego rodzaju zabójstwa. Pistoletu nie znaleziono, mógł mieć tłumik.

— Z kim była umówiona?

— Z Joanną Chmielewską, pisarką.

— I co ona mówi?

— Że dziennikarka była nachalna i natrętna, umówiła się na wywiad wbrew jej woli, w dodatku spóźniła się...

No i teraz wreszcie zrobiło mi się niedobrze...

\* \* \*

Zaczęło się to mniej więcej ze cztery lata temu, a możliwe, że nawet wcześniej, ale niczego nie dostrzegałam i o niczym nie miałam pojęcia.

— Co miałaś wczoraj po południu na sobie? — spytał zniecka mój mąż pewnego wrześnieowego wieczoru, kiedy już upchnęliśmy dzieci do łóżek i siedzieliśmy przy herbacie.

— To samo, co i rano — odparłam, zdumiona. — Także to samo, co i dzisiaj. Nie mam zbyt wielu strojów, nie zauważyłeś tego?

Przemilczał moje pytanie, siedział jakiś stropiony i nieswój, łypał na mnie okiem albo wpatrywał się w durszlak, wiszący na ścianie za moimi plecami, bo oczywiście, piiliśmy tę herbatę w kuchni. Nie chciało mi się latać z kolacją do pokoju, rozkładanego stołu jadalnego używaliśmy tylko wtedy, kiedy jedliśmy razem z dziećmi. Od czasu do czasu należało sprawdzić, czy potrafią posługiwać się nożem i widelcem.

Kolację dzieci jadły wcześniej, my później, i były to zazwyczaj krótkie chwile relaksu. Tym razem relaks wychodził mu jakoś nie najlepiej.

Zaniepokoiłam się.

— Bo co się stało? Źle wyglądałam?

— Wiem, że po drodze do domu wstąpiłaś na Mokotowską — rzekł opornie, ale z wyrzutem, znów omijając pytanie. — Musiałaś...?

Na żadną Mokotowską w drodze do domu nie wstępowałam, nie miałam tam najmniejszego interesu, ponadto na ogół wcale to nie było po drodze. Wyjątkowo tym razem jechałam z Krakowskiego Przedmieścia, z prokuratury okręgowej, gdzie musiałam obgadać parę drobiazgów, potrwało to trochę, śpieszyłam się, przebiłam się do Marszałkowskiej i jechałam prosto, nigdzie nie zbaczając. Skąd mu ten pomysł wpadł do głowy?!

— Wcale mnie tam nie było. Dlaczego miałam być? Kto to wymyślił?

Patrzył potępiająco to na mnie, to na durszlak.

— Widziano cię. Dlatego spytałem, co miałaś na sobie. Ponadto... Mogłabyś zachowywać się trochę taktowniej...

Nic z tego nie mogłam zrozumieć, ale nie przejęłam się wcale. Jakiś idiotyzm, ktoś się pomylił, kretyn albo kretynka. Nie, raczej kretyn, płci męskiej, facet przeoczy roz-

maite szczegóły garderoby, baba zauważy wszystko. Ubrana byłam w zwykły, prosty kostium, ciemnoszary, spódnica, żakiet, beżowa koszulowa bluzka, mój normalny, służbowy strój, na jesienne dni doskonały. Zaraz, czy nie miałam apaszki...? Miałam, cienka, dobrana kolorystycznie, czarno-szaro-beżowo-oranżowa. Kupiona na jakimś straganie, żaden unikat.

Zaciekawiło mnie to nagle.

— A jak się zachowywałam? — spytałam z zainteresowaniem.

— To chyba sama wiesz najlepiej — odparł z niesmakiem, całą uwagę poświęcając już teraz durszlakowi. Najwidoczniej nie zasługiwałam nawet na spojrzenie.

— Właśnie nie wiem. Może nie pamiętam? Jesteś pewien, że to byłam ja?

— Całkowicie. Opisano cię dokładnie, tak jak wyglądałaś. Pomijam już fakt, że byłaś uprzejma przedstawiać się głośno, prokurator Barbara Borkowska. Myślę, że tego mogłaś już nam zaoszczędzić.

— Musiałam, wobec tego, upaść na głowę — stwierdziłam beztrząsowo. — Nie pojmuję, skąd masz te osobliwe informacje, naprawdę jesteś w stanie uwierzyć, że to byłam ja? Szczyt nonsensu!

Mąż oderwał wreszcie wzrok od durszlaka, łypnął na mnie ponuro jeden raz i dla odmiany wpatrzył się w szklankę z herbatą. No owszem, wiedziałam, że zawsze uważał mnie za istotę zdolną do wszystkiego, ale nawet to moje „wszystko” powinno mieć jakieś granice. Publiczne wykrzykiwanie na ulicy, że jestem prokuratorem, daleko poza nie wykraczało. Wzruszyłam ramionami, pewna, że doznał jakiegoś zaćmienia umysłu, które wkrótce mu przejdzie, i porzuciłam temat. Miałam na głowie kilka trudnych i nieprzyjemnych spraw, konferencja w okręgowej nieco mnie zirytowała i w ogóle byłam zmęczona. A musiałam jeszcze przejrzeć akta.

Jakiś czas później, może to były dwa tygodnie, może trzy, nieco wcześniejszym wieczorem, zadzwonił telefon i damski głos powiedział:

— A pani to nic, że ten pani mąż to tak się z tą Urszulką prowadzi, romans na dwadzieścia cztery fajerki, ślepa pani czy co?

Po czym dźwięki zrobiły takie wrażenie, jakby ktoś w tle coś gwałtownie zaszepotał, owej babie wyrwano z ręki słuchawkę i rozłączyło się. Zajęta byłam, równocześnie pilnowałam posiłku dzieci, sprzątałam kuchnię i przyrządzałam obiad na jutro. Komasowanie prac w jednym pomieszczeniu zaoszczędzało mnóstwo czasu.

Mojego męża w domu nie było i mógł się w tym momencie prowadzić nawet z niedźwiedzicą polarną, ale nie uwierzyłam w ani jedno słowo. Głupie dowcipy przez telefon ludzie robią nagminnie, nawet mu o tym nie wspomniałam, bo zresztą natychmiast zapominałam o kretyńskim donosie. Z anonimami miewałam w pracy dużo do czynienia.

Następny dziwny sygnał dobiegł mnie właśnie z miejsca pracy.



Jesień przestała być ciepła i nosiłam już ciemnoszary płaszcz na odmiennym nieco służbowym stroju, była to granatowa garsonka typu Coco Chanel, z białym albo jasnoniebieskim kołnierzyczkiem pod szyją. Niekiedy z malutkim żabocikiem. Kołnierzyczki, żabociki i szaliczki mogłam zmieniać, tanie były, służbowych strojów więcej nie posiadałam. Frywolne falbany i jaskrawe barwy wydawały mi się wysoce niestosowne przy rozmowach ze świadkami i podejrzanymi, tym bardziej w występach przed sądem, musiałam wyglądać poważnie, choć niekoniecznie ponuro. Dostojny, acz elegancki umiar był właściwy dla tej niezbyt radosnej instytucji.

— Zaszalało się przedwczoraj, co? — powiedział złośliwie Jacuś, kolega równy mi stanowiskiem, zdolny i błyskotliwy, ale zarazem nieco lekkomyślny i bardzo nietaktowny. — I to tak prosto z pracy, nawet się przebrać nie zdążyłaś! Światowe życie ciągnie, ciągnie...

Nie zrozumiałam, co powiedział. Przedwczoraj wieczorem przepisywałam uzasadnienie wyroku, podczas gdy w pralce kotłowała się odzież moich dzieci. Może i dałoby się nazwać to szaleństwem, bo napchałam tej odzieży trochę za dużo i nie miałam jej potem gdzie rozwiesić do suszenia. Jeszcze i dziś zostały niedoschnięte resztki.

— Zwariowałaś? — spytałam grzecznie. — O czym ty mówisz?

— Nie wypieraj się, przede mną nie musisz. Tylko dlaczego w barze Tajfun?

— Co w barze Tajfun?

— To mordownia. Fakt, że znajomych trudno tam spotkać, ale jednak się zdarza.

— Możliwe — zgodziłam się. — I co w tej mordowni Tajfun?

— Jak to co, aktywnego relaksu, jak rozumiem, zażywałaś.

— Ja?

— No a kto? Przecież nie ja! Mnie tam przedwczoraj nie było, dopiero wczoraj wstąpiłem w poszukiwaniu świadka.

Świadek zainteresował mnie bardziej niż relaks w mordowni. Znalіśmy nawzajem swoje sprawy, mimo iż prowadzone oddzielnie, i niekiedy nawet służyliśmy sobie pomocą.

— Którego?

— Tego łysego. Stępniaaka.

— I znalazłeś go?

— Łaska boska, znalazłem. Głupio mi było cholernie, bo sam go zwolniłem za wcześnie, a on się zmył radykalnie, sama rozumiesz...

— Było potrzymać drugi raz te czterdzieści osiem godzin. On łże aż ziemia jęczy.

— A było, było, ale nie potrzymałem i dzięki temu uzyskałem przy okazji informacje o eksplozjach twojego temperamentu. Starannie dotychczas ukrywanego.

— Chcesz mieć sprawę o zniesławienie?

— Oszalałaś? Wytoczyłabyś przed sądem komukolwiek jakakolwiek sprawę...?! Ty, prokurator...?!



Zreflektowałam się.

— Nie, za nic!

— No więc! Poza tym, nie masz świadka.

— No dobrze, więc ci nie wytoczę, ale powiedz to wszystko jakoś porządnie — poprosiłam. — Bo mnie zaczyna ciekawić. Skąd ja do baru Tajfun?

— Też się trochę dziwię — przyznał Jacuś. — Ale dałaś się przecież zauważyć dosyć ostro. I nie masz co przeczyć, bufetowa opisała cię z detalami, w tej chwili wyglądasz identycznie, tylko ten farfocel pod szyją masz w innym kolorze. Ona mówiła o białym w granatowe kropeczki, a ja tu widzę gładkie, niebieskie, o ile nie jestem daltonistą. Ale zdaje się, że nie jestem.

Poczułam się odrobinę oszołomiona, bo rzeczywiście przedwczoraj miałam białą apaszkę w granatowe kropeczki. Pilnowałam tych zmian dekoracji jak oka w głowie, żeby nie chodzić w kółko w tym samym.

— Może cierpię na zaniki pamięci albo na rozdwojenie jaźni — rzekłam gniewnie — ale nie przypominam sobie, że bym kiedykolwiek była w barze Tajfun.

— Nic straconego, zaczęłaś bywać od przedwczoraj...

— Ty naprawdę w to wierzysz?

— Nie masz chyba sobowtóra? O ile wiem, dwóch Barbar Borkowskich prokuratura nie zatrudnia. Prokurator Borkowska po silnym nadużyciu alkoholu, rozbawiwszy salę, opuściła ją nieco chwiejnym krokiem...

— O której godzinie?

— Wcześniej, świadkowie zeznają, że o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Ale i tak masz zdrowie...

— Cholera, mój mąż wrócił dopiero po dziesiątej, mogłam zdążyć... I te biedne dzieci same zrobiły przepierkę...! Zaraz, a co z samochodem? W tym stanie nadużycia jechałam samochodem?!

Jacuś zachichotał i dał mi do zrozumienia, że tłumaczę się niezmiernie głupio. W jego przekonaniu pobyt w barze Tajfun nie był niczym nagannym, tyle że nie należało się tam może zbyt afiszować. Przesadziłam.

Ciągle jeszcze nic mi to nie dawało do myślenia i nadal się nie zajmowałam głupim dziwołagiem, aż wreszcie dotarło do mnie, jakimiś okrężnymi drogami, że jedna z pracownic mojego męża ma na imię Urszula. Urszula to Urszula, Bóg z nią, co mnie obchodzi personalia jego pracowników. Był współnikiem, w nikłym zakresie, ogromnej firmy polsko-szwedzkiej, rozwijał filię w Polsce, produkowali rozmaite chemikalia, zdaje się, że głównie kosmetyczne, i siłą rzeczy musiał zatrudniać wielu ludzi. Właściwie zaczynał dopiero, nabierał rozpędu, wzbogaceniu to chwilowo nie sprzyjało, za to absorbowało i zżerało czas. Na głupie rozrywki nie mógł sobie pozwalać.

Nie skojarzyłamby imienia z poprzednim telefonem, gdyby nie zadzwonił następny.

Tajemnicza osoba rzekła konfidencko:

— A ta Urszulka, to wie pani, świetnie gotuje, gdzie pani do niej! Ona robi takie knedle, że buzi dać, a pani mąż tak na te knedle leci, że aż za nim powietrze świszczy...

Na tym komunikat się urwał. Jedyne, co z pewnością było w nim prawdziwe, to szalenie upodobanie mojego męża do knedli, które, z braku czasu, przyrządzałam raz na dwa lata. Ostatnio. W pierwszych latach małżeństwa przyrządzałam je dwa razy do roku. Może i czuł się nieco niedożywiony...

Ponownie zlekceważyłam anonimową informatorkę razem z jej idiotyczną Urszulką, ale krótko potem dziwnym wzrokiem popatrzył na mnie mój szef.

— Pani oczywiście rozumie — rzekł na zakończenie rozmowy czysto służbowej — że opinia prokuratora ma istotne znaczenie. Zbyt dużo już się mówi o naszych różnych potknięciach... Byłoby bardzo wskazane tej opinii nie pogłębiać. Dziękuję pani.

Pożegnał mnie tak, że nawet nie miałam szans zapytać, o co mu chodzi. Podejrzałam Jacusia o rozpuszczanie plotek, co mnie trochę zirytowało. Jacusia prawie na oczy nie widywałam, bo prowadził skomplikowaną i uciążliwą sprawę, która gniotła go bez nadziei, i nie było kiedy zamienić z nim dwóch słów prywatnie. Dałam spokój, zajęć miałam po dziurki w nosie.

Prawie nie zwróciłam uwagi na to, że mój mąż jakoś sztywnieje. Patrzył na mnie potępiająco, po większej części milczał, wracał późno, do seksu się nie pchał, rozmawiał krótko i bardzo grzecznie, jak z obcą osobą, wreszcie nie wytrzymał.

— Gdzie zostawiłaś samochód? — spytał któregoś wieczoru, kiedy udało nam się spotkać przy tradycyjnej, wieczornej herbacie.

— Stoi pod domem — odparłam, zdziwiona, bo było go widać. — A co...?

— Nie dziś. Gdzie go zostawiłaś wczoraj?

Zdumiałam się rzetelnie.

— Też pod domem, jak zwykle. A co się stało?

— Dziś rano istotnie, stał. Kiedy go zdażyłaś przyprowadzić?

Roboty miałam dużo, ale nie do tego stopnia, żebym miała nagle doszczętnie zidiec. Pomimo to nie zrozumiałam pytania.

— Przyjechałam nim po pracy. No owszem, dość późno, ale kolacja dla dzieci była gotowa. Później już nie jeździłam, stał cały czas. Czy coś się stało? O co chodzi?

— Faktem jest, że wróciłem jeszcze później i nie rozglądałem się dookoła. Już spałaś...

— No właśnie — podchwyciłam szybko. — Gdzieś ty się podziewał? Zamierzałam czekać na ciebie, ale mnie złożyło. Rozumiem, że miałaś robotę. Mógłbyś czasem zadzwonić...

— Do kogo?

— Do mnie. Jestem twoją żoną od blisko dziewięciu lat, może umknęło to z twojej pamięci?

— I gdzie miałem cię szukać?

— A cóż to za głupie pytanie? Jeśli nie w pracy, to w domu. Nie sądzisz chyba, że błąkam się po lasach?

— Nie nazwałbym twoich ulubionych miejsc pobytu lasami. Chyba że tego rodzaju mianem określasz rozmaite speluny dla mętów społecznych...

— Jesteś retro — przerwałam, wciąż jeszcze nie tracąc równowagi, a nawet całkiem niezłego humoru. — Teraz już, dla odmiany, nie bardzo wiadomo, kogo określać mianem mętów społecznych. Nie wspominając już o spelunach, będących właściwie w zaniku.

Mój mąż zmarszczył lekko brwi i nadał się potępieniem. Przyglądałam mu się z czułym zainteresowaniem, był piękny, rzecz gustu wprawdzie, ale podobał się nie tylko mnie, przez lata małżeństwa wyraźnie zmęźniał, promieniowała z niego pewność siebie i powaga, wręcz senatorska. Zarazem ku mnie wiał jakby chłód, co wydawało mi się dziwne, ale jeszcze nie podejrzanę.

— Kupię telefon komórkowy — zapewniłam go ze skruchą, bo już od roku nosiłam się z tym zamiarem. — Będziesz mógł do mnie dzwonić nawet, gdybym akurat łowiła ryby na środku Zalewu.

— Nie odbiegaj od tematu — zażądał sucho. — Chciałbym wiedzieć, czy ostatnio prowadzenie samochodu po pijanemu weszło ci w nałóg. I czy policji drogowej również prezentujesz swój zawód. Zechciej uprzejmie uświadomić mnie w tej kwestii.

To pytanie, owszem, zrozumiałam, i pomyślałam, że ktoś z nas zwariował, albo on, albo ja. Nigdy w życiu nie prowadziłam samochodu po pijanemu, nie mogłam sobie w ogóle przypomnieć, kiedy się ostatnio urzęnęłam, od lat prawie nie używałam alkoholu, czasem wino do obiadu, względnie kieliszek wódki do śledzia w oliwie. Zaraz... na imieninach Agaty, w trzy lata po ślubie, Piotruś miał rok, było to zatem sześć lat temu, rzeczywiście, zaczęłam na głodno, od szampana, Agata na zakąskę podała kalmary, których nie cierpię i do ust nie biorę, poprzestałam na szampanie, później było czerwone wino do przeraźliwie twardej gęsi, a już czułam się rozweselona. Garmażeryjnie to przyjęcie nie najlepiej jej wyszło... Owszem, na końcu doprawiłam się koniakiem, w drodze powrotnej uparłam się śpiewać, wracaliśmy taksówką i ogromnie rozśmieszyłam kierowcę. Mój mąż był trzeźwy jak świnia i pełen mieszanych uczuć, czułości dla mnie i śmiertelnego zawstydzenia, pierwszy raz w życiu wioził do domu własną, pijaną żonę, wydawało mu się to chyba kompromitujące. No dobrze, ale nawet gdybym się upiła dziś, wypadłoby to raz na sześć lat, to znowu nie tak dużo...

— Uporczywie nie pojmuję twoich pytań — powiedziałam, na razie tylko zaciękwiona. — To znaczy, treść rozumiem, ale nie mogę dojrzeć sensu. Skąd ci takie upiorne pomysły wpadają do głowy?

— Wczoraj, w knajpie na Puławskiej, dałaś niezłe przedstawienie. Możesz tego nie pamiętać, nie wykluczam przerwy w życiorysie. Sądziłem, że może wróciłaś piechotą, nie miałaś daleko, ale skoro twierdzisz, że samochodem...

Zdenerwowałam się wreszcie.

— Stefan, co ty za brednie wygadujesz? Bzdura totalna, z sądu wróciłam do pracy i musiałam jeszcze przesłuchać świadka, jedyna knajpa, jaką miałam w pobliżu, to pizzeria na Wiktorskiej, wódki tam nie podają, poza tym była już zamknięta. To lokal dla młodzieży, w przerwie wyskakują ze szkoły, żeby się pożywić, i po to ta pizzeria istnieje. W żadnych knajpianych ochlajach nie biorę udziału i nie zawracaj mi głowy. Kto to w ogóle wymyślił, jeśli mogę grzecznie spytać?

— Osoby w pełni godne zaufania.

— Kto?!

— Tego się na pewno ode mnie nie dowiesz. Nie mam zwyczaju zdradzać źródła informacji poufnych.

W tle miałam ogłuszającą myśl, że od kiedyż to mamy przed sobą jakieś tajemnice, przez dziewięć lat obdarzaliśmy się wzajemnie nieograniczonym zaufaniem, potwierdzonym granitowo, nie istniała istota ludzka, czort bierz, mogła być i nieludzka, która wdarłaby się między nas. Mogły nam się przytrafić jakieś kontrowersje, mogliśmy się kłócić, ale z pewnością nie było nikogo ważniejszego od nas dla siebie nawzajem. Mówiłam prawdę i wiedziałam na pewno, że on też mówi prawdę, nie wyjawialną dla nikogo innego. Co to znaczy, to coś, co słyszę w tej chwili...?!

Myśl miała szybkość błyskawicy, tyle że jakby nieco rozproszonej gdzieś na tyłach umysłu. Nie miałam czasu się nią zajmować, bo bliżej zatrzepotały skojarzenia, odezwał się odwieczny instynkt.

— Czy w tym źródle przypadkiem nie bulgocze bieluni albo szalej? — spytałam cierpko. — Co to za jakaś Urszulka gotuje ci knedle?

Mój mąż był człowiekiem interesu. Nie drgnął, nie zmienił się na twarzy, jeśli coś mu w środku na moment skamieniało, odczułam to wyłącznie tajemniczym psim węchem. Zlekceważonym zresztą, nie uwierzyłam we własny psi węch. Kobiety wierzą w to, w co chcą wierzyć.

— A cóż to ma do rzeczy? — spytał chłodno i spokojnie. — Rozmawiamy o twoim postępowaniu, a nie o przepisach kulinarnych.

— To ma do rzeczy, że ja ci nie truję kretyńskimi, anonimowymi telefonami. Nie zamierzam poważnie traktować obelżywych insynuacji, szkoda, że ty się im poddajesz. Miałam wrażenie, że znamy się niezłe, doskonale wiem, że nie jesteś dziwkarczem i nie latasz za jakimiś ponętymi panienkami, sądziłam, że równie dobrze wiesz, że nie jestem pijaczką i debilką. Ktoś stara się wyrobić mi taką opinię, odgaduję to bez trudu, nie darmo od paru lat stykam się z gorszą stroną życia, ale ciebie akurat uważałam za ostatniego człowieka, który mógłby w to uwierzyć. I ciągle nie rozumiem... Skąd ty to bierzesz i o co tu chodzi?

— Może właśnie o kompromitację. Pytanie, czyją?

Psi węch strzelał mi nosem i uszami wbrew mojej woli.

— Czy ty w ogóle znasz jakąś Urszulkę?

Jego wahanie było tak krótkie, że gdyby to był obcy świadek i gdybym nie była zaangażowana osobiście, nie dostrzegłabym go.

— Urszula Bielka jest moją sekretarką. Pracuje normalnie i robi to, co powinna.

— Rozumiem. Parzy ci kawę, załatwia korespondencję, obsługuje komputer, przynosi z domu knedle...

Po słowach "obsługuje komputer" psi węch ponownie złapał cień śladu. Jakby mu wionęło jednym lekkim podmuchem. Potraktowałam cień sceptycznie, sądziłam raczej, że spóźnił się i miało to być po knedlach.

— Owszem, zdarzyło się raz, że przyniosła z domu knedle. Bardzo się przydały, bo miałem konferencję za konferencją i żadnych szans na posiłek. Przewidziała to, jako sekretarka znała doskonale mój dzień pracy.

— Perła, znaczy — zaopiniowałam, mając nadzieję, że obiektywnie. Same knedle w końcu nie stanowią o życiu. — Wyciągam wnioski, że ktoś chce pozbawić cię tej sekretarki, może w celu wepchnięcia się na jej miejsce, i ma nadzieję, że zacznę ci robić awantury, które zmuszą cię do zmiany personelu. Nie, tego możesz się nie obawiać. Co natomiast, i kto, chce osiągnąć, szkalując mnie w debilny sposób, nie potrafię odgadnąć. Przynajmniej na razie.

Nie uwierzył mi. Coś, gdzieś, w moim wnętrzu krzyczało, że własny mąż mi nie wierzy, ale cała reszta nie uwierzyła, że mi nie wierzy. Te wszystkie wierzenia prawdopodobnie nieco mnie skołowały, poza tym naprawdę miałam mnóstwo pracy i okropnie mało pieniędzy, zależało mi na awansie, wśród szczebli, poziomów i powiązań licznych przestępców musiałam lawirować wręcz artystycznie i nie miałam głowy do wnętrza, duszy i kobiecych instynktów.

Nie poszłam do szkoły na wywiadówkę. Piotruś był w pierwszej klasie, a czytać i pisać umiał już dawno, wydawało mi się, że da sobie radę i bez mojej wizyty, i później okazało się, że brak mnie zauważono wystrzałowo, bo miałam zostać zatrudniona przy czymś tam w jakimś komitecie. Rzeczywiście, jeszcze mi było komitetów potrzeba, szczególnie w obliczu aktualnego, prymitywnego bandziora, który prokuratorowi, to znaczy mnie, solennie obiecał kęsim.

W spodniach chodziłam rzadko. Nie wiadomo dlaczego, kiecka wydawała mi się stosowniejsza w pracy, nie PAN prokurator, tylko PANI prokurator. Nie tolerując rozszalałego feminizmu, szanowałam jednak różnicę płci i portki nosiłam tam, gdzie miały sens. W plenerze, w górach, przy generalnym sprzątanu i skakaniu po drabinkach, gdybym pracowała, na przykład, na budowie, zapewne nosiłabym je codziennie, w palestrze nie. Superspodniomów nie miałam wcale, posiadałam jedną jedyną wieczorowo-wizyto-

wą sukienkę, z czarnego weluru, rozszywaną subtelnie srebrną koronką. Odkupiłam ją przed trzema laty od sędziny Klęskiej, która nabyła arcydzieło na wyprzedaży w Paryżu przy okazji urlopu we Francji, po czym utyliła tak, że na ów strój mogła tylko patrzeć. Też nie opływała w dostatki, sprzedała mi ją zatem, rzewnie płacząc, po cenie kosztu, i była to jedyna moja galowa oprawa.

Po czym od pani mecenas Strażek dowiedziałam się, iż w tej właśnie kiece zadawałam szyku na imprezie w kasynie hotelu Marriott. W życiu nie byłam w kasynie, nie złożyło się jakoś, nie ten poziom służbowy, żebym miała odwiedzać kasyna w zawodowych celach. Okazało się, że byłam, zachowałam się skandalicznie, groziłam stanowiskiem, rzecz jasna na bani, w dodatku w towarzystwie podejrzanego mafioza.

Już zaczęłam być uczulona na te rzeczy, zastanowiłam się zatem, kiedy naprawdę byłam tak ubrana i kto mógł mnie widzieć. A proszę, liczne grono, przed dwoma laty, party w szwedzkiej ambasadzie, urządzone na cześć powstania polskiej filii, gdzie należało być z żonami. Zatem, jako żona, towarzyszyłam mężowi. Już widzę tę szwedzką ambasadorkę, która podgląda moje stroje...!

Wariactwo jakieś czy co...?

A, nie, przepraszam, ubrałam się w to jeszcze raz na dziesiątą rocznicę ślubu mojej dalekiej kuzynki, poślubionej reżyserowi telewizyjnemu, uroczystość odbyła się w Europejskim, szal ciał, uprzęży i firmamentu, i byłam tam sama. Bez męża, który akurat; pojechał do Szwecji. Kiedyż to było, na Boga...? W zeszłym roku na wiosnę, przed ośmioma miesiącami!

No a teraz na imprezie w Marriottcie... i oczywiście w tej właśnie kiecy, czarny welur, rozszywany srebrnymi koronkami, nie sposób się pomylić, w dodatku z czarną kłamrą, typu grzebień hiszpański, we włosach. Owszem miałam taką.

Nie wierząc własnym uszom i przestając wierzyć samej sobie, bo może naprawdę miewam rozdwojenia jaźni, rzuciłam się sprawdzać. Kiecka wisiała na wieszaku, kłamra leżała w szufladzie, nikt mi tego nie ukraść. Jeśli ktoś chciał udawać mnie, czego już byłam prawie pewna, musiał się niezłe wysilić, żeby sprokurować identyczne odzienie. Kostium, garsonka, uniformy służbowe, to jeszcze nic, łatwo dostać coś podobnego, ale ten welur z koronkami i kłamra...? Należało chyba uszyć specjalnie, bo jak inaczej? Czyli, należało mnie widzieć i zapamiętać.

Pod karą śmierci nie zdołałabym sobie przypomnieć wszystkich gości na obu tych przyjęciach!

Tajemnicza akcja wciąż nie stanowiła dla mnie sedna życia, aczkolwiek zaczynała mnie irytować, szczególnie, iż coraz więcej sygnałów miałam w pracy. Ponownie wezwał mnie szef, tym razem na rozmowę osobistą.

— Sama się pani doskonale orientuje, jak traktujemy anonimy — rzekł sucho. — Ale wszystko ma swoje granice, a ilość, niestety, przechodzi w jakość. Może pani nie wie, ale na pani temat dostałem siedemnasty.



— Anonim...?

— Anonim. Ze szczegółami tak ścisłymi, że przykro mi bardzo, ale muszę to z panią wyjaśnić. Co pani robiła w piątek, dziewiętnastego lutego, to znaczy tydzień temu?

Zastanowiłam się, spojrzałam na niego, możliwie potępiająco i z wyrzutem, i wyciągnęłam kalendarzyk.

— O której godzinie? — spytałam tak służbowo, jak tylko zdołałam.

— Powiedzmy... — rzucił okiem na papier przed sobą. — Pomiędzy szesnastą a dziewiętnastą trzydzieści.

Popatrzyłam w kalendarzyk. Cholera. Wyznaczona na czternastą sesja w dzielnicowej skończyła się, o ile pamiętam, o piętnastej dwadzieścia z powodu niestawienia się dwóch świadków, z których jeden przysłał zwolnienie lekarskie, a drugi zwyczajnie nie przyszedł, i zastanawiałam się, czy następnym razem nie doprowadzić go przemocą. Do uśmiechniętej śmierci sędziego nie zakończy tej sprawy bez świadków! Przez następną godzinę kłóciłam się ze wszystkimi, z sędzią, z policją, z adwokatem, z przyzwoitym człowiekiem, świadkiem, który stawiał się na każde wezwanie i miał tego po dziurki w nosie, czemu nie mogłam się dziwić. Zaraz, to już musiała być szesnasta dwadzieścia. Twardo pisałam potem właściwy wniosek, była, powiedzmy, szesnasta czterdzieści pięć. No dobrze, a co potem...?

Wysiliłam pamięć. A, prawda, uznałam, że mogę, jak człowiek, wrócić do domu. Piątek... Jasne, zrobiłam zakupy, w czasie weekendu oni musieli coś jeść, karmienie rodziny należało do mnie. Gdzie ja... A, w Billi! Nie patrzyłam na zegarek, ale z doświadczenia wiedziałam, że w piątek, w Billi, musiało to potrwać około godziny, może odrobinę mniej, ale nie, była kolejka przy kasie... Pamiętałam to, bo wtedy właśnie postanowiłam sobie robić zakupy inaczej, gdzie indziej, kiedy indziej, bodaj o szóstej rano, czy ja wiem, w poniedziałki może...? Ale nie, wtedy nie ma towaru, dopiero we wtorek... Zgadza się, postanowiłam robić je we wtorek.

Ale skoro takie pomysły się we mnie zaległy, musiało to trwać długo. No dobrze, wyszłam z Billi, przejazd trzeba liczyć, o osiemnastej W domu znalazłam się o osiemnastej trzydzieści, korki, żeby je szlag trafił, dzieci już były, pani Jadzia przyprowadziła je, jak sądzę, normalnie, o piątej. Moje dzieci przywykły już do samodzielności, możliwe nawet, że sześciolatka Agatka wykazywała więcej dorosłości niż ośmioletni Piotruś, obiad zjadły wcześniej, bawiły się normalnie, żadnych ekscesów nie spowodowały, bo to bym pamiętała... Moment, ale z tego wynika, że Stefan powinien już być w domu albo za chwilę wrócić, inaczej pani Jadzia zostałaby z nimi... A, nie, to ja miałam wrócić! No i wróciłam, ale spóźniona o Billę... Potem już nigdzie nie wychodziłam.

Wszystko to, wpatrzona w kalendarzyk, przekazałam szefowi.

Pochrząkał sobie trochę, jakiś bardzo zdegustowany.

— Sama pani rozumie, że dzieci nie będziemy przesłuchiwać. Ale wedle anonimowych informacji, o szesnastej czterdzieści nawiązała pani, jak by tu powiedzieć... osobisty kontakt z cudzoziemcem, Ahmedem Mahadi, w holu Grand Hotelu, po czym spędziła pani z nim godzinę i kwadrans w jego pokoju. Wyszła pani o osiemnastej dziesięć i udała się w nieznanym kierunku. O osiemnastej dwadzieścia Ahmed Mahadi, nie robiąc żadnej awantury, poskarżył się barmanowi, iż okradła go pani ze skromnej sumy tysiąca czterystu dolarów, o co nie ma do pani zbyt wielkiego żalu i nie zamierza robić z tego afery. Opisał panią, zarówno on, jak i barman, tak, że nie można mieć wątpliwości. Pomijając to, że przedstawiła się pani imieniem i nazwiskiem. I co ja mam z tym zrobić?

— Panie prokuratorze — powiedziałam po bardzo, ale to bardzo długiej chwili. — Niech pan mi się przyjrzy. Czy ja naprawdę wyglądam na debilkę?

Spełnił moje życzenie.

— Raczej nie. A co...?

— Naprawdę pan sądzi, że gdybym podrywała publicznie cudzoziemców z Trzeciego Świata w celach, obojętne, rozrywkowych czy utylitarnych, obwieszczałabym wszem i wobec własne nazwisko? Upić się, pomiędzy prokuraturą a Grand Hotelem, nie zdążyłabym w żaden żywy sposób, na trzeźwo musiałabym stracić wszelki rozum. Naprawdę wierzy pan w takie kretyństwo? Ktoś mi robi ostro koło pióra, czy moje własne miejsce pracy nie udzieli mi żadnej pomocy?

Szef milczał przeraźliwie długo.

— Lubię panią prywatnie — rzekł wreszcie. — nawet cenię. Będę z panią szczerzy, ale poza te ściany nasza rozmowa wyjść nie może.

— Nie ode mnie — mruknełam, bo zaczął ogarniać mnie gniew.

— Wierzę. Ode mnie też nie. Ogólna sytuacja prokuratury jest pani znana. Insynuacje, niestety, mają swoje podstawy, nacisk z góry przytłacza, co będę pani głodne kawałki opowiadał, każdy chce żyć. Wystarczy przestępców, których musimy zwalniać, wystarczy tych kręctw na tle braku dowodów rzeczowych, każdy dodatkowy zarzut kładzie nas na obie łopatki. Może pani rzeczywiście wpadła w jakiś amok, który kompromituje prokuraturę, w co, między nami mówiąc, nie wierzę, może ktoś posługuje się panią, żeby jeszcze bardziej zdeprimować wymiar sprawiedliwości, nie wiem. Ale, poza anonimami, plotki krążą po mieście, nie mówiłem pani tego, ale stwierdzono, że bierze pani łapówki od przestępców w sposób skandalicznie jawny, niemal publicznie. Osobiście też w to nie wierzę, ale, niestety, albo pani sama to jakoś ukróci, albo...

O, doskonale wiedziałam, co albo. Wyleją mnie z roboty. Wyrzucony z pracy prokurator nie ma życia przed sobą.

— Albo rzeczywiście wejdę w świat kantów, machlojek, przekrętów i zbrodniczych zatuszowań — wpadłam mu w słowa z goryczą. — Od razu panu powiem, nie znam

przyczyn tej nagonki. Może to początek, może każdego z nas w ten sposób wykończą, przepraszam pana za szczerość, ale, o ile wiem, pan nie bierze. Ja też nie. Może jesteśmy szkodliwi i przeszkadzamy?

— Sądzę, że tak. Nie my jedni. Jeszcze kilka osób się denerwuje. A, poza nami, sędziowie...?

Pomilczeliśmy sobie trochę w pełnym zrozumieniu. Już wiedziałam, że idę na ubój. Musiałabym poświęcić cały czas i wszystkie siły, żeby zdementować kalumnie i plotki, a i tak pewne było, że mi się to nie uda. Zanim od niego wyszłam, zaczęłam myśleć przyszłościowo, co zrobię po odejściu z prokuratury...?

Stefan. Mój mąż. Człowiek, na którym, bądź co bądź, bazowałam. Inteligentny, bystry, oblatany w naszej współczesnej rzeczywistości, pewny, godzien zaufania, ojciec moich dzieci. Przystanie zwracać głowę bzdetami, potraktuje sprawę poważnie, zastanowi się, pomoże mi...

O, jak fajnie wyszło!

Tego samego wieczoru Stefan pojawił się średnio późnym wieczorem, z czułym roz-targnieniem ucałował najedzone już i umyte dzieci... nie, żadne takie, Agatka była umyta, Piotruś kończył ablucje samodzielnie... po czym usiadł ze mną przy wieczornej herbacie. Twarz miał kamienną.

— Czy rzeczywiście postanowiłaś pokazać się w najgorszym świetle? — spytał, zanim zdążyłam się odezwać, zmrożona jego dziwnym wyglądem. — Nie spodziewałem się po tobie czegoś podobnego.

— Co, jeśli można uprzejmie spytać, znowu zrobiłam? — zareagowałam natychmiast, raczej dość zjadliwie.

Okazało się, że ordynarną awanturę na Mokotowskiej. Dlaczego, do pioruna, na Mokotowskiej, co ta Mokotowska miała do mnie albo ja do niej, z jakiej przyczyny akurat jedna ulica w Warszawie stała się terenem moich występków...?! Jakaś knajpa, niech ją diabli wezmą, niech się tam znajduje sto knajp, nawet przejeżdżałam tamtędy rzadko i żadnego przestępcy w pobliżu nie złapano! O co mu chodzi z tą Mokotowską?!

Ze śmiertelnym zdumieniem dowiedziałam się, że tam właśnie, bardzo blisko teatru, co właściwie powinno było nadawać wszelkim poczynaniom znamiona kultury, mieszka sekretarka mojego męża, nieszczęsna Urszula Biełka. Jak dla mnie, mogła tam nie tylko mieszkać, ale nawet wrosnąć w ziemię piwniczną, zakwitnąć i wydać owoce, dużo mnie to obchodziło. A otóż nic podobnego, czatowałam przed jej bramą w celu publicznego zelżenia jej, zrobienia karczemnej awantury, wydawania okrzyków treści obelżowej oraz stosowania gróźb karalnych. Biedna Urszulka musiała schronić się u ciciu, pardon, gospodarza domu, w obawie moich rękoczynów. Z całą pewnością byłam to ja, rozpoznano moje palto zimowe, brązowe, na sztucznym futrze, z kapturem, także moje kozaczki, raczej dość przeciętne, na średnim, obcasie, także czarną torbę, przewieszoną

przez ramię... Bez wątpienia także nikt tam nie był głuchy i wszyscy słyszeli, jak wygłaszałam te groźby i rozmaite pokrewne obietnice, szermując dziarsko nazwiskiem i zawodem, żeby już nikt nie miał wątpliwości...

Gniewnej perory mojego męża słuchałam ze zgrozą i w osłupieniu absolutnym. Z całą pewnością ktoś tu musiał dostać pomieszania zmysłów.

— No nie, to niemożliwe, żebyś w podobne idiotyzmy uwierzył! — powiedziałam, chyba już naprawdę porządnie zirytowana. — Tej całej Urszuli, jak jej tam, Białki...

— Białki.

— Wszystko jedno. Białki. W życiu na oczy nie widziałam i nie wierzę, że osoba na takim poziomie mogłaby wzbudzić twoje zainteresowanie. Dajmy sobie z tym spokój...!

Przerwał mi ostro.

— O jej poziomie nie możesz mieć żadnego pojęcia. Natomiast poziom twoich wyczynów przekracza wszelkie dopuszczalne granice. Gdybyś przynajmniej zdobyła się na cywilną odwagę i powiedziała prawdę...!

Szlag mnie trafił z gatunku skamieniałych. O nie, nie zniżę się do wyjaśnień i dociekań, jeśli on sam wierzy we własne słowa, to znaczy, że przez przeszło dziewięć lat trwałam w okropnym błędzie. Pomyliłam się potwornie w ocenie człowieka, z którego uczyniłam sobie podstawę życia, któremu zaufałam, który, byłam o tym granitowo przekonana, powinien stać po mojej stronie nawet wbrew całemu światu! Którego w dodatku kochałam... Niepotrzebnie, jak widać, niesłusznie i głupio.

Zamiast omówić ze mną idiotyczną aferę, zastanowić się, sprawdzić, ten baran wzniosły przyjął za pewnik wszystkie krążące o mnie plotki! I żądał ode mnie ich potwierdzenia. Boże wielki, może oszalał? Może to nie ja prezentuję wulgarne wariactwo, tylko on zwyrodnienie umysłowe...?

Zamilkłam całkowicie i postanowiłam sama przeprowadzić dochodzenie, chociaż odrzucało mnie od niego z siłą trąby morskiej. Obrzydliwość absolutna, udowodniać, że nie jestem kupą gnoju, cóż za przymus upiorny! Z dwojga złego wołałabym udowodniać, że nie jestem wielbłądzicą. Ewentualnie lamą peruwiańską.

Z dnia na dzień zdecydowałam się zmienić strój. Palta mogłam się pozbyć, zrobiło się cieplej, temperatura nie schodziła poniżej zera, a z paltem miałabym największy kłopot, bo innym nie dysponowałam. Posiadałam za to dwa płaszcze, w tym jeden letni, i dwie kurtki, w tym jedną ocieplaną, oblamowaną futerkiem, stwarzało to pewne możliwości. W jakimś pawilonie kupiłam granatową spódnice w wielką kratę, do niej gładkie, granatowe bolerko i jeden golf. Pasowała do tego letnia kurtka, nie szkodzi, niech i zmarzną, ale będę się ubierać codziennie inaczej i postaram się, żeby o poranku mój mąż widział, jak wyglądam.

Od razu uświadomiłam sobie trudność zasadniczą, otóż nie miałam dokładnego wykazu swoich wykroczeń. Jedna data została sprecyzowana, dziewiętnastego lutego, jeszcze trzy mogłam jakoś wyliczyć na bazie rozmów ze Stefanem i z Jacusiem. W recepcji kasyna miałam szansę uzyskać czas owej imprezy, którą uświetniłam w towarzystwie mafioza. Reszta była nie do zbadania.

Należało bazować na doskonałym i sprawdzalnym alibi. Jeśli tkwiłam na sali sądowej, względnie przesłuchiwałam kolejno trzech świadków, a równocześnie tłułam kieliszki w jakiejś knajpie albo awanturowałam się na środku ulicy, jasne było, że jedna z tych osób nie mogła być mną. Skonfrontować zeznania tych, co mnie widzieli...

Zaraz... Nagle uprzytomniłam sobie, że nikt z moich rozmówców osobiście mnie przy naganych rozrywkach nie widział. Ani mój mąż, ani Jacuś, ani szef, ani Strażkowa... Każdy tylko słyszał, powiedziano mu, opisano sytuację...

Ciekawe kto to był, ten informator... Jeden czy kilku? Mój mąż się zaciął i nie powie, szefa nawet pytać nie warto, pozostaje Jacuś i Strażkowa.

Jacuś wybrnął już z najgorszych wertepów służbowych i dał się uchwycić. Zatrzymałam go na chwilę po pracy.

— Jacuś, pomóż mi — poprosiłam. — Robię za ściganą zwierzynę, bądź ten szlachetny rycerz. Powiedz, kto ci opowiadał o moich ekscesach w barze, jak mu tam, Tyfus...?

— Tajfun — poprawił Jacuś, patrząc na mnie ze zdumieniem i zainteresowaniem. — Żadna tajemnica, personel. Barmanka, szatniarz, kelnerka... Ale przecież...

Urwał nagle. Chwili potrzebowałam na uporządkowanie zaskoczonych myśli. Z całą pewnością personel baru Tajfun nie leciał z donosem ani do mojego męża, ani do szefa. Kto jeszcze zatem...?

— Co przecież? — spytałam z lekkim roztargnieniem.

Na obliczu Jacusia pojawiło się coś w rodzaju niesmaku. Wychodził już, stał przy drzwiach.

— No... wiesz... bar Tajfun to historia. W tak zwanym międzyczasie zdążyłaś zafundować społeczeństwu jeszcze parę ładnych spektakli. Co ci za różnica, kto o czym powiedział? Zdajesz sobie chyba sprawę, że ludzie będą gadać, rozwydrzona prokurator to sam miód! Nie chcę się wtrącać, ja nie kaznodzieja, ale kręcisz powróż na własną szyję. W masochizm wpadłaś?

Prawie się ucieszyłam.

— No właśnie! Wszystko jedno, co robiłam i gdzie, nie zdziwi mnie nawet izba wytrzeźwień...

— Zgadza się. Byłaś.

— Co...?

— Nie tak dawno zgarnęli cię do żłobka. Musiałaś mieć niezłą przerwę w życiorysie, skoro tego nie pamiętasz.

— Boże jedyny... I co?

— Nic. Wypuścili cię z litości, gliniarz jeden mi o tym mówił, sam tak zdecydował, bo prokurator w izbie wytrzeźwień to już kompromitacja ogólna. Był zgorzony i pytał, jakim cudem jeszcze cię nie wywalili z roboty.

Milczałam przez co najmniej dziesięć sekund, bo znów mi się zrobił bałagan pod ciemieniem. Było gorzej niż sądziłam. Jacuś zawahał się, cofnął od drzwi i usiadł przy swoim biurku.

— Między nami mówiąc... — zaczął ostrożnie.

— Czekaj! — przerwałam mu niecierpliwie. — przestań mi tu robić za ćwoka! Czy ty naprawdę wierzysz, że ja, ni z tego, ni z owego, zaczęłam prowadzić ten rynsztokowy tryb życia? Widziałeś mnie kiedyś na kacu albo co?

— Nie. I właśnie podziwiam twoje zdrowie.

— Wypchaj się zdrowiem! Koń by zdechł...!

— Konie rzadko piją...

— Nie przychodzi ci do głowy, że coś w tym nie gra? Że nie wszystko musi być prawdą? Że to nie mogę być ciągle ja? Zdajesz sobie sprawę, że ja ostatni raz byłam w knajpie przeszło rok temu, w wytwornej restauracji w Europejskim, na rocznicy ślubu mojej przyjaciółki, i później, do tej pory, już ani razu...?!

— Nie wygłupiaj się, prywatnie rozmawiamy.

— Toteż właśnie! Prywatnie ci mówię, ktoś rozwija nagonkę na mnie na wszystkich frontach. Nie wiem kto, nie wiem dlaczego i nie wiem, o co mu chodzi. Pomóż mi!

Jacuś patrzył na mnie z mnóstwem uczuć na twarzy, na pierwszy plan wybijało się niedowierzanie, głębiej widać było naganę, wzgardę, zdumienie i niepewność. Wygrzebał z kieszeni papierosa i zaczął zapalać ustawicznie gasnącą zapalniczką. Pchnęłam ku niemu swoją.

— Poważnie mówisz? — spytał podejrzliwie. — Nie robisz mnie w konia?

— Jak Boga kocham, nie. Zastanawiałam się nad tym, chociaż przyznaję, że od niedawna, bo wcześniej sobie lekceważyłam. Jest to tak strasznie głupie, że słów mi brak. W dodatku musi to być starannie przemyślana akcja, bo nikt mi nie wierzy, ale weź pod uwagę jedno: nikt znajomy osobiście mnie nigdzie nie widział, wszyscy tylko od kogoś się dowiadują...

Z determinacją powtórzyłam mu wszystko, co o sobie słyszałam. Jacuś się żywo zainteresował i dołożył wiedzę własną.

Okazało się, że wyrzucili mnie z Wyścigów, gdzie groziłam sankcjami karnymi za niekorzystny dla mnie wynik gonitwy, usunęli z salonu samochodowego, gdzie próbowałam dewastować wystawione pojazdy, elegancko wyprowadzili z gabinetu dyrektora czy prezesa jakiejś spółki handlu nieruchomościami, któremu to prezesowi wmawiałam przekręty finansowe, tyle z wydarzeń wytwornych, ordynarniejsze przytrafiały się na



ulicach, na parkingach, w restauracjach i w sklepach. Wszędzie z patologicznym wręcz uporem przedstawiałam się nazwiskiem, imieniem i zawodem, do Jacusia zaś te wieści docierały z racji wspólnego ze mną miejsca pracy. Nic nie mówił, bo i tak był pewien, że się wyprę, co właśnie czynię.

— A twój mąż co na to? — spytał bez ceremonii, zakończywszy uroczą relację.

— Jest zdenerwowany — odparłam krótko. — Czekaj, czy nigdy się nie zdarzyło, że obydwoje siedzieliśmy akurat dłużej w robocie, a potem usłyszałeś, że w tym samym czasie awanturowałam się gdzieś tam, w banku na przykład? Albo w burdelu?

— I to na be, i to na be — zauważył Jacuś filozoficznie — ale jednak różnica istotna. Jak sama wiesz, ja nie przesiaduję w miejscu zatrudnienia bez potrzeby, chyba że mnie trzymają w sądzie. Ale wtedy się nie widzimy. Ty zaś swoje balangi urządzasz raczej wieczorami... Ejże...! — tknęło go nagle. — A ciekawe, że nie nocą! Ani razu nie zaszłaś do rana, nawet do tego żłobka zgarnęli cię o młodej godzinie! Co ty się tak ograniczasz?

— W nocy mój mąż śpi w tym samym pokoju, co ja, nawet na tym samym tapczanie, i wie, czy jestem, czy mnie nie ma. No to sam widzisz. Obliczona jest ta szarża na godziny, które trudno sprawdzić. Ale; gdyby poszukać porządnie, okazałoby się może, że równocześnie byłam widziana w dwóch miejscach naraz i już miałabym punkt zaczepienia.

Jacuś kiwał się na krześle, sypiąc dookoła popiół z papierosa i kręcąc głową.

— Ale powiem ci prawdę — zdecydował się. — Uwierzę ci dopiero, jak coś takiego wyjdzie, bo dotychczas w każdym szczególe to jesteś ty. Opisują cię z detalami, a ja nawet dociskam, z ciekawości.

— Pomóż mi! — zażądałam rozpaczliwie.

— Jak?

— Dociskaj właśnie. Wygląd, godziny, minuty, miejsca... Ludzi! Kto mnie widział, konkretnie. A ja się już postaram, żeby mnie wszyscy dostrzegali tam, gdzie naprawdę będę. Także w domu, sąsiadów będę zaczepiać! Każę dzwonić do siebie wszystkim znajomym, jeśli podnoszę słuchawkę, to chyba jestem, nie?

— Poniekąd racja — przyznał Jacuś i unieruchomił krzesło. — Wiesz, zaciekawiłaś mnie. Dobra, poprowadzę dochodzenie...

Złapałam także panią mecenas Strążek. Wyszło mniej więcej to samo, powiedziała jej o mnie znajoma, która z detalami opisała mój wygląd zewnętrzny, zgadzało się idealnie, ponadto, oczywiście, nie omieszkałam się przedstawić...

Zaraz potem mój mąż wyjechał na dwa dni do Szwecji, ja zaś pod jego instytucją dałam skromny pokaz emocji w chwili, kiedy ludzie wychodzili z budynku po pracy. Wychodziła także owa Urszulka, stanowiąca mój zasadniczy cel. Wymyślałam jej w formie powszechnie uważanej za obelżywą i wygrażałam pięścią, obiecując przykrości fi-

zyczne. Czyniłam to z drugiej strony ulicy, drąc się przez całą jezdnię, a dla niepoznaki miałam na twarzy ciemne okulary. Reszta zgadzała się idealnie, ta spódnica w kratę, bo-lerko, szafirowa apaszka, nie zmieniałam stroju pod wpływem zapewne zaburzeń umysłowych. Ponadto byłam pijana, co bez wątplenia miało swój wpływ na niedopatrzenie odzieżowe. Spłoszona heroina ze łzami w oczach uciekła z powrotem do wnętrza budowli i przeczekała nawałnicę w portierni, drząc nerwowo. Dzięki czemu portier zainteresował się, wyjrzał i obejrzał mnie dokładnie, po czym, z czystym sumieniem, mógł zdać relację z wydarzenia.

Fakt, że dokładnie w tym samym czasie tkwiłam w korku pod sądami był nie do udowodnienia.

Komunikat o występie w pierwszej kolejności dotarł do mojego męża natychmiast po jego powrocie. Dowiedziałam się o swoim wygłupie w rozmowie, która powinna była dać mi coś do myślenia, ale nie dała, bo bardziej zaczęłam obawiać się o pracę niż o związek małżeński. Praca się chwiała, małżeństwo, mimo zadrażnień, wydawało mi się trwalsze od piramid. Byłam zdania, że każde nieporozumienie da się w końcu wyjaśnić, co nie przeszkadzało, że czułam się zniesmaczona, zniechęcona i obrażona śmiertelnie.

— Czy ktoś z twoich współpracowników, albo ten, portier, widział z bliska moją twarz? — spytałam z zimną furią.

— Jak zwykle, byłaś uprzejma zawiadomić, kim jesteś — odparł Stefan jeszcze zimniej. — Nie było, potrzeby oglądać z bliska twojej twarzy.

— Doskonale. A ja teraz wyjdę na ulicę i zacznę wykrzykiwać, że jestem Brigitte Bardot. Z uwagi na wrzaski, z pewnością ktoś się obejrzy. I co? Uważasz, że uwierzy?

— Sądzę, że jesteś zdolna nawet i do tego... Wyglądał jak rozwścieczona bryła lodu, o ile podobne zjawisko mogłoby istnieć. Do snu ułożył się ni wersalce, separując mnie od łoża. Ciasna była i niewygodna, więc uznałam, że dobrze mu tak.

Po łapówce od przestępcy, którą przyjął publicznie w lokalu możliwie gęsto obsadzonym, w Harendzie, przy czym biedny przestępca, fetując mnie osobliwą mieszaniną szampana i koniaku... Nawiasem mówiąc, gdybym istotnie przyjmowała tego rodzaju poczęstunki, słusznie Jacuś mógłby podziwiać moją kondycję... Przestępca zatem usiłował wręczyć mi kopertę jakoś dyskretnie, ja zaś demonstracyjnie przeliczyłam jej zawartość i równie demonstracyjnie schowałam do torebki, po czym wreszcie wylano mnie z roboty.

I tak zresztą uważałam, że sceny nie dopracowano zbyt pieczołowicie, bo powinnam była rzucić mu te banknoty w twarz, wrzeszcząc, iż suma jest haniebnie mała. Jak na postać, w którą się przeistoczyłam, wyszłoby bardziej konsekwentnie.

Wylano mnie zresztą bardzo elegancko, zdaje się bowiem, że szef nie mógł zrozumieć, co się dzieje, i miał jakieś wątpliwości. Do złożenia wymówienia ze względu na zły stan zdrowia nie musiał mnie zbyt długo nakłaniać, sama widziałam, że nie ma innego wyjścia.

Jacusz w pomocniczym dochodzeniu wielkich osiągnięć nie miał, chociaż postarał się rzetelnie.

— Otóż wychodzi mi, że o stwierdzenie swojej tożsamości dbasz osobiście — rzekł w ostatnich dniach mojej pracy. — Przedstawiasz się przy każdej okazji i ludzie w to wierzą. Moją wiarą natomiast to właśnie zachwiało, bo musiałybyś całkowicie zwariować, a że innych objawów obłądzenia u ciebie nie stwierdzam, pełna paranoja wydaje mi się wątpliwa. Na ile cię znam, zażywałabyś upojnych rozrywek nieco dyskretniej.

— Znajomego znalazłeś?

— Ani jednej sztuki. No, prawie, raz się przytrafiło, że widział cię sędzia Witkowski...

— Z bliska? — spytałam chciwie. — Rozmawiał może ze mną?

— Primo, z daleka i od tyłu...

— To po czym mnie rozpoznał?

— Po ubraniu. A secundo, wstyd by mu było przyznać się do znajomości z tobą.

— Rozumiem, musiałam robić za niezłą szantrapę...

— A owszem, jeden z bardziej udanych występów. Tylko jednego nie pojmuję kompletnie, po jaką cholere jakąś twój sobowtór miałby cię tak zeszmacać? Komu to i do czego potrzebne, twoje zaszczytne stanowisko, z którego właśnie lecisz, to nie taki znów łakomy kąsek, więc o co biega? Naraziłaś się komuś? Starasz się o coś, ktoś wymyślił dla ciebie dotację, uwarunkowaną moralnością? Miałoby to sens, gdyby przez twoje szlajanie się po bagnach i rynsztokach dotację zyskał kto inny.

— Nic o tym nie wiem i o nic się nie staram. To znaczy owszem, będę się starała o pracę. Gdzie nie żądają świadectwa moralności? Salowa w szpitalu może...?

— Raczej weź pod uwagę obsługę meliny, szczególnie jeśli sami pędzą.

— Czekał, bo powiedziałaś coś rozumnego...

— Co ty powiesz? — zdziwił się Jacusz.

— Naraziłam się komuś... Nie muszę ci chyba przypominać, ile razy i komu się narazamy...

— Na każdym kroku, na dwa fronty.

— Toteż właśnie. Ale aż tak wyjątkowego wypadku sobie nie przypominam.

— Musiało to być coś potężnego, bo inaczej komu by się chciało? Lepiej pogrzeb w pamięci albo przejrzyj stare akta...

Równocześnie z utratą pracy straciłam i męża.

O wymówieniu wiedział chyba już od chwili, kiedy je podpisywałam, jakieś życzliwe dusze zadbały o donos. Do domu jeszcze wracał, chociaż bardzo późno, dni świąteczne natomiast spędzał w oddaleniu ode mnie, diabli wiedzą gdzie, przy czym zabierał ze sobą dzieci. Podobno w plenery. Pewną korzyść w tym widziałam, zażywały przynajmniej świeżego powietrza.

W jakimś momencie dostrzegłam, że ich stosunek do mnie zaczyna się zmieniać na gorsze. Jakieś sztywne się robiły, niechętnie, grzecznie odporne i milczące, znacznie bliższy był im ojciec niż ja. Na wywiadówkę do szkoły poszedł Stefan, ja o niej nawet nie zostałam zawiadomiona. I pomyśleć, że na początku głupie insynuacje potraktowałam lekceważąco...!

Na rozmowę z nim nie miałam szans, unikał mnie jak morowej zarazy, nie miałam zresztą także i ochoty, zniechęcił mnie, wyraźnie było widoczne, że potępia mnie bezapelacyjnie i w ani jedno moje słowo nie uwierzy. To Jacuś, cholera, uwierzył w końcu, a własny mąż niczym kamień! Wróg. A zdawałoby się najbliższy człowiek, z którym w zgodzie i szczęściu przeżyłam blisko dziesięć lat! No, może ten ostatni rok nie był taki idealnie zgodny i szczęśliwy...

Zdobył się wreszcie na ten wysiłek, dla każdego mężczyzny nie do zniesienia okropny, wrócił wcześniej i usiadł ze mną przy tradycyjnej herbacie, w kuchni. Gdybym wiedziała, co zamierza, zażądałabym zapewne przeniesienia się do pokoju, klęski życiowe odbierać w kuchni, to jakieś takie mało eleganckie i niedostatecznie dramatyczne.

— Musimy porozmawiać — oznajmił takim tonem, jakby informował mnie o konieczności otrucia dzieci i wymordowania się wzajemnie.

— Nie widzę przeszkód — odparłam z nikłym cieniem kiełkującej nadziei, w obliczu jego tonu bezsensownej. — Dawno chyba należało?

— Być może, zwlekałam zbyt długo. Chcę ci powiedzieć, że składam podanie o rozwód. Nie sądzę, żeby to było dla ciebie zaskoczeniem.

Milczałam chwilę, bo zadławiło mnie lekko. Nie, tego się nie spodziewałam, pretensje, zadrażnienia, konflikty, to owszem, ale nie taki grom z jasnego nieba!

— Przeciwnie — powiedziała trochę nieswoim głosem. — Jest.

Unióśł brwi w najprawdziwszym w świecie zdziwieniu, patrząc gdzieś na czubek mojej głowy.

— Zdumiewasz mnie — rzekł grzecznie. — Zważywszy całe twoje postępowanie, na naszym związku dawno przestało ci zależeć. Uczyniłaś, co mogłaś, żeby go rozbić. Nie wydaje mi się też, żeby zniknięcie z twojego życia mojej osoby miało źle wpłynąć na twoje doskonałe samopoczucie, o ile wiem, następców mam zatrzęsienie, samotność ci nie grozi. Nie aprobuję wprawdzie twoich gustów, ale w końcu nie moja to już sprawa.

Przez moment miałam wielką ochotę rozbić mu na głowie jakiś ciężki przedmiot, ale nic odpowiedniego nie stało na stole. Zrozumiałam bez pudła, dotarło przecież do mnie, że gachów mam na kopy, jednego wszak podobno okradłam, może kilku, byłam pewna, że nawet w to uwierzył. W tej sytuacji zaprzeczać gachom, gdzie sens, gdzie logika!

Nagle poczułam, że on ma rację. Coś się we mnie złamało, może wiara w jego uczucie, może potrzeba oparcia w nim, może przekonanie o naszej wspólnotności. W jednym

błysku pojęłam, że siedzi przede mną obcy człowiek, który patrzy na mnie nie z żadną troską czy bodaj żalem, tylko ze wstrętem. I nie ma siły, znikłam dla niego, tak jak dla mnie znikł mój prawdziwy mąż, zostawiając w zamian tego wrogiego, obrzydliwego faceta, z którym w ogóle nie chcę mieć do czynienia! Zmroziło mnie, mimo tych rozsądnych spostrzeżeń, do samego dna duszy.

— Nie będę protestować — powiedziałam całkiem nawet spokojnie. — Rób, jak uważasz. Zamierzasz uzyskać rozwód z mojej winy?

— Wyobrażasz sobie, że mógłbym postąpić inaczej? Po tym wszystkim, co dotychczas zrobiłaś? Przy całym twoim postępowaniu? Usiłowałem to ukrócić, prosiłem, żebyś się opamiętała, nic, groch o ścianę! Zaprzeczałaś, kłamałaś mi w żywe oczy, zrobiłaś sobie z tego zabawę...!

No rzeczywiście, zabawiłam się świetnie...

— ...Skompromitowałaś mnie do ostatnich granic, siebie również, nie wiem, co na ciebie taki dziwny wpływ wywarło...

Trzeba było może wnikliwiej popytać...

— ...Dłużej to jest nie do zniesienia!

Znienacka przyszło mi na myśl, że jeśli uprze się przy rozwodzie z mojej winy, będzie musiał postawić przed sądem świadków moich skandalicznych czynów. Znakomicie, wreszcie zetknę się z tymi tajemniczymi osobami, które mnie oglądały rzekomo na własne oczy, bo relacje pośrednie sądowi nie wystarczą, szczególnie jeśli im zaprzeczę. A zaprzeczę, jak Bóg na niebie, chociażby po to, żeby im się przyjrzeć, tym swołoczom! Może przy okazji wykryje się źródło, przyczyna i cel niepojętej nagonki na mnie, zobaczę bodaj z jednego wroga, może zdołam go zapytać, o co mu, do diabła, chodzi i co sobie do mnie upatrzył...?!

No proszę, nawet z takiej ohydy można mieć jakąś uciechę...

Mój mąż jednak, niestety, nie był kretynek, zapewne też o tych świadkach pomyślał, bo po wybuchu oburzenia zaproponował mi polubowne załatwienie sprawy. O mało nie zaczęłam go przekonywać do pierwszej wersji, tak bardzo spodobał mi się pomysł szkalowania mnie przed sądem, że wręcz nie mogłam się go wyrzec. Zdołałam się jakoś opamiętać, dobrze, niech mu będzie, bez orzekania o winie... Złożył pozew, wyraziłam zgodę.

Nie wiem, czy kiedykolwiek ogłuszająca prawda wyszłaby na jaw, gdyby nie wróciła właśnie z Kanady, po dwóch latach nieobecności, Agata, moja najlepsza, prawdziwa przyjaciółka, po której nasza córka dostała imię. Radosne wieści o mnie dotarły do niej błyskawicznie i przyleciała późnym wieczorem zdumiona i przerażona.

— Baśka, co się dzieje? — spytała z dzikim naciskiem, oglądając mnie uważnie ze wszystkich stron, — Co za wariactwo tu się rozgrywa, dlaczego mi niej nie napisałaś,

dlaczego nie zadzwoniłaś?! Wyglądasz, chwała Bogu, normalnie, schudłaś trochę, ale i nie widzę w tobie żadnych oznak alkoholizmu! Ani narkomanii...

Przerwałam jej z wielkim zainteresowaniem.

— Zaraz, zaraz, czekaj! O narkomanii nie było mowy dotychczas, nic o niej nie wiem, nie słyszałam.

— Za to ja słyszałam! O wszystkim, co tylko możliwe! Powinnaś już wyglądać jak zmora! Zmarszczki wory, czarne kręgi pod oczami, typowe objawy gdzie...?! Nie wierzę w te pierdoły, nie wierzę, że szukasz sobie małpoludów barłogowych po spelunach i mordowniach, w bogatych Szwedów też nie wierzę! Nie wierzę, że o wschodzie słońca wracasz do domu na czworakach...!

— Nie o wschodzie słońca, tylko dość wczesnym wieczorem, ponadto okradłam podobno Araba, i a nie Szweda...

— Głupia jesteś...!!!

To ja powinnam była wpaść w histerię, a nie Agata. Zastąpiła mnie żywiółowo. Dopiero po długiej chwili dała się uspokoić zdrową bombą koniaku, który wyparł z mojego domu wszystkie inne alkohole. Mój mąż je usunął, starannie pilnując, żeby ani kropla niczego nie pojawiła się na nowo, koniak natomiast zostawił, zapewne z tej przyczyny, że moje wybryki bazowały na piwie, wódce, winie i szampanie. Koniakiem poili mnie wyłącznie zamożni przestępcy.

— Ja się dowiem — zapowiedziała z zaciętością. — Nie było mnie dostatecznie długo, żeby nikt cię ze mną nie kojarzył. Chyba że starzy znajomi... Oni jak?

— Z rezerwą — odparłam, zrozumiawszy pytanie właściwie. — W głowie im się nie mieści, ale dopuszczają możliwość, że zawód mnie zdemoralizował. Kilka osób rozumnie domyśla się nagonki i wyrażają mi współczucie, nawet pomoc deklarują, ale jak niby ta pomoc ma wyglądać? Dzień i noc będą się na mnie gapić? Przywiążą mnie do siebie sznurkiem? To ludzie pracy, brakuje im czasu.

— Mnie chwilowo nie brakuje, mam z czego żyć, prywatny żłobek prowadziłam w Kanadzie, złoty interes! I mam już pomysł. Nie orientujesz się, gdzie i kiedy dasz następne przedstawienie?

— Pojęcia nie mam. Dowiaduję się, niestety, post factum.

— Czekaj. Nie. Zaraz. Nie zdychaj tak umysłowo, to przecież można wydedukować. Są jakieś prawidłowości, nie? Tak mi się coś zamajaczyło...

— Są — przyznałam z niechęcią. — Czas, przede wszystkim. Zawsze wtedy, kiedy publicznie jestem niewidoczna i od razu ci powiem, że już próbowałam przeciwdziałać. Tu, w domu.

Agatę to bardzo zainteresowało. Przestała wreszcie latać po całym pokoju, zgodziła się przejść do kuchni i usiąść spokojnie. Do romantycznych porywów kuchnia się może nie nadawała, ale do poważnych rozmów owszem.



— Jak próbowałaś? Nie, czekaj, po kolei. Gdzie w ogóle jest Stefan?

— Nie mam pojęcia. Nie zwierza mi się ze swoich poczynań.

Zaczęłam parzyć herbatę, bo koniak koniakiem, ale bez jakiegoś normalnego napoju zaschłoby nam w gardle.

— W ogóle nie wraca? — spytała Agata surowo.

— Kto tak powiedział? Wraca, dlaczego nie, czasem nawet wcześniej ode mnie. Coś tam robi, zajmuje się dziećmi, aż się umyją i pójdą do siebie. Dzięki czemu ostatnimi czasy wcześniej chodzą spać. Potem opuszcza zapowietrzony lokal i udaje się w sianą dal.

— I co?

— I nic. Wraca niekiedy dobrze po północy, niekiedy wcale. O ile to można nazwać powrotem, mnie raczej kojarzy się z odwiedzaniem szatni. Trzeba zmienić garderobę albo co.

— Rozmawiacie ze sobą?

— Rzadko, mało, bardzo grzecznie i tylko na tematy konkretne.

— Jakie one są, te tematy konkretne?

— Uprzejma prośba, żebym zechciała po deszczu zostawiać otwartą parasolkę w łazience, a nie wieszając zamkniętą w przedpokoju...

— Naprawdę wieszasz mokrą i zamkniętą parasolkę w przedpokoju? — zdumiała się Agata podejrzliwie.

Westchnęłam ciężko i nalałam wrzątku do imbryczka.

— Raz się zdarzyło. Obie ręce miałam zajęte, śpieszyłam się, bo kupiłam mrożonki, powiesiłam ją na chwilę i potem o niej zapomniałam. Albo rzeczowy komunikat, że poprzedni majonez wyszedł i należy otworzyć nowy słoik. Albo że rajstopki Agatki przetarły się na kolanach i zostały wyrzucone. Albo pytanie, gdzie podziało się czasopismo, które dwa dni temu leżało na biurku. Albo tym podobne.

— W zasadzie bezkonfliktowe — pochwaliła po namyśle Agata. — Chociaż, przy odrobinie uporu, można z tego wydłubać zarzewie wojny światów. No dobrze, rozumiem...

— Nie — przerwałam jej ponuro. — Nie rozumiesz...

Poprzestając na pytającym spojrzeniu, Agata czekała przez chwilę.

— Aż mi trudno o tym mówić — wyznałam z oporem. — Może na razie dam spokój.

— Zasygnalizuj tylko.

— Niech ci będzie. Dzieci. Jestem odsuwana od dzieci i daruj mi chwilowo szczegóły...

Nie darmo byliśmy przyjaciółkami od czasów babek w piasku, przez wszystkie szkoły, a także i później, mimo różnych studiów, ja poszłam na prawo, Agata na historię. Złapała teraz i uszanowała.

— Wracamy do baranów, mówiłam ci, mam pomysł. Nawet dwa, bo wężę tu drugie dno...

— Do każdego jeden?

— Coś w tym guście. Ty sobie na te popisy wybierasz popołudnia i wczesne wieczory, tak?

— Owszem. Tak mi mówiono.

— Coś w tym jest. Dziwoląg. Bo dlaczego nie w nocy?

Powtórzyłam jej to, co mówiłam już Jacusiowi. Świadkiem moich nocnych poczynań był mój mąż osobiście, nikt nie wmówiłby w niego, że nie zauważył nieobecności żony, śpiącej przy jego boku. Noce prześladowcom przepadały.

— Już to jedno wystarczy, żeby się połapać w matactwie — stwierdziła gniewnie Agata. — Stefan musiał zidiociec doszczętnie albo twoje zeszmacenie było mu na rękę i chciał uwierzyć. Jakaś baba w tym tkwi, głowę daję!

Wzruszyłam ramionami, bo co mnie obchodziła teraz jakakolwiek baba. Niech ma i harem, ja już wyszłam z imprezy. A kolczasty kaktus w środku jest moją sprawą i sama dam z nim sobie radę. Zawsze chciałam być pełnym człowiekiem, nie zaś połówką, względnie bluszczem. Chciałam, bardzo dobrze, noto niech wreszcie będę!

W rezultacie Agata swoich pomysłów mi nie wyjawiała, ale ostro wkroczyła do akcji. Zajęta byłam, musiałam sobie znaleźć nową pracę, wymiar sprawiedliwości odpadł definitywnie, wyrzucony prokurator nie miał żadnych szans. Wykorzystałam nabytą przez ostatnie lata wiedzę praktyczną, weszłam w publicystykę, zaczęłam pisać felietony i artykuły, prasa chętniej chwyciła, bo, jako dno moralne, stanowiłam atrakcję i upadły anioł czy upadły prokurator to coś ciekawszego niż, na przykład, diabeł nawrócony, rzetelna demoralizacja emocjonuje wszystkich, chociaż niektórzy się do tego nie przyznają. O etacie nie było mowy, ale jako wolny strzelec zaczynałam być rozchwytywana, a rzeczywistość obficie dostarczała mi żeru.

Na rozprawie sądowej okazało się, że mój mąż zabiera mi dzieci.

Szlag mnie nie trafił i zdołałam się opanować, bo w samej głębi duszy przeczuwałam już coś podobnego. Jako jedyny świadek wystąpiła pani Jadzia, która ze łzami w oczach i w beznadziejnym przygnębieniu powiedziała samą prawdę. Że co najmniej od roku, a może i trochę dłużej, więcej dziećmi zajmuje się ojciec niż matka, ojca kochają nad życie, do matki odnoszą się jakoś tak nie bardzo, pan troskliwy, pani roztargniona i wiecznie zajęta, no fakt, że same potrafią i ubrać się, i umyć, i bawić, i zjeść, i posprzątać po sobie... Bo muszą. A to przecież małe dzieci, opieki im trzeba...

Przez chwilę miałam chęć spytać panią Jadzię, czy widziała mnie kiedykolwiek pijaną, ale zrezygnowałam, przypomniawszy sobie, że po pierwsze, ostatnio pani Jadzia widywała mnie niesłychanie rzadko, może raz na miesiąc, a po drugie, w kwestii wulgarnych, publicznych i kompromitujących występów nie miała nic do gadania. Nie było jej przy tym i plotek nie przynosiła.

Moje naganne ekscesy adwokat powoda opisał nader powściągliwie, eksponując lekko wyłącznie fakt wylania mnie z roboty. Nie zaangażowałam własnego adwokata, znów zlekceważyłam wagę problemu, sama byłam sobie winna, musiałabym teraz rozwinąć akcję, która przez dwa lata nie dała żadnego rezultatu, udowodnić, że nieprawdą jest, jakobym była wielbłądem. Do kitu, zaprotekowałam z energią i tyle, przypominałam, jaki wykonywałam zawód, zwróciłam uwagę na ogólną sytuację w kraju, przestępczość i prokuratura, znajdowałam się po niewygodnej stronie barykady, zostałam oszkalowana, ponieważ nie chciałam się poddać mafijnym układom. Teraz może dadzą mi spokój i okażą się jednostką szlachetną.

Nikt mi nie uwierzył, aczkolwiek wszystkiego wysłuchano grzecznie.

Agata szalała, dzień w dzień robiła mi awantury, żądała wezwania jej jako świadka. Tłumaczyłam jak sołtys krowie na miedzy, że gównu nam z tego przyjdzie, nie jest żadnym świadkiem, nie było jej przez dwa lata, a konkretnych faktów nie ma. Wszystkiego się tylko domyśla, niczego nie udowodni. Nie chciałam zaczynać wojny o dzieci, odbiło by się na nich, wolałam pogodzić się z prawem widywania ich raz na miesiąc.

Zostałam z mieszkaniem, samochodem i bez pieniędzy. Mieszkanie należało do mnie, kupił mi dziadek w prezencie ślubnym, dopilnował sporządzenia intercyzy i zaraz potem umarł. Za resztę spadku po nim kupiłam samochód, Fiata Pumo, i nic już nie zostało. Stefan miał swoją toyotę, samochody oszczędzały nam czas, którego ciągle było za mało, ale za to zabrakło mi na odzież. Stąd skromność mojej garderoby i owe staranie przemyślane strój robocze.

Mój mąż był w znacznie lepszej sytuacji. Przez dwa ostatnie, upiorne lata zaczął się bogacić, filia prosperowała, toyotę zamienił na mercedesa, w czasie się wakacji zabrał dzieci na miesiąc do Normandii, kupił sobie apartament, ja zaś musiałam teraz płacić mu alimenty. Sąd wycenił je na tysiąc złotych, zapewne w mniemaniu, że i tak bym te pieniądze przepięła!

Agata dokonała swoich odkryć dokładnie w dzień po uprawomocnieniu się wyroku. Przyszła do mnie z szampanem.

— Z przykrością stwierdzam, że poślubiłaś kretyna — oznajmiła gniewnie. — Skoro się go wreszcie pozbyłaś, co ci, jestem pewna, wyjdzie na zdrowie, należy to uczcić. Mam nadzieję, że jedna flacha nam wystarczy.

Wysunęłam supozycję, że właściwsze byłoby może zwykłe pół litra, ale nie zgodziła się ze mną. Nie pozwoliła także przełożyć uroczystości na żaden późniejszy termin.

— Jeszcze czego! Lada chwila twój eks wstąpi w nowe związki małżeńskie, a szlag by mnie trafił, gdybyśmy przez głupi przypadek trafiły z tym czczeniem na jego ślub. Dawaj kieliszki! Jest zimny, z lodówki go wyjęłam.

— Ale na zagrychę mamy wyłącznie serek i dwa jajka na twardo...

— I oliwki — skorygowała. — Z migdałami. Wiedziałam, że gównem się żywisz, więc przyniosłam. Szampana pod jajka na twardo jeszcze nigdy nie piłam, ale co szkodzi spróbować?

— Z kim się żeni? — spytałam, porządkując stół w pokoju, ponieważ kuchnia do szampana nie pasowała. — Wolałabym wiedzieć, bo w końcu dosyć ściśle dotyczy to moich dzieci.

— A otóż to! Dzięki szanownej narzeczonej wylazło szydło z worka!

Okazało się, że mój były mąż żeni się z ową mistrzynią knedli, troskliwą Urszulką z ulicy Mokotowskiej. Dawno już okazywał jej atencje, aczkolwiek wstrzymywał się z zacieśnieniem romansu, żeby nie narażać w miejscu pracy opinii tej anielskiej istoty. Uczciwie mówiąc, do skoków w bok nigdy nie miał skłonności, preferował związki legalne, zważywszy jednak, iż jedyny legalny związek łączył go ze mną, należało się mnie jakoś pozbyć. Zdaniem Agaty, źródło plotek i przyczynę całej nagonki stanowiła Urszulka.

W pierwszej chwili nie zdołałam uwierzyć.

— Ale nie powiesz przecież, że ona sobie to wszystko wysysała z palca! — zaprotestowałam w osłupieniu. — Ostatecznie Jacuś o moich wybrykach w barze Tajfun słyszał od personelu! I nie mogła występować jako ja, szczególnie pod własnym domem! I przecież Stefan to nie imbecyl, gdyby słyszał wszystko wyłącznie od niej...

— Imbecyl — przerwała mi krótko Agata i pyknęła korkiem od szampana. Odruchowo podsunęłam jej kieliszki. — W niektórych sytuacjach życiowych idiocieje każdy mężczyzna, a inteligencja nie ma z tym nic wspólnego, bo nie w głowie mu się zajaczki lęgną. Jeśli wdzięczna postać dzień w dzień kręci mu tyłkiem przed nosem, wielbiącymi oczka patrzy, kadzielnicą majta...

— Stefan nigdy nie leciał na wampy! Wywęszał je jak tresowany pies!

— Toteż ona wcale nie wamp, tylko kapłanka. No, twoje zdrowie! Żeby ci się druga młodość szczęściła

— Bóg ci zapłać. Twoje...

Szampan był znakomity i miał jakąś szczególną właściwość przywracania równowagi umysłowej. Usiadłyśmy wreszcie przy stole, jak ludzie.

— Powiedz, co wiesz, jakoś porządnie i po kolei — zażądałam. — Bo to duża rzecz i akcja niezwykła a w dodatku nie wszystko mi się zgadza. Wal!

Ubiegłe lata, jeszcze sprzed jej wyjazdu do Kanady, sprawiły, że wspólnych znajomych mieliśmy zatrzęsienie, zarówno z wcześniejszych, jak i późniejszych czasów. Agata dopadła wszystkich, dokładając im także aktualnych współpracowników mojego męża. Byłego. Wśród nich znalazła dawnego kumpla swojego brata, zawód miał właściwy, chemik...

— Pamiętałam, że ten Jureczek wybierał się na chemię i raz nawet, razem z Kaziem, zrobili straszny smród w mieszkaniu, w związku z czym matka wzbroniła mu wstępu do naszego domu — opowiadała. — Nie wiem, co oni tam przyrządzili, ale śmierdziało trzy tygodnie. Jeszcze do szkoły chodziłyśmy, niemożliwe, żebym ci o tym wtedy nie mówiła!

A owszem, mgliście przypomniało mi się, że w domu rodzinnym Agaty była potężna awantura, i chyba nawet ona sama przez jakiś czas śmierdziała czymś obrzydliwym, ale szybko wyleciało nam to z głowy, bo obie przeżywałyśmy perturbacje uczuciowe, znacznie ważniejsze niż wszystkie smrody świata. Kumpel Kazia, Jureczek, nie zwracał uwagi na znacznie młodsze dziewczynki, starszy był od nas o cztery lata i w skład wulkanu uczuć nie wchodził, poszedł zatem w niepamięć.

— Zadzwońłam do Kazia po nazwisko — mówiła dalej — bo co szkodziło spróbować. Okazało się, że nie stracili kontaktu, i więcej! Kazio się rozgadał, ten Jureczek w pierze porasta, bo zmienił firmę, zmienił czy dołożył sobie, wszystko jedno, dość że już z półtora roku robi coś tam chemicznego dla Stefana. Rzecz jasna, nie miał zielonego pojęcia, że Stefan to twój mąż, Kazio też nie kojarzył, że dawna Mięczakówna to obecnie Borkowska, a ja im wolałam nie przypominać. Patrz, jaki fart, myślałam, że pójde łańcuszkiem, jeden chemik prowadzi do drugiego chemika, a tu Jureczek spadł jak z nieba. Ty, to jajko z oliwką pod szampana wcale nieźle idzie!

Serek też nam szedł nieźle.

Łatwo zgadnąć, że Agata dopadła Jureczka od razu, spotykając się z nim starannie zaplanowanym przypadkiem.

— Przypomniałam mu się i wyobraź sobie, on nas pamiętał! Tyle że nie był pewien, która z nas jest która, ale to już bez znaczenia. Zaprzyjaźniliśmy się od serca w pierwszej najbliższej knajpie, przy piwie, i plotki nam się zgoła zaiskrzyły. Jego świeżutko; spotkało wielkie szczęście, usprawienie mu przyjęli, zdaje się, że pasty do zębów albo może zmywacza do smaru, nie jestem pewna, bo smar nas akurat nie dotyczy, a zęby niech szlag trafi... Dość że z tej zawodowej przyczyny był taki rozmowny, wyjaśniam ci, żebyś nie miała głupich wątpliwości. Baba plotkuje zawsze, facet do faceta przeważnie, ale facet do baby ma opory i udaje, że plotek nie słucha...

— I nie powtarza... — mruknęłam.

— Toteż właśnie. Rozanielenie przebiło w nim męskie cechy. No i teraz przystępuję do meritum, dolej nam jeszcze!

Meritum zaprezentowało się niezwykle.

Jureczek, acz pracujący tylko na zleceniach, zagnieździł się w firmie i znał wszystkich, także prezesa i jego sekretarkę. O sekretarce wypowiadał się niezbyt entuzjastycznie, ładna była, owszem, ale jakaś bezbarwna i chociaż okrągłości miała na właściwych miejscach, to jednak nie rzucała się w oczy. Trochę taka wdzięczna trawka, co to lada

podmucha ją złamie i trzeba się nią opiekować. Zdaniem Jureczka, był to pic fotomontaż; cicha woda, po wierzchu sama szlachetna łagodność, a w środku stał kuloodporny i jadłowita żmija. Głupia przy tym jak próchno, do końca pracy, bo z chwilą zawarcia upragnionego związku małżeńskiego przestała pracować...

— Skąd on wiedział, że upragnionego? — przerwałam podejrzliwie..

— Po czwartym piwie przyznał się, że podsłuchał — odparła Agata z satysfakcją. — Ty wiesz, że na mnie piwo alkoholicznie nie działa, nerki mi tylko energiczniej pracują, więc byłam trzeźwa jak świnia. A on pewno głodny z roboty wychodził. Podsłuchał przypadkiem, w przypadek wierzę, w damskim wychodku, mają tam podzielone na płci, przez zwykłe roztargnienie, bo o czymś innym strasznie myślał, wszedł do damskiego. I w kabinie siedział, kiedy dwie baby usłyszał, rozpoznał po głosach, popatrz, chemik, a słuch ma! Jedna to była taka Zenia z księgowości, a druga Urszulka, sekretarka pana prezesa. Przyjaciółki. No i Urszulka powiedziała, że trupem padnie, a na męża go złapie. Ta Zenia miała wątpliwości, żonaty, dzieciaty, nie dziwkarz, żona na poziomie to niby jak? Urszulka na to rzekła, że ma swoje sposoby i gównem ją obchodzą żona i dzieci, a poziomy to można i podwyższać, i obniżać. Możliwe, że usłyszał więcej, ale powtórzyć mi nie umiał, co nie ma znaczenia, bo i tyle chyba wystarczy, nie?

— To nie taka głupia, jakby się wydawało — zauważyłam obiektywnie.

— Owszem, głupia — uparła się Agata. — Do końca pracy, bo nie dałaś mi dokończyć zdania, nie potrafiła już nie tylko obsługiwać, ale nawet włączyć i wyłączyć komputera. I nie było siły, na piśmie miała instrukcję obsługi jak elementarz, który klawisz najpierw, który potem, żadnych tam enterów i bekspejsów, tylko zwyczajnie, drugi klawisz z prawej od góry, pierwszy z lewej od dołu, najechać myszą na zamkniętą walizkę i tak dalej. Krowa by się nauczyła przez dwa lata, a ona nie.

Mój przytłamszony psi węch odezwał się tak, że o mało nie kichnęłam. Więc jednak...! Mądrzejszy był ode mnie, nie o knedle chodziło, trafnie wybrał komputer!

— Jak, na litość boską, Stefan to znosił?!

— Z cierpliwością niebiańską i zdumiewającym poczuciem humoru. Bardziej mnie intryguje, jak ona to robiła, że się przy tym świetnie bawił.

— To ta trawka, na wichrze się gnąca...

— Chyba tak. Czekał, bo to nie wszystko. Jureczek był przecież niejako świadkiem rozchodzących się plotek o tej żonie. Wcale nie Urszulka zaczynała, ona tylko miała łzy w oczach i takie święte współczucie na twarzy, wrywało się biednej coś tam, aż w końcu, przymuszona, powtarzała powściągliwie, a potem Stefan, człowiek, jak sama wiesz, rzeczowy, łapał delikwenta i żądał ścisłej prawdy. Faktów. Konkretów. Prezesowi się nie odmawia, z przykrością wyjawia się tę prawdę. Zważywszy, iż niektórzy czynili to nawet z przyjemnością...

Jak dotąd, wszystko układało się zrozumiale, technicznie tylko było nie do pojęcia.



— Czekaj, ale przecież ja się osobiście nie szlajałam. A widzieli mnie. To jak ona to zrobiła, jeśli istotnie była sprężyną...?

— Co do sprężyny, nie ma dwóch zdań — zapewniła mnie Agata. — Jureczek nie Duch Święty, wszystkiego nie wie. Ale jakiejś osoby jest pewien, bo był przy tej hecy, kiedy wygrażałaś jej pięściami z drugiej strony ulicy, w ciemnych okularach. Nawet z ciekawością popatrzył, jaka ta żona jest, do głowy mu nie przyszło, że zna ją od wczesnej młodości...

Ożywiłam się gwałtownie.

— Słuchaj, a gdyby mnie teraz zobaczył z bliska...?

— Gówno by nam z tego przyszło, patrzył z daleka i jeszcze okulary... Zostało coś z szampana...? Nie do wiary, wypiliśmy dopiero pół flachy? To świetnie, starczy nam do końca. Bo to nie koniec, ja się postarałam uczciwie i rzetelnie.

Jakimś cudem Agacie udało się wyłowić technika elektryka, który się w tej Urszulce kochał od kilku lat, jeszcze w poprzednim miejscu pracy. Wiedziona natchnieniem poszła w przeszłość, znalazła przedsiębiorstwo budowlane, aktualnie zmierzające ku bankructwu, ale wciąż jeszcze zatrudniające szczątki pracowników. Technika wskazano jej na bazie plotek, dopadła go, kiedy był bardzo pijany i zwierzał się każdemu, kto mu wlaźł pod rękę.

— Za kurwę mnie wzięli, taką cokolwiek przechodzoną — mówiła z wielkim zadowoleniem. — Dla doświadczonych amatorów, ale co mi zależy, rozumna byłam, bo szukałam zabalsamowanych w średni czarnoziem, dla takich nawet mumia egipska będzie cudownie piękna. Znaczący, dojrzała kurtyzana, wie, co robi. Ten technik, przedstawił mi się, Miecio mu, nazwiska nie znam, wybełkotał, i musiałabym wygrzebywać mu z kieszeni dowód osobisty, co mogłoby być źle widziane przez barmana, no więc ten technik całą Urszulkę wypłakał mi na łonie. Uczuciem do niej zapłonał z przyczyn nieznanych, dawała mu nawet nadzieję na wzajemność, a potem jej się nagle odmieniło i nie chciała go znać. Chodził za nią, śledził ją, rozumiesz, ja streszczam, musiałam jakoś to pijackie głędzenie uporządkować, no i, między innymi, stwierdził dwa fakty. Jeden, z prezesem nie sypiała, on bywał u niej, ale jakoś tak, że łóżko nie majaczyło, a drugi, że ukradkiem bywa nadal, ona znaczący bywa, ta Urszulka, u jakiejś swojej przyjaciółki, na Dolnym Mokotowie, w oficynie budynku, który ma cztery wejścia. Czy przejścia. Zabij mnie, adresu nie zgadłam. Cholernie długo chatował, aż wreszcie zyskał prawie pewność, on uważał, że całkiem pewność, że z tą przyjaciółką siuchy ma jakieś tajemnicze. Przyjaciółka udaje kogo innego. Też ją podglądał. De facto jest to męt idealnie rynsztokowy, z wielkim talentem aktorskim, zdolny i do wszystkiego. No! Tyle udało mi się uzbierać i zaschło mi w gardle. Zrozumiałaś całość?

Zrozumiałam tak dokładnie, że chwyciłam butlę i dolałam nam szampana. Oszołomiona byłam znacznie mniej niż powinnam być, bo doskonale mi to współgrało z podejrzeniami. Sedno rzeczy nareszcie i wyszło na jaw!

— Ciekawa rzecz — rzekłam w zadumie — czy Stefan byłby wstrząśnięty zgrozą, czy też dumny z tego, że aż takich podchodów okazał się godzien...

— Dumny — zaopiniowała Agata stanowczo.! — Mężczyzna przecież, nie? Kobiety do takich rzeczy przywykły od wieków, do chłopów nie docierało. Że ona, poza tym, dennie głupia, długo jeszcze nie zauważy.

— Zaraz, czekaj, skąd głupia, sam komputer o głupocie nie świadczy!

— A, bo nie zdążyłam ci powiedzieć wszystkiego!; Każdy absolutnie, z kim rozmawiałam, ale to każdy, jak Boga kocham, mówi to samo. Z nią się nie da porozumiewać jak z człowiekiem. Można, oczywiście, gadać do niej, obojętne co, ona nic nie odpowie. Kiwnie głową, uśmiechnie się półgębkiem, zgodzi się ze wszystkim, a jeśli jej zależy, będzie patrzyła z podziwem. Od niej może wyjść informacja, że deszcz pada i jest chłodno. Do innych epokowych odkryć nie jest zdolna.

— Ale umie gotować knedle...

— O, sądzę, że także zrobić przepierkę, wytrzeć kurze, upiec ciasto drożdżowe... Jakim cudem Stefan może w niej widzieć szczyty intelektu? Chyba że tak mu się gust odmienił, kiedyś uznawał wyłącznie kobiety inteligentne, głupotę omijał o kilometry!

Zastanawiałam się nad tym, oczywiście, od początku rozmowy i odgadłam bez wielkiego trudu.

— Rozumiem, że ona małomówna...? No to jasne przecież, on do niej mówi, a ona tym łbem kiwa, znaczy, wszystko pojmuje, popiera i podziwia, ciekawa rzecz, same słowa na pe... Niczemu nie przeczy, o nic zapewne nie pyta, a całe gadanie jest o nim, więc większej perły umysłowej na świecie nie ma. On lubi być najważniejszy, musiałam go chyba zmęczyć, bo miewałam własne zdanie, a w dodatku nie skakałam koło niego jak koło śmierdzącego jajka i zajęta bywałam czym innym, nie nim...

— No to jasna sprawa — zgodziła się Agata.

— W dodatku, tak wywnioskowałam z tych pijanych zwierzeń, doskonała w łóżku. Odstawiony od piersi amant gorzko szlochał, że niczego podobnego już w życiu nie znajdzie.

Wzruszyłam ramionami z lekkim, co prawda, rozgoryczeniem, ale bez krwawej rany w sercu, bo akurat nie seks był dla mnie sednem życia. Co innego mnie właśnie zainteresowało.

— No to teraz dziwi mnie tylko jedna sprawa — powiadomiłam Agatę. — Nie wiem, czy ci mówiłam, a możesz i nie pamiętać, telefony miałam anonimowe. Dwa. Donos, że mój mąż lata za jakąś Ursulką. Ciekawe, kto to był, ta życzliwa osoba, bo przyjaciółka, która ją wspomagała, chyba odpada?

Agata również wzruszyła ramionami.

— Ktokolwiek. Facetka?

— Facetka.

— Byle kto. Po twojej stronie, a Urszulce przeciwna.

— Nie. Ton był jadowity i złośliwy. Obliczony na skakanie mężowi do oczu z pazurami.

— To nad czym ty się zastanawiasz? Miałaś skoczyć i jeszcze bardziej mu siebie obrzydzić. Nie skończyłaś, więc z telefonami dały sobie spokój. Czyli aferę mamy z głowy, spluń do tyłu i oddziel się od tego grubą kreską. Nie twoja kompromitacja, tylko Stefana!

Bez namysłu poparłam jej zdanie, chociaż nie byłam pewna, czy w ogóle można tu mówić o kompromitacji. On się po prostu zakochał bezwiednie w podstępnej idiotce i reszta już poszła lawiną. Mnie zahaczyła lekko i w gruncie rzeczy nieszkodliwie.

Ten ostatni pogląd okazał się mylny.

Dziennikarstwo to zupełnie co innego niż wymiar sprawiedliwości. Dobiały mnie nikłe echa wieść o moich pijaństwach, którymi nikt się nie przejmował. Chciałam pisać po pijanemu, proszę bardzo moja sprawa, ważne, żebym pisała dobrze i nie popełniała elementarnych błędów. Nie popełniałam zbyt dobrze znałam temat. Ponadto nikogo nie podrywałam, nie wygryzałam i nie podrzynałam żadnych stołków, przynajmniej w pierwszych miesiącach.

Później zaczęło się na nowo, acz jakby nieco łagodniej i w niklejszym zakresie.

Gdyby nie to, że stałam się poczytna, ludzie polubili moje felietoniki i artykuły, a korespondencja w kwestii porad prawnych zawałała stoły w redakcjach, pewnie by mnie znów wylali, bo napływały także pretensje. I, oczywiście, donosy. Głównie ustne.

Zaprzyjaźnionego Jacusia nigdzie nie miałam, więc nikt mnie o niczym nie informował wprost, ale udało mi się podsłuchać parę rozmów. Najpierw uczciwym przypadkiem, a potem specjalnie się postarałam. Znów to samo. Znów w knajpie. Gromko obiecywałam, że któryś naczelny poleci, któryś prezes, któryś dyrektor, już ja się o to postaram, bo mam chody w prokuraturze, ważna pani redaktor jestem. Trochę mniej szastałam nazwiskiem, ale i tak szczęśliwie się złożyło, że w tej knajpie prawie wszyscy byli na bani i nikogo moje krzyki zbyt nie obeszły.

Co gorsza, ruszyłam ludzi. Okazało się, że dzwonię do rozmaitych osób na świeczniku, polityków, aktorów, pisarzy i tym podobnych, natrętnie żądając wywiadu, umawiam się z nimi, a potem nie stawiani się na spotkanie, nie przychodzę zostawiam ich na lodzie bez słowa. A nawet jeszcze gorzej, co najmniej dwukrotnie na taki wywiad przybyłam i zaprezentowałam zestaw zalet, który delikwentowi całą prasę obrzydził definitywnie. Wulgarna baba, nie dość, że tępa i bez wykształcenia, to w dodatku chyba pijana.

Przytrafiały mi się te ekscesy znacznie rzadziej niż przedtem, ale i tak zwątpiłam w odkrycia Agaty. Nie miałam następnego męża do odbierania, nie buntowałam dzieci, więc o co, do cholery, mogło znowu chodzić...?!

— Tak myślę, wiesz, że może ona czuje się niepewnie — rzekła Agata z troską, kiedy spotkałyśmy się u mnie wieczorem, tym razem bez szampana, bo nie było czego czcić. — Może się boi, że Stefan do ciebie wróci, więc na wszelki wypadek dba o twoje morale. Bo innych powodów nie widzę.

— Ja też nie. Ale jeśli masz rację, to ona jest rzeczywiście przeraźliwie głupia. Wysoce trafnie ocenia i Stefana, i mnie.

— Nie chcesz go już wcale...?

— Puknij się. Za nic! A gdyby usiłował wracać, okazałby się nie tylko kretyńcem, ale zgoła mierzwą. Ona go uważa za mierzwę?

— Każdy sądzi według siebie! — westchnęła filozoficznie.

— No to można jej pogratulować. Ale dzieci wydają mi się jakieś normalniejsze, nie ma w nich już tego oporu przeciwko mnie. Widują się ze mną dobrowolnie i zaczynają rozmawiać. Niepokoi mnie tylko jakaś ciocia Fela, która im się ostatnio parę razy wy-psnęła, ale wolałam na razie nie wypytywać.

— Co za ciocia Fela? Skąd?

— A cholera ją wie. Nie ma ta Urszulka siostrzyczki?

— Nic o tym nie wiem. Do licha! Wróciłam już do pracy, bo ile można się byczyć, więc trochę mi czasu brakuje, szkoda. Powęszyłabym znowu...

Po czym spadła na mnie niespodziewana łaska losu.

I bez węszenia Agaty tajemniczy przeciwnik popełnił błąd. A nawet dwa błędy.

Jednym był kolejny wywiad, chyba trzeci, z pisarzem, publikującym niekiedy na łamach, który to pisarz przyleciał z felietonem do redakcji akurat w momencie mojej obecności. Spotkaliśmy się u naczelnego i zostałam przedstawiona.

— Co...? — powiedział pisarz, niekoniecznie grzecznie, ale za to ze śmiertelnym zdumieniem.

— Redaktor Barbara Borkowska — powtórzył odruchowo nieco zaskoczony naczelnny.

— Jak to? — zdumiał się pisarz jeszcze bardziej.

— Są dwie osoby o tym samym nazwisku?

Tknęło mnie i zainteresowałam się gwałtownie.

— A co? — spytałam chciwie. — Spotkał pan jakąś inną?

— Nazwisko popularne... — zaczął naczelnny.

— Ależ nie dalej jak wczoraj! — przerwał mu pisarz. — Pani Barbara Borkowska była u mnie, nazywało się to wywiadem, ale, szczerze mówiąc... no, jak by tu powiedzieć...

— Najlepiej wprost — poradziłam żywiutko. — Bo mam wrażenie, że nie bardzo się panu podobało?

— Ściśle biorąc, wcale. Jakiś poziom, ostatecznie, należałoby zachować... Ćwierć inteligentka, zdecydowanie ordynarna, nie mająca pojęcia, o czym właściwie mówi... Ale to nie była pani! — zastrzegł się szybko.

Zaczęła we mnie rosnąć potężna emocja. Pierwszy raz...!

— Pewnie, że nie ja, u nikogo wczoraj nie byłam. Zachwycają mnie pańskie słowa, błagam, niech je pan powtórzy! Panie redaktorze, proszę słuchać uważnie!

— Przecież słucham — bąknął naczelny, wyraźnie oszołomiony.

Pisarz przyjrzał mi się z wielką uwagą.

— Wie pani, że nawet była chyba trochę do pani podobna... Najmocniej przepraszam, to nie miał być afront! Wzrost, figura, włosy... No, nie twarz, ale jakby karykatura... Nie, głupstwa mówię. To nie tak. Gdyby panią zwulgaryzować, zrobić wyzywający, makijaż, usunąć inteligencję... Owszem, byłaby pani do niej podobna, chociaż chyba tylko pozornie. To i kto to był, ta osoba?

— Tajemnicza postać, która od paru lat podaje się za mnie! — westchnęłam. — Jest pan pierwszą istotą ludzką, oglądającą oba wcielenia dzień po dniu. Miłosierna opatrność pana tu chyba dziś zesłała, bo nikt mi nie wierzy, kiedy mówię, że ona to nie ja, a ja to nie ona.

— Niemożliwe, przecież nie można się pomylić!

— A jednak. Od dawna mam opinię alkoholiczki awanturnicy i rozpustnicy, pozbawionej kropli oleju w głowie. Psychopatka w ogóle...

Naczelny zaczął srogo marszczyć brwi.

— Zaraz, zaraz. To nie jest sprawa wyłącznie pani. Ta osoba podaje się za pracownika redakcji? I zachowuje się kompromitująco? No nie, podobne wybryki dotyczą całej prasy! I posługuje się pani nazwiskiem?

— Nagminnie.

— Powinna jej pani wytoczyć sprawę sądową!

— Już się rozpędziłam. Po pierwsze, nie mam pojęcia, jak ona się naprawdę nazywa, możliwe, że tak samo jak ja, to rzeczywiście jest popularne nazwisko, a po drugie, nie mam świadków. Pan Jakuszek jest pierwszy. Już widzę, jak się ucieszy, kiedy zacznę go włączyć po sądach!

Pisarz pośpiesznie cofnął się o krok.

— Nie, nie, ja proszę! Mam mało czasu...

— Jednakże jest to kompromitacja zawodu — upierał się naczelny. — Coś z tym powinno się zrobić! Wyjaśnić publicznie!

Zapewniłam go, że już kilka osób próbowało, nawet fachowcy, bez skutku. Jakaś wesoła panienka zrobiła sobie taką zabawę i najlepiej byłoby nie traktować jej poważnie. Pod warunkiem, rzecz jasna, że przestanie być brana za mnie albo ja za nią i bodaj część społeczeństwa uwierzy, że ona to ona, a ja to ja.

Obaj panowie ogniście zadeklarowali wiarę we mnie i niewiarę w tamtą drugą i pierwszy krok uznałam za uczyniony.

Drugi krok uszczęśliwił mnie w trzy tygodnie później.

Siedziałam wieczorem w innej redakcji i odpowiadałam na listy czytelników. Nie chciało mi się nosić do domu tych ton makulatury, więc załatwiałam sprawę w miejscu pracy, kiedy znienacka przyleciał redakcyjny fotograf, któremu się coś pomieszało ze zdjęciami. Mamrocząc pod nosem rozmaite klątwy, przystąpił do produkcji nowych odbitek i aczkolwiek spędzał czas głównie w ciemni, to jednak widzieliśmy się niejako w sposób ciągły. Szczególnie, że z litości dla niego i dla siebie zrobiłam kawę, którą pił w moim pokoju. Nic się poza tym nie działo, wyszliśmy późno prawie równocześnie, on pierwszy, ja za nim, i pojęcia nie miałam, że znów spadł na mnie ślepy fart.

Zaraz nazajutrz przyleciał wcześniej i przyjrzał mi się ze szczerym zdumieniem.

— Słuchaj, czy ja wczoraj byłem trzeźwy? — spytał podejrzliwie.

— Jak świnia. A co? Źle ci wyszły odbitki?

— Nie, ty mi źle wyszłaś. Mam wrażenie, że siedziałaś tu cały czas i nawet dłużej niż ja. Dobrze mam wrażenie?

— Doskonale — uspokoiłam go. — Wszystko się zgadza.

— Przeciwnie, nic się nie zgadza. Byłaś U Szwejka i rozrabiałaś jak pijany zając, gdybym cię tu nie widział na własne oczy, zgłupiałbym do reszty. To znaczy nie tak, może na odwrót, zgłupiałem, widząc cię tam. Nie mogłaś zdążyć przede mną, więc co to znaczy?

Przejęłam się szaleńczo.

— Widziałeś mnie tam? Z bliska? Wyraźniej mów porządnie!

— Żeby z bliska i wyraźniej, to nie powiem, w zęby ci nie zaglądałem, ale tyle szumu robiłaś dookoła siebie, że ciężko cię było nie zauważyć. Baśka, jest grane? Masz siostrę bliźniaczkę?

— Nie mam, ale ty jesteś dla mnie anioł z nieba.

— Nowość! — ucieszył się. — Za anioła jeszcze w życiu nie robiłem!

— To teraz właśnie zaczynasz. Ile ze mnie widziałeś i które to było? Łeb, góra, dół, gęba? Kiecka może?

— Łeb, o ile chcesz to tak elegancko określić i portki, elementy kontrastowe. W spodniach wczoraj byłaś, nie?

Owszem, byłam w spodniach. Zaczęłam je nosić niekiedy po odejściu z prokuratury, tak zwyczajnie, dla odmiany. Zazwyczaj czarne. Teraz też byłam w spodniach, tych samych. Podniosłam się, wyszłam zza biurka.

— Tomek, przyjrzyj się — zażądałam. — Podobne?

— Nawet całkiem takie same — zaopiniował Tomek, oglądając mnie z wielkim zainteresowaniem. — Ale nie w tym rzecz, ja bym może nawet nie upierał się, że to ty, szcze-



gólnie że tuż przedtem widziałem cię gdzie indziej, ale mi powiedzieli. Że oto znowu Basia Borkowska rozrywki dostarcza...

— I uwierzyłeś...?!

— Najpierw się przyjrzałem. Potem zbaraniałem, bo wyglądałaś jak ty. Potem cię wprowadzili tak trochę na siłę. A potem, na wszelki wypadek, wołałem przestać myśleć, żeby nie skołowacieć.

— Szkoda — rzekłam sucho i usiadłam z powrotem przy biurku. — Było mi popatrzyć w te zęby i sprawdzić, czy to naprawdę ja. Bo jest to zmora mojego życia, uczepiła się mnie ta dziopa i, żebyś mnie zabił, nie wiem dlaczego.

Tomka zaciekawilo, usiadł po drugiej stronie biurka i zażądał szczegółowych wyjaśnień. Streściłam mu sprawę, przejął się trochę i zastanowił.

— Nie do wiary. Słuchaj, przecież to niemożliwe, żeby nikt cię nigdy nie widział tak jak ja, w jednym miejscu i w drugim. Masz chyba jakichś znajomych?

Też się zastanowiłam.

— Prowadziłam regularny tryb życia i dość łatwo było zgadnąć, gdzie mogę być. Teraz jest gorzej, jestem wolny strzelec, bywam co najmniej w pięciu miejscach, i to rozmaicie. No i proszę, już tej kretynce źle wyszło. Drugi raz. Cała moja nadzieja, że rąbnie się jeszcze parę razy... Czeka! — ożywiłam się nagle. — Tomeczku, ja cię proszę, jeśli zobaczysz mnie gdziekolwiek, w knajpie, na ulicy, byle gdzie, szczególnie w okolicznościach awanturnicznych... Może będę włąziła przez okno do kogoś, żeby go okraść...? Zrób mi zdjęcie! Dwa, dziesięć, sto, jeśli zdołasz! Zbliżenia!!!

— Ależ z największą przyjemnością! — zgodził się zdumiony Tomek. — Tylko mi nie rozwał narzędzia pracy, jeśli rzeczywiście postanowisz kogoś okradać... Cholera, mogłem ci zrobić wczoraj, miałem aparat, że też nie przyszło mi to do głowy!

— Pech, ale nie będę narzekać. I tak się już coś ruszyło...

W rezultacie zyskałam piękny komplet zdjęć, wykonanych w najrozmaitszych okolicznościach, bo mijaliśmy się z Tomkiem dość często u progu, można powiedzieć, miejsc zatrudnienia. Na wszystkich widniałam ja we własnej osobie i nie robiłam nic nagannego. Co nie przeszkadzało, że mniej więcej; w tym samym czasie naraziłam się ciężko telewizji, od czego, kiedy się o tym dowiedziałam, włosy stanęły mi dęba na głowie. Podobno dzwoniłam do i rozmaitych programów, proponując swój występ i komunikując obszernie, iż jestem wyrzuconym z pracy prokuratorem, który chętnie wyjawia nie znane społeczeństwu tajemnice zawodu. Kiedy wreszcie umówiono się ze mną i uzgodniono czas i miejsce, nie pojawiłam się wcale, paskudząc ludziom pół dnia roboty. Kolejna instytucja na własnej skórze i stwierdziła moją gorszącą nieodpowiedzialność skandaliczną bezczelność, a plotki skwapliwie rozdmuchały wydarzenie.

O, nie utrzymywałam w tajemnicy swoich wszystkich przypadłości! Znała je doskonale nie tylko Agata, także Mariola, zamieszkała trzy piętra wyżej, także Jacuś, z którym

wcale nie zerwałam znajomości, także moi rodzice i brat. Ojciec w te głupoty nie wierzył, matka nie chciała o nich słuchać, brat na moje gadanie nie zwracał uwagi, zresztą, widywaliśmy się rzadko. Moja bratowa miała nadzieję, że jest w nich odrobina prawdy. Kurczowo trzymałam się Tomka, który wziął sobie za punkt honoru uwiecznić mnie w pijanym widzie, najlepiej demolującą cokolwiek. Niestety, nie trafił.

Występy dawałam zdecydowanie rzadziej niż przed czterema laty, w dodatku jakby zgrupowane. Przez dwa miesiące zachowywałam się nienagannie, po czym na tydzień wpadałam w jakiś szał i co drugi wieczór wywijałam numery, na zmianę, to zawodowe, to prywatne. Wyliczyłam tę sinusoidę i wreszcie Tomkowi się udało.

Faktem jest, że uczynił mi wymówkę za nieco zbyt rozrywkowy tryb życia, do jakiego go zmusiłam... no, niech będzie, nakłoniłam... w ciągu wytypowanego tygodnia, ale cel został osiągnięty. I to jak wspaniale, istny cud!

Naszą nadzieję stanowiła ugruntowana już wiedza, że jeśli gdzieś zacznęm rozrabiać, czynię to dość długo, jest szansa zatem na mnie trafić. W błyskawicznym objeździe miejsc rozrywkowych, trzecim czy czwartym kolejnym, nadział się na piękną scenę. W holu hotelu Victoria wydzieralam Szwedowi z rąk torebkę, którą mi usiłował odebrać przy akompaniamencie rozlicznych okrzyków. Okrzyki brzmiały bełkotliwie, bo ani Szwed nie był trzeźwy, ani ja, ale dało się z nich wywnioskować, że opłacił moje usługi zbyt wysoką ceną. Przedtem dość długo balował ze mną w restauracji, potem w pokoju na górze, wreszcie zjechałam na dół, a on za mną z owymi okrzykami. W rezultacie został obrzucony zgruchmonionym plikiem banknotów, ja zaś, razem z torebką, uciekałam. Szwed ochłonął i odmówił zeznań.

Swoją tożsamość, jak zwykle, rozgłaszałam wszem i wobec.

Tomek trzasnął tuzin zdjęć, więcej nie zdążył, ponieważ przyjechał, kiedy już uciekałam, rozproszywszy honorarium. Obejrzałam się z szalonym zainteresowaniem. Rany boskie, moje włosy, moja odzież, moja torebka, kawałek twarzy, którą można mi było przypisać... Gotowa byłabym posądzić się o rozdwojenie jaźni, gdyby nie to, że równocześnie, dokładnie w tym samym czasie, siedziałam w komisariacie policji w mojej dzielnicy i rozmawiałam o początkującej grupie przestępczej, którą, być może, należało dyplomatycznie opisać. Rozważaliśmy właśnie rozmiar dyplomacji. Możliwe, że policja posądziła mnie o pomieszanie zmysłów, ponieważ dwukrotnie upewniałam się, czy rzeczywiście u nich byłam i kiedy.

Zdjęcia, w zestawieniu z władzą wykonawczą stanowiły kolosalną pociechę, ale po telefonie Radia Zet, które wystawiłam do wiatru w audycji na żywo, załamałam się. Wrogowie mieli już i podawali na wszystkie strony mój zastrzeżony numer telefonu. Musiałam odpocząć, przyjść do siebie, zastanowić się, co mam dalej z tym fantem robić. Odwaliłam robotę na zapas i wyjechałam na tydzień do Kołobrzegu. Sezon się skończył, tłoku nie było i mogłam sobie zamieszkać, gdzie chciałam.

Po czym wróciłam i okazało się, że zostałam zamordowana...

Podinspektor Bieżan i komisarz Górski zrobili mi grzeczność i zgodzili się zejść trzy piętra niżej, do mojego mieszkania. Mariola pożegnała nas w milczeniu, współczującym wyrazem twarzy.

Trzech facetów zatrzymało się w połowie roboty. Doskonale wiedziałam, co robią, badają moją egzystencję, żeby trafić na jakikolwiek ślad motywu zabójstwa. Chętnie bym im tym motywem posłużyła, gdybym miała o nim bodaj cień pojęcia.

— Zważywszy, że, jak panowie sami widzą, żyję, może zechcą panowie zaniechać dewastacji mojego mieszkania — rzekłam sucho. — Ciekawe, kto to będzie sprzątał... Ten cholerny proszek strasznie trudno się zmywa, a ja mam za sobą pięćset kilometrów drogi i kilka silnych emocji. Czy już ktoś wybebeszył moje biurko?

Z niepewnych spojrzeń wywnioskowałam, że tak.

— Zatem macie już moją metrykę, mój dyplom, świadectwo ślubu, wyrok rozwodowy i parę innych drobiazgów. Proszę sobie obejrzeć. Zdaje się, że jest tam gdzieś także moja legitymacja szkolna z fotografią, pomiary antropometryczne upewnią panów, że ja to ja. Co teraz? Mam umrzeć, żeby wam się wszystko zgadzało?

— Broń Boże — powiedział grzecznie podinspektor. — Pomijając inne względy, z pewnością bardziej nam się pani przyda żywa. Chyba strasznie dużo spraw musimy tu sobie wyjaśnić, zacznijmy od najprostszej. Czy zna pani jakąś inną Barbarę Borkowską?

— Nie.

— Czy utraciła pani kiedykolwiek dowód osobisty?

— Nie. Za to utraciłam legitymację dziennikarską i musiałam wyrabiać nową.

— Czy wie pani, kto mieszkał w tym lokalu przed panią?

— Wiem. Nikt. To był nowy dom i wprowadzali się tu pierwsi lokatorzy. Także i ja.

— A teraz wróciła pani z jakiejś podróży. Skąd?

— Z Kołobrzegu.

— Jak długo pani tam była?

— Równo tydzień.

— I gdzie pani mieszkała?

— W hotelu "Solny".

— Cały czas?

— Cały.

— Niewątpliwie ktoś panią tam widział...

Przerwałam mu z litości.

— Jeśli sprawdza pan moje alibi, od razu panu powiem, że na żadną noc go nie mam. W nocy spałam, sama, bez towarzystwa. W dzień natomiast widywali mnie kolejno:

personel restauracji przy śniadaniu, pokojówki, recepcja, parkingowy, obsługa dwóch smaźalni ryb oraz jedna starsza pani, którą ustawicznie spotykałam, włóczęc się po plaży. Nie wiem, jak się nazywa, ale kłaniałyśmy się sobie. Jeśli ktoś więcej, też nic o tym nie wiem, bo nie zwracałam uwagi. Jak rozumiem, to kłopotliwe wydarzenie nastąpiło w Warszawie, będzie pan zatem musiał po prostu sprawdzić, czy na odpowiednią ilość czasu nie znikłam z ludzkich oczu. I nie wiem również kiedy... a, nie, wiem! Powiedział pan, o ile pamiętam, dwie doby, przedwczoraj, zaraz, co ja robiłam przedwczoraj...? Nic, to samo co w inne dni. Bardzo mi przykro, nic więcej nie wymyślę.

Podinspektor przyglądał mi się w jakiejś takiej stropionej zadumie. Wszyscy mi się przyglądali, ogólnie panowała przeraźliwa konsternacja.

Z całej siły starałam się zachować granitowy spokój i okiem nie mrugnąć. Już się rozpędziłam wyjawiać im prawdę, stałabym się natychmiast pierwszą podejrzaną, motyw wręcz strzelał. Pozbyłam się dręczącej zmy, zgryzoty, wiszącej mi kamieniem u szyi, kłody na drodze życia, no i co z tego, że byłam w Kołobrzegu, pojechałam tam specjalnie dla zapewnienia sobie alibi, a tu zostawiłam wynajętego wykonawcę...

Nagle przysła mi na myśl Agata i zaniepokoiłam się.

— Moment, chwileczkę! Kogo panowie byli już uprzejmi zawiadomić o moim tragicznym zejściu? Mojego brata, rodziców, przyjaciółkę...?

Pogorszyłam atmosferę. W zadumie podinspektora pojawiły się elementy skruchy i ciężkiego zmartwienia.

— Także pani byłego małżonka, więc obawiam się, że i dzieci — odparł smętnie.  
— Pani przyjaciółka doznała szoku...

— Agata...! Jezus Mario...!

— Tak, pani Agata Młyniak...

— Gdzie ona jest?! W szpitalu?!

— W domu, ale pod opieką pielęgniarki. Zaraz zaczniemy to odkręcać...

— Niech już pan lepiej nie próbuje, sama ich zawiadomię, że żyję. Chce pan kontynuować przesłuchanie czy też dacie mi na razie święty spokój? Chętnie złożę wszelkie możliwe zeznania, ale pozwólcie mi przedtem z powrotem zagnieździć się w domu!

Chętnie, akurat... spełnili moją prośbę i poszli w diabły. Rzuciłam się do telefonu. Przede wszystkim Agata...!

Słuchawkę u Agaty podniosła pielęgniarka. Odbyłam z nią rozmowę niczym gęś z prosięciem.

— Czy ja bym mogła mówić z Agatą Młyniak?

— Raczej nie, proszę pani, ona jest na środkach uspokajających...

— Chwileczkę! Jestem jej przyjaciółką i nazywam się Barbara Borkowska...

— Idiotyzm, proszę pani. Nieludzki i obrzydliwy.

Odłożyła słuchawkę. Zadzwoiłam ponownie.

— Niech się pani nie wyłącza! Ja żyję!

— A szkoda. Takich podłych ludzi święta ziemia nosić nie powinna. Jak pani może...!

— Ale co mogę, jakie mogę, to była pomyłka. Przed chwilą wróciłam z podróży, zabito jakąś inną osobę!

— Zabili Barbarę Borkowską, nie?

— No owszem, ale to nie ja! Nie mnie! Ja jestem żywa!

— No to co, że pani jest żywa? Proszę sobie robić głupich dowcipów. Pani Młyniak dość przeżyła przez śmierć przyjaciółki i dobrze, że tu jestem bo przynajmniej żadne bydlę nie będzie jej telefonami nękało...

Pożałowałam, że jednak nie zostawiłam tych wyjaśnień policji. Co za uparta baba!

— Proszę pani, czy pani nigdy nie słyszała o pomyłkach? To nie przyjaciółkę pani Młyniak zabito, tylko jakąś obcą kobietę, która się przypadkiem samo nazywa! Przyjaciółka to ja, nikt mnie nie zabił. Przecież Agacie to trzeba powiedzieć, sama wiadomość ją uzdrowi! Niech się pani spyta policji, przed chwilą u mnie byli i sprawdzali...!

Pielęgniarka zaczęła się łamać. Nie wiadomo, jak długo by jej wahania trwały, gdyby nie to, że Agata sama zainteresowała się tym telefonem. Najwidoczniej piguły jej nie uspiły, usłyszała coś z drugiego pokoju i podniosła słuchawkę przy łóżku.

— Halo — powiedziała niemrawo.

— Agata, to ja! — wrzasnęłam okropnie. — To nie mnie rąbnęli, tylko tamtą drugą! Zaraz do ciebie przyjadę!

Wcale nie zamierzałam stosować kuracji wstrząsowej, chciałam ją zawiadomić o własnym zmartwychwstaniu łagodnie i dyplomatycznie, ale przestraszyłam się, że pielęgniarka wyrwie jej słuchawkę z ręki i dyplomacja wyleciała mi z głowy. Agata z drugiej strony jakby się zachłysnęła, pielęgniarka wydała okrzyk oburzenia, coś do siebie mówiły przez dwa telefony, ale już nie słuchałam. Zlekceważyłam rodzinę i wyleciałam z domu.

Agata, nieco zdechła, ale promienna, powitała mnie w drzwiach. Pielęgniarka pozbyła się nieufności i dla odmiany jęła pomstować na ogólnokrajowy bałagan, który doprowadza już nawet do mylenia zwłok i niepotrzebnie wpędza ludzi w ciężkie nerwice. Uświadomiłam sobie nagle, że w jej obecności nie będziemy mogły swobodnie rozmawiać, Agata też to pojęła i z wysiłkiem powstrzymała pytania. Żeby nie stwarzać nastroju tajemniczości i niedomówień, zajęłam się telefonami do zaniedbanej rodziny. Ostatecznie, oni też ludzie... i uwierzyli mi znacznie szybciej niż pielęgniarka.

— To już nie będę musiał jutro jechać, żeby rozpoznawać twoje zwłoki? — ucieszył się mój brat. — Co za ulga, mam cholernie mało czasu...

— I tak w to wszystko wcale nie wierzyłem — oznajmił ojciec. — Tak samo jak w te poprzednie bzdury. Musisz tylko przyjechać i pokazać się matce

Obiecałam, że przyjadę jutro albo pojutrze, i obarczyłam ich obowiązkiem powiadomienia moich dzieci. Męża mogą sobie darować, ale dzieciom się coś należy, możliwe, że zmartwiły się nieco definitywną utratą mamusi, więc należy powiedzieć im prawdę.

Pielęgniarkę wciąż miałyśmy na głowie, odmówiła bowiem opuszczenia pacjentki bez porozumienia z lekarzem i zaczęła do niego wydzwaniać. Podłączyłam komórkę do zasilacza Agaty i przystąpiłam do odkręcania sprawy u wszystkich znajomych. Z nich jedna i tylko Anka Parlicka nie zmusiła mnie do żadnych wybiegów i krętactw, ucieszyła się, że żyję, zupełnie zwyczajnie, tak jakby chodziło o odnalezioną portmonetkę, i natychmiast zażądała komentarza do świeżutko rozwikłanej afery złodziei samochodowych, podobno jakoś bardzo dziwnie traktowanych. Nie był to temat bomba, ale każda z tych afer samochodowych miała swój smaczek i stwarzała nikłe nadzieje na ukroczenie procederu.

Z pozostałych osób dwie sprawiły mi ciężki kłopoty Jacuś i Tomek. Niestety, złapałam obu i obaj zareagowali tak, że mnie zemdliło. Ich supozycja, jakobym osobiście pozbyła się tej zakały, wręcz wyskakiwała ze słuchawki, ale też obaj solennie przyobiecali milczenie. Nie zdradzą mnie nawet na torturach!

Zimnym potem opływałam przy tych przyjacielskich deklaracjach, bo nawet im nie mogłam kilku szczerych słów powiedzieć i protestowałam przeciwko insynuacjom niewyraźnym półgębkiem. Pielęgniarka słuchała chciwie, Agata usiłowała wydusić z siebie nowe ataki, żeby ją czymś zająć, ale źle je wyszły, bo też chciała słuchać, w rezultacie siła fachowa nie dała się nabrać.

Wreszcie wyszła.

— Na litość boską...! — krzyknęła Agata zdławionym półgłosem, ledwie drzwi się za nią zamknęły. — Co ja przeżyłam...!

— I czegoś ty, idiotko, w taką histerię wpadła? — spytałam z gniewem i rozgoryczeniem. — Nikt inny się tak nie wygłupiał, tylko ty! No i padłam trupem, i cóż takiego, każdy kiedyś padnie!

— E tam — zniecierpliwiała się Agata. — To wcale i nie przez twojego trupa, ale zdążyłam pomyśleć, że cię ta kurwa dorwała, a ja jej mordy nie zdążyłam podrapać, i o mało mnie szlag nie trafił. To znaczy, trafił mnie właśnie, ale tylko w pierwszej chwili, a potem już więcej symulowałam, bo nie wiedziałam, co mówić.

— A teraz wiesz?

— Co...?

— No przecież jest gorzej niż było! Ja się do niczego nie przyznałam, ale okoliczności mi sprzyjały, więc przeszło ulgowo, drugi raz świętego Jana nie będzie! Musimy się teraz naradzić, co wiemy, a czego nie. Inaczej, ty się zastanów, kto miał motyw, jak nie ja?!

— O, cholera... Rzeczywiście...



Usiadłyśmy przy małym stoliku, Agata zrobiła herbatę, czasu było niewiele, bo musiałam wreszcie wrócić do domu i sprzątnąć to śledcze pobojuwisko. W dodatku brakowało nam wiedzy o wydarzeniu, Agata z miejsca zapadła na swój szok, nie została przesłuchana, nie zadano jej żadnych pytań i niczego nie mogła wydedukować, ja wiedziałam tyle, że babę zabito przedwczoraj, gdzieś w drodze do Chmielewskiej, jadącą na wywiad, którym zapewne zamierzała i znów mnie dennie skompromitować. Nie miałam nawet pojęcia, w jakich dokładnie okolicznościach ją zabito, zbyt wcześnie się tych glin pozbyłam.

— W żadnym wypadku nie możesz jawnie łąć — powiedziałam stanowczo. — Możesz nie wiedzieć albo nie pamiętać, możesz mieć sklerozę, ewidentne łągarstwo, łatwe do wykrycia i udowodnienia, wykluczone!

— A ty?

— Ja też.

— To co mam mówić, jak mnie zapytają, czy ją znałam?

— A znałaś ją?

— No coś ty...!

— No to o co chodzi? Nie znałaś. W życiu jej nie widziałaś na oczy!

— Święta prawda — przyznała Agata, nieco uspokojona. — Ale słyszałam o niej. To co...?

— Nic. Możesz nie pamiętać, od kogo słyszałaś;

— Ale jeśli w ogóle słyszałam, ktoś musi wchodzić w grę. I spytają, co słyszałam. Co powiedzieć...

Zastanowiłam się. Niedobrze. Wspólni znajomi... Po wyjeździe Agaty do Kanady i moim rozwodzie grono przyjaciół jakoś nam się rozsypało. No, już wcześniej zaczęli na mnie dziwnie patrzeć i trochę unikać kontaktów... Kogo by tu rzucić na pożarcie? Prawdziwych rozmówców lepiej nie dotykać...

— Nie wiem — wyznałam rozpaczliwie. — Czekaj, a tak naprawdę od kogo słyszałaś?

Agata zaczęła strasznie myśleć.

— Od Jureczka... Nie, zaraz, od Jureczka słyszałam o tej gęsi Stefana. Od jej narzeczonego...? Nie, też o gęsi, o przyjaciółce było mętnie. Od ciebie właściwie też nie, to ja ci o niej powiedziałam, wydedukowałam ją. Nie wiem z czego, z powietrza. Słuchaj, jak Boga kocham, nie wiem, od kogo słyszałam!

— I bardzo dobrze — pochwaliłam, od razu doznając ulgi. — Właściwie mogłaś wcale nie słyszeć, to do mnie docierały plotki, a nie do ciebie. Nic o niej nie wiesz i cześć!

— Widziałam ją na fotografii — mruknęła Agata po chwili. — Tej, którą mi pokazałaś.

— Do zdjęć u mnie jeszcze nie dotarli, rozbebeszyli mi mieszkanie tylko częściowo. Zaraz wracam do domu i te zdjęcia znikną na wieki. Zastanów się, ty naprawdę nic o niej nie wiesz! Nawet nie musisz wcale kręcić, musisz tylko pamiętać, że ona to nie ja. Obca baba! O mnie możesz mówić, co ci się żywnie podoba, ale oddzielnie.

Agata rozważyła sprawę i z zadowoleniem pokiwała głową.

— Masz rację, ja w ogóle do tej zbrodni nie przystaję. Znaczy, z głowy. Słuchaj, to może byśmy się teraz zastanowiły, kto ją załatwił? Ty poniekąd fachowiec jesteś...

— Puknij się, o tej porze?

— Wcale jeszcze nie jest późno!

— Ale ja bym chciała pomieszkać u siebie. I przypominam ci, że mam zrobić porządek...

Porządek przeważył sprawę, Agata wyrzekła się na razie kryminału. Zapowiedziała wizytę u mnie jutro wieczorem, bo do niej wróci już dziecko z gosposią, chwilowo, na okres jej szoku, podrzuczone babci.

Nawiasem mówiąc, jej rodzinny układ prezentował się dość osobliwie. Dziecko było nieślubne, ale uznane przez ojca, obdarzone nazwiskiem i alimentami, i na tym się ojcostwo kończyło. Niedoszły narzeczony Agaty znikł gdzieś w sienie dali, podobno z upodobaniem penetrował rozmaite uciążliwe tereny, Arktykę, dorzecze Amazonki, albo może Himalaje, nikomu nie dając znać o sobie, ale za to została babcia, jego matka, uszczęśliwiona wnuczką. Opiekowała się nim zgoła entuzjastycznie twierdząc, że zastępuje jej syna odludka, i odciążając Agatę. Gdyby nie to, że była kobietą pracując niewątpliwie wrzepełaby w tego Adasia wszystkie zęby i pazury.

Wróciłam wreszcie do domu, mimo wszystko niespokojna i zdenerwowana, a zarazem, gdzieś w głębi duszy, chyba wdzięczna temu jakiemuś złoczyńcy który mnie uwolnił od życiowego koszmaru...

\* \* \*

— No, tośmy się nieźle wygłupili — powiedział samokrytycznie Biezan do Roberta jeszcze tego samego wieczoru. — Błąd na błędzie jedzie i błędem pogania. W życiu mi się taka kompromitacja przytrafiła...

— Po pierwsze, nie majorowi, tylko nam — protestował Robert energicznie. — A po drugie, wszystko my. W liczonym towarzystwie jesteśmy!

— No, fakt — zgodził się Biezan. — Nikt tam nie zrobił tego, co powinien, jakieś ogólne zaćmienie umysłowe tak sobie zaświstało. Zrób nam kawy, a tu mam, zdaje się, zadołowane jakieś piwo. Jako kretyn do domu nie pójdę, bo spać bym nie mógł.

Robert w pełni poparł jego zdanie. Siedzieli ot w znacznie opustoszałej komendzie, chociaż teoretycznie godziny pracy dawno im się skończyły. Czekali na wyniki rozmaitych badań, dopiero teraz zleconych, i usiłowali uporządkować poronione dochodzenie.

— Zeznania na temat denatki możemy od razu na śmietnik wyrzucić — wyliczał Biezan. — Poza pierwszą notatką, opisem miejsca i czasu, sekcją, zdjęciami i jej stanem posiadania, cała reszta nadaje się do zawieszenia na gwoździu w wychodku. Mamy zwłoki NN i zaczynamy od zera.

— Nazwisko się chyba zgadza...?

— A cholera wie. Wszyscy się zasugerowali, my też, tym dowodem osobistym i pieczętą biura meldunkowego. Jedyne, który tam okazał odrobinę rozumu, to pies, nie dał się niczym zmacić i przynajmniej wiadomo, że denatka przeszła czternaście kroków i nic więcej. Nigdzie poza tym jej nie było...

— Dobrze chociaż, że mieli tego psa pod ręką — westchnął pocieszająco Robert.

— Trzeba było od razu załatwić identyfikację zwłok — ciągnął Biezan ponuro — to nie, na litość mi się zebrało, zlekceważyłem, a już same te dzieci, których nie mogła mieć, powinny były nas ruszyć. Przepisy czasami mają swój sens. Ewidencja ludności przyśle dane dopiero jutro rano...

— Ale za to wszystkie Barbary Borkowskie w całym kraju!

— A potem się okaże, że żadna z nich, bo denatka nazywała się inaczej.

— Jeszcze mamy szansę na odciski palców.

— Ty mnie tak nie pocieszaj, mam złe przeczucia. Łaska boska, że ta facetka wróciła dzisiaj, a nie, na przykład, za dwa tygodnie, bo diabli wiedzą ile byśmy zdążyli napa-skudzić!

— Ona mi na zakonnicę nie wyglądała, ta ofiara — stwierdził po chwili zgnębiony Robert. — Ze zdjęciami po lokalach polatać, opublikować...

— Dużo trzeba będzie! — westchnął Biezan. Dostali wreszcie pierwsze wyniki z laboratorium. Dowód osobisty okazał się autentycznym produktem państwowym, którego treść w pewnym stopniu została całkiem zręcznie sfałszowana. Ostały się fałszerstwu tylko nazwisko i miejsce urodzenia, reszta uległa zmianie. Laboratorium zdołało odczytać, że imię ofiary brzmiało nie Barbara, tylko Balbina, data urodzenia i pesel postarzyły ją o dwa lata, dopisano nazwisko rodowe Mięczak oraz przerobiono imiona rodziców, aktualny meldunek zaś został przekształcony z czegoś nie do rozpoznania, bo zostało wyskrobane prawie na wylot, i opiewał na aktualny adres żywej Borkowskiej.

— Łap telefon! — rozkazał w pośpiechu Biezan. — Biuro ewidencji, niech się odcepią od Barbary, niech szukają Balbiny! Imiona rodziców odczytali, nie żaden Gustaw i Alina, tylko Czesław i Helena, i prawdziwa data urodzenia... Nie mogę na to patrzeć, co krok, to niedopatrzanie, ślepe komendy, a ja na ich czele. Skąd myśmy właściwie wzięli rodzinę tej żywej Borkowskiej?

— Z biura meldunkowego i z paszportowego?! Najszybciej. No i to nazwisko pannieńskie, Mięczak operatywnie złapaliśmy ludzi...

— Szlag jasny i nagła krew... Ale skoro pieczętki prawdziwe, w grę wchodzi Mokotów, zawsze to lepiej niż szukać po całym kraju. Czeka, ale z tych przeróbek coś mi wynika. Denatka chciała udawać Barbarę Borkowską, dziennikarkę...?

— Źle udawać. Gdzie miejsce pracy? Powinna być anulowana prokuratura!

— Miejsca pracy nie ma żadnego. Czeka, ale mamy poprzednie miejsce zameldowania, odczytali to zamazane. Praga Północ, Poleska... Zaraz tam ktoś pojedzie, nie, nie zaraz, jutro, ze zdjęciem denatki. Jeszcze istnieje możliwość, że... Nie, to byłoby za późno, nie te czasy...

Robert pytająco patrzył na zwierzchnika. Bieżan znów westchnął.

— No, wiesz, uzurpować sobie prawa do mieszkania... Kiedyś takie kanty się zdarzały, obcy ci się ładuje, wzywasz milicję, a tu gówno, zameldowany w tym samym domu co i ty. Jedna kołomyja i krzyż pański dla wszystkich. Ale to chyba już nie teraz.

— Po coś jej to, w każdym razie, było...

W chwilę potem dostali radosną informację, że odciski palców denatki owszem, znajdują się w kartotece. Raz została zatrzymana, jeszcze jako nieletnia, przed czternastu laty, w wyniku obecności na miejscu włamania do sklepu spożywczego. Więcej nigdy. Ponadto właścicielka odcisków nazywa się Balbina Felicja Borkowska, a nie żadna Barbara. Imiona rodziców, data i miejsce urodzenia, zamieszkała na Poleskiej...

— Jutro wydłubiesz akta tego włamania — zarządził Bieżan. — Na razie widzę jedną korzyść, mianowicie mamy pewność, że zamordowana Borkowska rzeczywiście istniała i nazywała się Borkowska. I już widać drogę, po której do niej dojdziemy. Zdjęcia też nam dadzą jutro, więc, ostatecznie, zgadzam się na razie iść do domu...

Połowa dnia wystarczyła nazajutrz, żeby stwierdzić, co następuje:

Na Poleskiej nikt absolutnie Balbiny Borkowskiej nie rozpoznał i nikt o niej nic nie wiedział, poza jedną wysoce sklerotyczną staruszką, wspominającą czasy sprzed dwunastu lat na bazie nienawiści do dawnej sąsiadki. Już tej sąsiadki Bóg wie odkąd nie ma, ponadto staruszka za skarby świata nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska, ponadto nie była pewna, w którym domku mieszkała. Ale sublokatorów przyjmowała i bogaciła się na nich strasznie.

Tę dziewczuchę też u siebie trzymała, mówiła, że zameldowana, ale to łgarstwo całkiem, a dziewczucha była pyskata i wyzywała staruszkę od strupli i próchna, i jakieś młode bandyty koło niej się plątały, w dodatku kota zagryzły, a nieprawda, że pies, tego kota wszystkie psy się bały, nerwowy był. To oni, staruszce złość, nie, nie w tym domu obok, tylko dwa albo trzy domy dalej...

Stare domki już znikły z powierzchni ziemi, przeistoczyły się w nowe wille, względnie w teren pod wielorodzinną zabudowę i żywa dusza o żadnej dziwusze nie słyszała. Biuro meldunkowe miało straszny melanz w starych aktach i z wielkim trudem wydłubało niepewną informację, że owa Borkowska wymeldowała się w nieznanym kierunku. Postępowania sądowego w tej kwestii nie wszczęto, ponieważ akurat personel się zmieniał.

Akta włamania do sklepu spożywczego, uzyskał w tak imponującym tempie zgola cudem, stwierdzały iż młodociana Balbina Borkowska osobistego udziału nie brała, przeciwnie, starała się nawet powstrzymać narzeczonego, niejakiego Klemensa Piwkę, pseudonim Ramon, który to Ramon, prowodyr grupy przestępczej, czwarty raz właśnie odsiaduje pięcioletni wyrok. Z narzeczoną zerwał od razu po tamtym włamaniu, twierdząc, że mu niefart przynosi.

— Ktoś ją po nim odziedziczył — mruknął Bieżan w trakcie czytania akt. — Mamy nazwiska, puścić ludzi...

— Od razu? — upewnił się niespokojnie Górski.

— Od razu. Leć i załatwiał. Tu masz spis... Ewidencja ludności doniosła, że Balbina Felicja dwojga imion Borkowska, córka Czesława i Heleny, urodzona i tak dalej, zameldowana jest na na Poleskiej i o żadnych zmianach nic nie wiadomo. Możliwe, że najnowszych informacji jeszcze nie wprowadzono do komputera.

Bieżanowi pociemniało w oczach, ale nie stracił ducha. I słusznie, bo w ciągu następnych dwóch godzin dotarły do niego informacje pocieszające.

Po pierwsze: wywiadowcy ze zdjęciami błyskawicznie donieśli, że owszem, osoba została rozpoznana w kilku miejscach; jako postać niezwykle barwna, niekoniecznie na co dzień, od czasu do czasu, ale jeśli już dawała występ, to rzetelny. Jakaś podobno była pani prokurator, później dziennikarka, dość wulgarna raczej i acz atrakcyjna zewnętrznie, to nie bardzo sympatyczna. Rozrabiara i awanturnica. Przedstawiała się jako Barbara Borkowska, operowała własnym nazwiskiem, więc nie było wątpliwości, kim jest.

Po drugie: z miejsca natrafiono na następcę narzeczonego. Dorosły obecnie, i w dodatku solidny, wręcz utalentowany, mechanik samochodowy urwał się przed laty początkującej grupie przestępczej z wielkim przejęciem wyciągał tę Felę z bagna moralnego. Niby nawet wyciągnął, Feli jednakże już po dwóch latach wyciąganie się znudziło i sama wybrała sobie kolejnego amanta, frajera i przygłupa, ale z mieszkaniem po rodzicach. Podobno ją nawet zameldował, tyle że nie wiadomo gdzie, jego adresu nikt z dawnych kumpli nie znał, a mechanik uniósł się honorem i nawet nie pytał.

— Dlaczego Feli? — spytał w tym miejscu Górski. — Przecież ma być Balbina! Ile ona w końcu tych imion miała?

— Wedle ewidencji ludności dwa — przypomniał mu Bieżan, chciwie wczytany w raporty wywiadowców. — Balbina Felicja. Może używała obu na zmianę.

— No może. Używane podkreślić...

— A z tym mechanikiem, jak mu tam, Antoni Woźniak, trzeba może jeszcze będzie pogadać...

Po trzecie i najdziwniejsze: przy frajerze ta Borkowska naukę kontynuowała i wieczorowo dojrnęła aż do drugiej klasy szkoły średniej. Jeszcze dwa razy tyle, a maturę by

zrobiła, bo wcale nie była tępa, tyle że jej się nie chciało. Głupia dziewczucha, spragniona wyłącznie rozrywek. Ta ostatnia informacja pochodziła od pani profesor, u której Balbina-Fela raz na miesiąc zdawała jakieś egzaminy i z którą zamieniała niekiedy parę słów prywatnie. Pani profesor napatoczyła się przypadkowo, przytrafiającym się czasami zrzędzeniem opatrznosci, kiedy zdjęcie Borkowskiej pokazywane było kioskarce, występującej przed laty jako świadek oskarżenia na rozprawie o włamanie. Kioskarka nie rozpoznała jej wcale, ale pani profesor, nabywająca akurat prasę, spojrzała raz i z miejsca przypomniała sobie jedną z najbardziej denerwujących uczennic.

— Mieszanina głupoty i sprytu, lenistwa i energii, lekkomyślna nieprawdopodobnie — powiedziała od razu do wywiadowcy, a w głosie jej jeszcze zadźwięczał ton dawnego rozdrażnienia. — Irytująca tak, że trudno to zapomnieć. Nie, nie wiem, gdzie mieszka i co się z nią dzieje, ale co do przyjaciół... Chyba miała jakąś przyjaciółkę, bo kilka razy przyszła na sprawdzian z tą samą dziewczyną, dla towarzystwa, jak sądzę. Nie, żadnych szczegółów, mam tylko wrażenie, że to była blondynka, trochę niższa od niej i taka... wątlejsza. To, niestety, wszystko co pamiętam, a i tak pamiętam tylko dzięki temu, że nerwicy przez nią dostawałam.

Po czwarte wreszcie, na samym końcu, objawił się telefonicznie jeden dzielnicowy z Mokotowa z komunikatem, że w jego rejonie mieszka taka, Balbina Borkowska, jednostka dość uciążliwa. Nic karalnego, mandaty najwyżej albo nawet tylko upomnienia, ale ludzie się skarżą, że hałasuje, radio ryczy, telewizor też, kolumny ma chyba, bo czasami aż szyby brzęczą, a jak jej się zwraca uwagę, pysk rozwiera na cały regulator. W razie interwencji policji wszystko przycisza i do widzenia, niweczy dowód. Wyrzucić jej się nie da, bo zameldowana legalnie, jako konkubina takiego jednego, Wiesław Wyduj niejaki, konwojent w przedsiębiorstwie transportowym, nigdy dotychczas nie karany, ale, zdaniem dzielnicowego, podejrzany o wszystko, co tylko możliwe. Chwilowo go nie ma już od dwóch tygodni, bo z transportem do ruskich pojechał, a tam na granicy tydzień się stoi. Ponadto o wymienionej krążą plotki, jakoby odpłatnie przyjmowała wizyty rozmaitych osobników płci męskiej.

— Adres...!!! — zawył dziko Bieżan w słuchawkę.

— Dolna trzydzieści A, mieszkania dwadzieścia trzy, pokój z kuchnią, parter — odparł służbiście dzielnicowy.

Nie komentując i nie rozważając żadnych innych informacji, Bieżan poderwał Górskiego i jak szaleńcy popędzili na ową Dolną. Ściśle biorąc, pojechali radiowozem.

Na miejscu od razu pożałowali, że nie ściągnęli kogoś z komisariatu, bo numer trzydziesty był widoczny jak byk, ale tego „A” długo nie mogli znaleźć. Ktoś z rzadko przechodzących lokatorów powiedział im wreszcie, że to oficyna, po drugiej stronie podwórza.



— No, tutaj ganiać kogoś, to ja bym nie chciał — wyznał Robert, spluwając ukradkiem przez lewe ramię, żeby nie wymówić w złą godzinę. — Na cztery... gorzej, na pięć stron świata można pryskać. Szerokie możliwości.

— Na razie nie mamy kogo ganiać, bo jedno u ruskich, a drugie w kostnicy — przypomniał mu Bieżan. — Na tego Wyduja... czy Wydoja...? Należałoby zaczekać z identyfikacją, o ile nie znajdziemy żadnej rodziny. Do sąsiadów przyjechaliśmy, chwalić Boga już ludzie wracają z pracy. Rozdzielamy się, ona hałasowała, idziemy wszędzie tam, gdzie dźwięk mógł dobiegać, bierz tamtą stronę, a ja tę.

Górski okazał się wygrany, bo w stojącym poprzecznie budynku była winda, Bieżan musiał latać po schodach. Za to przypadła mu część społeczeństwa przekraczająca już wiek produkcyjny i większość lokatorów znajdowała się w domu nie tylko w tej chwili, ale i w ciągu dnia. Wiedzą napchano go zgoła do wypęku.

— No, wreszcie się ktoś za to wziął! — zaczęła mściwie rodzina z parteru, nie bacząc, iż obiad po części stygnie, a po części się przypala. — To jest sodoma i gomora, wariatwa można dostać, pan widzi, tu są dzieci, a z tego okna naprzeciwko ryki i łomoty, że nie siedmiu, a stu braci ze snu by wyrwało! Ten mąż, co tam mieszka, to jeszcze nic, albo go nie ma, albo pijany tak na spokojnie, ale żona...?! Balangi, czy on jest, czy go nie ma, do rana prawie, a potem awantury, od różnych się wyzywają, a ona pieniądze bierze od każdego, kto się nawinie, jeszcze się kłóci, że za mało! Jego w kuchni zamyka, żeby nie przeszkadzał, a sama w pokoju te balety urządza...!

— Już jej dwa razy szyby wybiłem — wyznał zuchwale kierowca z mieszkania obok, również na parterze. — Mnie by różnicy nie robiło, mogę pracować na noce, ale patrz pan, dziecko roku nie ma, a nerwicy dostaje. Żona też. Co mam robić, okna zamurować? Co to, więzienie...? I nic nie pomogło, nawet tych szyb tak zaraz nie wstawili, jeszcze gorzej było!

— Bo to jest taka, proszę pana redaktora — naszeptła staruszka z pierwszego piętra. — I tak spać nie można, to patrzę. Tam całe procesje chodzą, jeden za drugim, ona tam dom publiczny sobie zrobiła, a jeszcze taka druga jej przychodzi do pomocy, boczkami się zakrada, a to wszystko różne zbiry, możliwe, że już paru żywych stamtąd nie wyszło, a raz trupa jednego wynosili, na tamtą stronę, na Huculską...

— Owszem, patrzę — rzekł cierpko emerytowany elektryk teatralny, też z pierwszego piętra. — A co mam robić? O drugiej w nocy mnie ze snu wyrывa takie przeraźliwe: Ole! Ole! Ole!!! Raz mi się nawet walka byków przyśniła... Nie, nie reaguję czynnie, chociaż wiem, które to okno, kiedyś specjalnie patrzyłem prawie od rana, wie pan, dźwięk swoje, a obraz swoje, obejrzałem sobie tę osobę koło południa, nie krępowała się... Tak, to ona na tym zdjęciu. Ktoś jeszcze był, nie mąż, męża też widziałem, zapewne chwilowy adorator... Niech pan sam spojrzy, z mojego okna wszystko widać. Jeden raz dostrzegłem wizytę osoby płci żeńskiej, od Konduktorskiej weszła, rzekłbym: przemknęła się.

A widziałem... — zakłopotał się nagle odrobinę — no, co tu ukrywać, żaden wstyd, pierogi sobie gotowałem, takie kupne, i jednego miałem na łyżce dla spróbowania, czy już doszły, gorący okropnie, i tak dmuchałem, bezmyślnie patrząc w okno. Ta osoba, blondynka, ukazała się w jej oknie, zaraz się cofnęła, ale ja byłem niegdyś człowiekiem teatru, rozpoznałbym ją w pewnym stopniu. Powiedzmy: rodzaj urody. A może nawet twarz...

— Zgadza się, koszmar zupełny — powiedział dość pobłażliwie niezbyt młoda plastyczka z drugiego piętra. — Mnie to dotyka średnio, ponieważ z reguły w lecie mnie nie ma, wyjeżdżam w rozmaite plenery, widzi pan, co robię. Dekoracyjki z patyków i suchych roślinek. O te roślinki muszę się są starać, nie każda się nada, a mam takie tanie miejsce pobytu... W zimie okna bywają zamknięte, u mnie może nie całkiem, ale tam, na dole, owszem, dźwięki są wyciszone. Zdarza się natomiast wiosną, jeśli tropikalny klimat zwali nam się na głowę, że jednej nocy nie da rady spokojnie przespać, nie wiem, czy ta idiotka jest głucha...? Ja nie wytrzymuję na drugim piętrze, a ona u siebie w domu...? Przerażające, owszem, już ją rozpoznaję, wiem, jak wygląda, pracuję przy oknie, ślepa nie jestem, jeden raz specjalnie, widząc ją przy zamykaniu okna, poczekałam i popatrzyłam. Wychodziła. Tak, to ona, chociaż zdjęcie nie najlepsze... Muszę przyznać, a widziałam ją kilkakrotnie, i zdziwiłam się, jak elegancko i nobliwie jest ubrana. Spodziewałabym się raczej strojów wyzywających i bez gustu...

Obleciawszy dwa budynki i spotkawszy się na dole, Bieżan z Górskim nawet nie odzipnęli i prawie słowa ze sobą nie zamienili. Ruszyli wspólnie do sąsiadów bezpośrednich, tych z oficyny.

Tam zdobyli kopalnię złota.

— Taka jedna Ulka — rzekła tajemniczo sąsiadka z przeciwka, nieduża, sucha, straszliwie wścibska i żywa staruszka. — Jedna jedyna, przyjaciółka, żadnej innej nigdy nie było, chociaż, proszę pana pułkownika, rozmaici tu z dziewczynami przychodzą, ale tyle tych dziewczyn co kot napłakał. Pobędą, pobędą i won. Ona, ta Fela, ale Basia kazała do siebie mówić, konkurencji nie lubi...

— Dlaczego Basia? — przerwał jej Bieżan.

— A bo takie imię ma podobne, ale jej się nie podobało. Jakaś Babluta czy coś... Ten jej Wiesio to się mylił i czasem Fela mówił, a czasem Basia, a przyjaciółka też Fela...

— No właśnie, przyjaciółka...

— To tylko ta Ulka, ale ona rzadko przychodzi, i nie na imprezy, tylko tak prywatnie, szu, szu, szu, gadają między sobą i aż dziw bierze, jak krótko. Godzinkę, półtorej i już jej nie ma. Jakies coś ze sobą umawiały, ale nie wiem co, bo szeptały i trudno było słowo usłyszeć...

Baba nawet nie kryła, że podsłuchiwała namiętnie, aczkolwiek bez rezultatu, co musiało ją szalenie zdenerwować. Bieżan, chwyciwszy trop, wydusił z niej, ile tylko zdołał.

Udało mu się także nakłonić ją do natychmiastowego zwizytowania kostnicy, gdzie bez namysłu, z blaskiem emocji w oczach, rozpoznała ofiarę, a także do obietnicy zawiadomienia go o każdej zmianie, jaką da się dostrzec, w pierwszym zaś rzędzie o powrocie pana domu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że wścibska staruszka okaże się lepszą od wszystkich wywiadowców świata, co nie przeszkadzało, że identyfikacji zamierzał tym razem dokonać rzetelnie i ściągnąć na rozpoznanie zwłok również konkubenta.

Głodni, zmęczeni i pełni emocji, obaj z Górkim wrócili do komendy.

— Zjemy coś...? — spytał niepewnie Robert, młodszy, a zatem bardziej spragniony kalorii.

Bieżan zawahał się. Z jednej strony głód odchudza, z drugiej źle wpływa na pracę umysłu.

— Małe, a pożywne — zdecydował. — Co to może być takiego?

— Hamburger od McDonald'sa. Podobno jeden wystarcza na całodzienną pracę górnika.

— No to zadzwoń albo wyślij kogo.

Robert zupełnie bezczelnie i wbrew wszelkim regulaminom wysłał wywiadowcę, nie mając pojęcia i że tym jednym nagannym czynem kolosalnie posuwa śledztwo do przodu.

Wywiadowca, w pełni świadom, iż wcale nie należy to do jego obowiązków służbowych, spełnił polecenie, bo sam też był głodny i miał nadzieję przy okazji wrzucić coś na ząb.

Przywiózł dwie potężne buły i rzekł:

— Złożę sprawozdanie. Bo coś się przytrafiło.

— Gadaj! — rozkazał Bieżan i rozpakował swoją bułę.

Wywiadowca nie nosił pieniędzy w portfelu, drobniejsze miał w kieszeni. Wyjmując je w zarazem wyrzucił na blat zdjęcie nieboszczki Borkowskiej. Sprzedawca i kasjerka na widok podobizny krótko zachichotali. Sprzedawca przeprosił od razu i wyjaśnił, że nie tak znów dawno, przed dwoma tygodniami mniej więcej, przy udziale tej pani nastąpiła tu okropnie śmieszna scena, jaka rzadko się zdarza. Trudno zapamiętać. Jeszcze raz najmocniej przeproszam bo może to jakaś znajoma osoba...

Wywiadowca natychmiast zainteresował się rzeniem i zażądał relacji na zasadzie kumpel kumpłowi i tak dalej. Jako klient był znany, bo gdzie niby miał awaryjnie pożywiać, jak nie w najbliższej placówce a o nadwagę się nie bał. Sprzedawca pozbył się oporów.

Otóż przyszły tu dwie panie. Jedna szczególnie atrakcyjna i efektowna, no i ta jedna zażądała gofra z kawiozem i ze śmietaną. Nie dysponują, niestety, kawiozem, zaproponowano jej zatem obfity zestaw innych produktów, ona zaś zaczęła się awanturować. Bardzo śmiesznie i nawet dosyć dowcipnie, chociaż raczej ordynarnie, a ta druga tem-

perowała ją z całej siły. Próbowwała nawet wywlec ją z lokalu, ale ta pierwsza, rozrywko-  
wa, uparła się przy swoim i wykrzykiwała, że prokuratura zajmie się placówką, lekce-  
ważącą klientów, ona jest dziennikarką, nazywa się Barbara Borkowska, proszę bardzo,  
może to udowodnić, dowód osobisty wyciągała, a w prokuraturze ma chody. Ta dru-  
ga mało wariactwa nie dostała, uciszała ją, jak mogła, w końcu jej obiecała, że coś tam  
zrobi, na coś tam się zgadza, uspokoiły się obie, zjadły kurczaka, ale jak...! Tej awantur-  
nicy kawałek pod stół wleciał, uparła się go wyciągnąć, czyste przedstawienie było, bo  
jak włązała pod krzesło, tak nie mogła wyleźć, ta druga miała śmierć w oczach, poszły  
w końcu, ale to nie koniec. W minutę później przysłała inna facetka, w drzwiach prawie  
je spotkała, tu jeszcze wszyscy chichotali, wyrwało im się w czym rzecz, a ta jedna mało  
trupem nie padła, jaka Barbara Borkowska, wykrzykiwała, ludzie, nie dajcie się zwario-  
wać, to nieprawda, to nie ta sama tylko inna, drugi spektakl nastąpił, rozrywkowy dzień  
mieli, jak rzadko. W końcu szkód nie było, klientki nic nie stłukły, zniszczeń żadnych,  
a za to ludzkie rozróby na złoty medal. Szkoda, że tak rzadko się przytrafiają, praca by-  
łaby mniej monotonna...

Bieżan jadł cały czas i dziwnym trafem udało mu się nie zadławić.

— Rysopisy! — zażądał trochę niewyraźnie.

Wywiadowca był dobry. Wiedział, czego od niego zażądają.

— Ta awanturnicza ruda, piękny kolor, tak powiedziała kasjerka, czysta miedź, czer-  
wone, czarne i oranż, razem wymieszane. To cytat. Wzrost między średnim a wysokim,  
dorodna dosyć, nie chuda, nie gruba, ładna twarz, byłaby piękna, gdyby nie cokolwiek  
wulgarna. Coś w rysach takiego, że na arystokratkę się nie nadaje. Oczy dość ciemne,  
może piwne. Obejrzała zdjęcie, to ta, znaczy denatka. Druga niższa, szczuplejsza, robią-  
ca wrażenie delikatnej, słabej, ja wiem...? Wątlej. Niebieskie oczy, i nos prosty, nie długi,  
nie krótki, zwyczajny. Pociągła twarz, taka owalna. Usta... Pojęcia nie mam, jak to okre-  
ślić...

— Tak jak oni.

— Interesujące. Wyraziste. Nie za duże, ale coś w nich było. Wymowne...? Jeden  
taki, goniec, znaczy ten, rozwoziciel, obecny przy tym, powiedział, że gdyby ją spo-  
tkał parę lat temu, jak miał siedemnaście lat, nie przestałby jej całować do utraty tchu.  
Zachęcające...? Ja przepraszam, ale atmosfera była taka, że człowiek, wbrew sobie, wy-  
ciąga własne wnioski...

— Jakieś imię tam padło?

— Dwa nawet. Ulka i Fela. Ulka, to ta blondynka, a Fela, to denatka...

— A ta trzecia?

— Duża ciemna szatyna przy kości, z lekką nadwagą, ale ładna, oczy tak zwane piw-  
ne, piękne zęby, i twarz jakby prostokątna, nos jak nos, chyba proporcjonalny, bo nie  
zwracał na siebie uwagi. Elegancka.

W milczeniu Bieżan dokończył posiłku, pełnym uznania gestem odesławszy wywiadowcę. Górski pożarł swoje wcześniej, ale też milczał. W końcu obaj odetchnęli głęboko.

— No to coś mamy — powiedział Bieżan z satysfakcją. — Uporządkujmy to sobie teraz. Bez emocji, spokojnie, od początku, bo mi się to wszystko razem strasznie dziwne wydaje. Zaczynaj.

Robert sięgnął po dokumenty.

— Denatka, Balbina Felicja Borkowska, zamieszkała na Dolnej, w konkubinacie z Wiesławem Wydujem...

— Zostaw Wyduja, jeszcze go nie mamy. Poza tym, może Wydoja. Nie wiemy, jak on się pisze, przez ó kreskowane czy zwykłe. Zostaw go na zapas i jedź dalej.

— Uciążliwa dla otoczenia. O skłonnościach rozrywkowych. Liczne... jak by tu... demonstracje w lokalach. Uporczywe przedstawianie się jako Barbara Borkowska, była prokurator i dziennikarka, de facto nie pracująca panienka do wzięcia. Jedna przyjaciółka może o niej najwięcej powiedzieć, Ula. Zapewne Urszula, ale równie dobrze mogłaby być Kordula. Albo... no nie, musiałbym wziąć kalendarz, nie pamiętam wszystkich imion, kończących się na ula. W jakiś sposób i z nieznaney przyczyny podająca się za tę Barbarę Borkowska, o denatce mówię, przez przyjaciółkę hamowana. Cholera, jak tę przyjaciółkę znaleźć...?

— Poczekamy na Wydoja — mruknął Bieżan.

— Przedsiębiorstwo transportowe, nikt nie powiedział jakie, można by ich zapytać, kiedy przewidują powrót TIR-ów z konwojem...

— A oni akurat wiedzą, ile ich będą trzymali na granicy. Ktokolwiek by to był...

— Jeśli istotnie podawała się za Barbarę Borkowska, tę żywą, a na to wygląda, ona, ta Barbara Borkowska, prawdziwa, powinna chyba o tym coś wiedzieć? Może jej to jakoś bruździło? Szczególnie że wyleciała z prokuratury, to mamy, chociaż wydawało się nieaktualne, bo nie ją zabili, tylko Balbinę. A ja nie wiem, może właśnie przez takie wygłupy? Prokuratura dzielnicowa, okręgowa, trzeba ich zapytać!

Bieżan w zadumie pokręcił głową.

— Mało. Prokuratura prokuratą i żarty żartami, ale jakichś ludzi wokół siebie denatka miała. Nie mam na myśli sąsiadów, z sąsiadami, jak widać, była mocno na bakier, tylko przyjaciółkę nam potwierdzili. No i te awanturnicze skłonności. Ale człowiek zna nie tylko sąsiadów. Jacyś inni mogą wiedzieć więcej, szczególnie jeśli w dowcipach brali udział. Dwie drogi, spytać żywą Borkowską, co o tym wie i co myśli, i dalej penetrować środowisko Borkowskiej zabitej. Zauważ, co mamy, tylko plotki i spostrzeżenia lokatorów, obcy ludzie, nieprzychylnie nastawieni, nikogo osobiście znajomego. Przecież ta facetka nie spędziła życia na pustyni! Gdzie są jej prywatni znajomi, gdzie, do diabła, rodzina?!

— Urodziła się w Warszawie — zaczął ostrożnie Robert. — Gdyby chociaż w jakiejś wsi...

— We wsi to się może urodziła jej babka — mruknął gniewnie Biezan.

— Nie przed wojną przecież! — rozzłościł się Robert. — Ona, znaczy, nie babka! Prześledzić cały życiorys...

— To już odpracowane. Rodzice, Czesław i Helena, nie żyją. Brata miała, starszego, znikł z domu już szesnaście lat temu, ślad po nim zaginął, nie wiem, czy warto go szukać. Gnieździł się na Siekierkach w ruderze, dawno rozebranej, jakieś ciotki może się gdzieś płaczą, bo rodzice mieli rodzeństwo, ale to na nic. Towarzystwo z młodości, z tej Poleskiej, straciło z nią kontakt. Tyle wiadomo, że rozrywkowa panienka, mamy konkubenta, adres, nikt, poza tym, nikogo nie zna, bij człowieka głową w ścianę. Tych ogłuszanych sąsiadów trzeba sprawdzić, nie wierzę w nich, ale miejmy z głowy, bo może jednak ktoś się postarał uciszyć nocne koncerty.

— Cholera. Sprawdzić alibi... zaraz... ludzi ze stu czterdziestu sześciu mieszkań...?!

— Dzieci i paralitycy odpadają. No trudno, ruszymy tę żywą...

\* \* \*

— I naprawdę masz zamiar zostawić coś takiego odłogiem? — oburzyła się Martusia przez telefon. — Pod twoim własnym śmietnikiem leży trup, a ty nic...?!

— Już nie leży, zabrali go. Na twoich oczach.

— Ale leżał! I ty na to nic...?

— A co ty chcesz, żebym zrobiła? — zirytowałam się, bo akurat byłam ogólnie zajęta. — Sama się tam położyła, w zastępstwie? Już rozmawiałam z glinami, na uboczu, prywatnie.

— I co?

— I nic. Sprawę przejęła Komenda Stołeczna.

— No to co?

— No to muszę złapać tego jednego, który tutaj był, tego młodszego, bo go znam osobiście, więc może mu się coś wyrwie. Dam mu do zrozumienia, że coś wiem, i może sam z siebie przyleci ze mną rozmawiać.

— A co wiesz?

— Nie powiem, bo się nie będę wyrażać. Ale mogę zełgać, nie? Albo wymyślę, że coś mi przyszło do i głowy, to przecież zawsze jest możliwe, że nawet głupiej grupie coś przyjdzie do głowy..

— Kiedy?

— Co kiedy?

— Kiedy ci przyjdzie?

— Jak tylko znajdę chwilę czasu.



— A co robisz?

— Gówno.

— Miałaś się nie wyrażać!

— Wcale się nie wyrażam, uczciwie mówię, co robię, gówno w kotle od bielizny. Muszę iść po skrzyp, bo pokrzywy już przywiozłam, a rumianek mam w ogródku. Zaraz pójdę i urwę.

Martusia z drugiej strony robiła wrażenie nieco oszołomionej.

— I naprawdę wyjdzie ci z tego gówno w koszu od bielizny...?

— Wyjdzie we wszystkim, ale kocioł od bielizny najlepszy — pouczyłam ją. — Nie ma na świecie doskonalszego nawozu, skrzyp i pokrzywy pół na pół, a do tego odrobi na rumianku...

— Słuchaj, czy to ma być jakiś przepis kulinarny...?

— Do jedzenia się nie nadaje. Zalać wodą i poczekać parę tygodni, śmierdzi niezmiernie. Muszę się z tym pośpieszyć, żeby dojrzało przed zimą.

— Czekać, ogłuszyłaś mnie. Myślałam, że jesteś zajęta pracą!

— Nie, w tej chwili jestem zajęta poszukiwaniem tajnego numeru do karty kredytowej. Schowałam go tak starannie, że teraz nijak nie mogę znaleźć. Straszna katorga, dam spokój i pójdę po ten skrzyp.

— No dobrze, ale zaraz, bo ja ci chciałam powiedzieć, że przyjeżdżam znowu, w poniedziałek. Wytrzymasz?

— Bez problemu. Może wreszcie złapiemy tego kota...

Rozłączyła się. Powiedziała jej świętą prawdę, poszukiwanie tajnego numeru wykończyło mnie doszczętnie, z prawdziwą przyjemnością oderwałam się od obrzydliwego zajęcia i poszłam po niezbędny mi skrzyp.

W przeciwieństwie do pokrzyw, po które musiałam jechać trzy kilometry w jedną stronę, na skrzypy w okolicy był urodzaj. Najwspanialsze rosły tuż pod ogrodzeniem sąsiada, trzeciego z kolei, licząc ode mnie, cała kępa, w zupełności wystarczająca na moje potrzeby. Jeszcze niedawno dom sąsiada nie był zasiedlony, trwały tam roboty wykończeniowe i właściciele pojawiali się rzadko, teraz nagle okazało się, że już mieszkają. Wrywałam sobie spokojnie ich skrzypy, kiedy sąsiadka wyszła na zewnątrz.

— Dzień dobry — powiedziała. — Pani chyba mieszka tam dalej, w trzecim domu?

Potwierdziłam i czym prędzej, z wielką skruchą, przeprosiłam za panoszenie się pod ich ogrodzeniem. Myślałam, że ich jeszcze nie ma...

— O, nic nie szkodzi — odparła życzliwie. — Na co mi to zielsko, pełno tego wszędzie. Tu i tak zresztą samochodami wszystko niszczą, niech pani popatrzy, to przecież ironia losu, chciałam mieć te iglaczki od zewnątrz, taki wąski paseczek za bramą, specjalnie posadziłam na jesieni i proszę! Skrzypy nietknięte, a iglaczki mi jakaś idiotka przejechała. Zła jestem na nią okropnie, o, widzi pani?

Popatrzyłam. Rzeczywiście, rząd małych krzaczków był w połowie zgnieciony, widniał na nim ślad opony samochodowej. Podwójny, jakby ktoś zawracał, niezręcznie cofając.

— Dziw, że nie wjechała pani w siatkę — zauważyłam potępiająco. — Zakręcała akurat w najwęższym miejscu, już nie miała gdzie... Skąd pani wie, że to była baba? Budowlańcy też rozjeżdżają tę drogę.

— Widziałam. Przypadkiem tu byłam, przywiozłam rzeczy, ma pani rację, o włos ominęła siatkę. Jeszcze cofnęła i przygniotła obok. Firankę właśnie wieszałam i nie mogłam tak skakać z drabiny, bo bym jej powiedziała parę słów, a jak zesłam z okna, to już jej nie było, odjechała w pani stronę.

Nabrałam obaw, że posądzi o dewastację zieleni kogoś z moich gości, więc pośpiesznie zapewniłam ją, że żadne idiotki ostatnio nie składały mi wizyty, co było prawdą. Na wszelki wypadek spytałam, kiedy to nastąpiło.

— Przedwczoraj... Nie, wcześniej. Trzy dni temu. Przedwczoraj porządkowałam garderobę i nie mogłam nic widzieć przez żadne okno... Bo my właściwie mieszkamy tu dopiero od wczoraj.

— A, to dlatego sądziłam, że jeszcze państwa nie ma...

Pocieszyłam ją, że iglaki odżyją, pożegnałyśmy się przyjacielsko, z pękiem zielska w dłoniach uczyniłam cztery kroki i zatrzymałam się, rażona odkrywczą myślą. Zaraz. Idiotka rozjechała jej iglaczki. Przedwczoraj. Jakaś baba w samochodzie. Nieboszczkę pod mój śmietnik ktoś przywiózł. A jeśli baba...?

Zawróciłam. Sąsiadka jeszcze oglądała przygniecione rośliny i próbowała je prostopać.

— Przepraszam panią, a o której godzinie to było?

— Tuż przed zmierzchem — odparła bez pudła wiedząc, o co pytam — bo jak potem chciałam mężowi pokazać, to już się ciemno zrobiło. Chyba koło piątej. Albo trochę przed.

I nawet się nie zainteresowała, do czego mi ta wiadomość potrzebna. Chwałaż Bogu, nie miałam najmniejszej ochoty informować jej, że w podzięce za skrzyppy zamierzam jak najszybciej napuścić na nią policję. Nie musiałam już łąć, że coś wymyśliłam, przeciwnie, sumienie mnie gryzło, bo udzieliłam fałszywych informacji, wmawiałam w nich, że dwa domy stoją puste.

Dodzwoniłam się bez trudu, porucznik, pardon, komisarz Górski dał mi poprzednio numer swojej komórki. Przez telefon wściekle tajemnicza, kazałam mu przyjechać, żeby obejrzał zjawisko na własne oczy, i to szybko, póki widno. Potraktował mnie poważnie, nie zwłóczył ani chwili.

Przyjechał sam, bez tego drugiego, podinspektora Bieżana, co mi było bardzo na rękę. Mogłam sobie pozwalać na supozycje własne.

— Otóż sama wprowadziłam panów w błąd, twierdząc, że ten dom jest niezamieszany — przypominałam od razu. — Co zresztą było prawdą aż do wczoraj. Obok mnie pusto, w następnym ludzie, pytaliście wszystkich, trzeci też powinien być pusty, bo robotnicy poszli precz o wpół do czwartej.

— Zgadza się — mruknął komisarz.

— Tymczasem okazuje się, że właścicielka tkwiła w oknie i widziała jakąś osobę w samochodzie. Zachowała ją we wdzięcznej pamięci, pogniecione iglaki zaraz pan sobie obejrzy, a jeśli pan jej powie, że to ja doniosłam, nie przebaczę panu nigdy w życiu. Niech pan te iglaki zobaczy przypadkiem i od nich zacznij, dobrze panu radzę. Chętnie bym poszła podsłuchiwać, ale nie znam rozkładu ich domu, więc pewnie mi się nie uda, zatem pan tu wróci, co? Z elementarnej przyzwoitości...

Zgodził się okazać elementarną przyzwoitość, poszedł i wrócił po dość długim czasie. Był tak zadowolony, że zdradził mi przy herbacie niektóre tajemnice służbowe.

— Jeśli nic pani nie powiem, i tak pani z niej wydusi, więc co za różnica? Owszem, może to być ważne. Jedyne auto przed jej domem w ciągu co najmniej godziny, a ona w tym oknie sterczała dłużej. Z półtorej. Co w te kobiety wstępuje, żeby tak się męczyły z głupimi firankami...?

— U mnie też się było męczono — powiedziała ostrożnie, używając tej osobliwej formy, bo przypisywanie sobie cudzych zasług wydawało mi się nie przyzwoite, a nie ja osobiście się męczyłam, tylko inne osoby.

Komisarz Górski popatrzył dookoła siebie z lekkim roztargnieniem.:

— No tak, bardzo ładnie — pochwalił. — Tam też ładnie.

— Ale nie poszedł pan do niej wyłącznie w celu: podziwiania wystroju wnętrza? — przypominałam mu delikatnie.

— No nie. Fakt.

— I kogo ona w końcu w tym samochodzie widziała?

— Blondynkę — powiedział ponuro po chwili milczenia. — Bez sensu.

— Dlaczego? — zdziwiłam się. — Sądząc z tych wszystkich głupich dowcipów...

Przerwał mi.

— A owszem, tu by się zgadzało, do takiego idiotyzmu blondynka pasuje. Zakładając, że przywiozła tu swoją ofiarę, rąbnęła ją, a potem uciekła, zawracając nieudolnie, miotając się pod cudzym domem i czyniąc takie sztuki, jakby się specjalnie starała, żeby na nią pół miasta zwróciło uwagę. Szczyt kretynstwa.

— Bo ona chciała wyjechać tamtą stroną — wyjaśniłam. — Widziałam przecież ślady. A tam jest dziura w poprzek, połowa płyty wyrwana, nie wiedziała o tym.

— A co to za przestępca, który nawet terenu przed zbrodnią nie rozpozna?!

— To od niedawna wyrwane, jak ta budowa naprzeciwko stanęła. Już wcześniej widziałam, że ktoś tam zawracał.

— To jak ci ludzie tu jeżdżą?!

— Jedni od jednej strony, a drudzy od drugiej. Widział pan, wyrwane akurat w środku pomiędzy wjazdami do bram. Tamci od tamtej strony mają do dziury nawet bliżej.

Komisarz Górski przez chwilę pozgrzytał zębami i wymamrotał kilka stosownych do sytuacji słów. Po czym wrócił do spraw służbowych.

— A rzecz druga, to co tu robi blondynka? Podobno najlepsza i w ogóle jedyna przyjaciółka denatki to właśnie blondynka. Sprawców szuka się na ogół wśród wrogów ofiary, a nie wśród najlepszych przyjaciół. Za grosz sensu w tym nie ma!

— Niech pan może pogada z tą przyjaciółką — poradziłam subtelnie.

— Kiedy jeszcze jej nie mamy — odparł Górski gniewnie. — Nikogo nie mamy, niech to cholera, przez tę pomyłkę na początku wszystko nam się po... tego... pokiełbało.

— Jaką pomyłkę?

— Co do osoby ofiary.

No i proszę, wiedziałam, że mu się coś wyrwie! Na moment mnie oszołomił.

— Zaraz. Chwileczkę. To znaczy, że co? Nie Borkowska została zabita, tylko ktoś inny?

Komisarz zmieszał się nieco, spojrzął na mnie wzrokiem zranionej łani i machnął ręką.

— A, co tam...! Umiała pani milczeć pięć lat temu, umie pani chyba i teraz. Owszem, Borkowska, ale inna Borkowska. Nie ta.

Zważywszy, iż nie znałam osobiście żadnej Borkowskiej, nie robiło mi to wielkiej różnicy, ale poczułam się silnie zaciekawiona.

— Tylko która?

— No, inna...

— Dziennikarka...?

— Jaka tam dziennikarka, dziennikarka zleciała nam na głowę akurat w najgorszym momencie. Żywa, zdrowa i wściekła jak diabli, prosto z podróży. Kompromitacja. A denatka to właściwie nie wiadomo kto, taka wesoła panienska, ale nie notowana, i wygląda na to, że udawała tę dziennikarkę.

Zaczynało to być wysoce interesujące. Spróbowałam się skupić.

— Po co?

— A cholera ją wie. I wcale to nie jest pewne.

— Aż czego wnioskujecie?

— Proszę pani, jeśli ktoś fałszuje w dowodzie miejsce zameldowania...

— Która...?

— Denatka.

— Zaraz. Jak fałszuje? Z czego na co?

— Z własnego miejsca zamieszkania na meldunek innej osoby...

— I wobec tego nawet nie wiecie, gdzie mieszkała? — zgorszyłam się. — Ta nieboszczka? Za życia?

— No nie, teraz już wiemy. Wpisała sobie adres tej drugiej Borkowskiej, tej dziennikarki... I jeśli ten ktoś w dodatku publicznie się przedstawia, nazwiskiem i zawodem... To niby co o tym myśleć?

— Dużo myśleć — zgodziłam się. — A gdzie naprawdę mieszkała?

— Też na Mokotowie. Na Dolnej trzydzieści A.

— Gdzie...?! — wrzasnęłam ze zgrozą.

— Na Dolnej trzydzieści A, mieszkania dwadzieścia trzy. To w oficynie.

— Żartuje pan — powiedziałam po chwili, ochłonawszy nieco. — Że w oficynie, wiem lepiej od pana. Na parterze?

— Na parterze. A co...?

— A to, że w życiu jej nie widziałam na oczy i nie miałam pojęcia, jak się nazywa, ale bywały chwile, kiedy namiętnie chciałam wrzucić jej do domu przez okno zabezpieczony granat. I gdybym miała granat, pewnie bym to zrobiła. Ale nie miałam, więc znalazłam inne wyjście...

— A co pani tam robiła? — przerwał mi podejrzliwie.

— Jak to co, mieszkałam! Naprzeciwko jej okna, na trzecim piętrze od frontu. Tutaj mieszkam dopiero dwa lata.

Zawód się w komisarzu odezwał gromko i z hukiem.

— Zaraz, po kolei. Primo, w tym mieszkaniu na trzecim piętrze jest teraz remont...

— No pewnie, że jest remont, bo przez dwadzieścia lat nie było odnawiane. I stolarka się wypaczyła, niektóre przewody wod-kan pochodziły jeszcze sprzed... zaraz, policzę... pięćdziesięciu czterech lat. A może nawet były przedwojenne.

— To niezłe musiały być...

— Kamionka — wyjaśniłam krótko. Młody, nie młody, co to jest kamionka, powinien rozumieć. — Ale jednak nie miały trwałości piramid. Jasne, że musi być remont.

— Bardzo dobrze. Secundo, dlaczego ten granat...?

— Bo grała. Nie osobiście, miała te urządzenia, określane jako muzyczne, moim zdaniem, do walenia murów Jerycha lepsze niż trąby, i produkowała nimi dźwięki straszliwe. Zazwyczaj w nocy. W okresie wiosenno-letnim, przy otwartych oknach, absolutnie nie do zniesienia, ja nie młodzież, nie cierpię hałasów. Z dwojga złego wolałabym już chyba świder pneumatyczny, brzmi monotonna.

— Rozumiem. Tertio, jakie pani wyjście znalazła, nie mając granatu?

— Wyjeżdżałam. Nie było mnie. Od późnej wiosny przez całe lato, brałam ze sobą najpierw maszynę do pisania, później laptopa i cześć. We wrześniu ona już jakoś mniej kochała świeże powietrze, ale też się zdarzało.

— Rozumiem — rzekł komisarz ponownie i zamyślił się. — No dobrze, i co pani o niej wie?

— Nic, poza tym, że musi być trochę głucha. To znaczy, musiała, skoro padła pod moją wierzbą. Czy wszyscy lokatorzy sąsiednich budynków urznęli się z radości?

— O tym nic nie wiem, w czasie przesłuchań byli trzeźwi. Ale zaraz, skoro hałas w nocy, niemożliwe, żeby pani ani razu nie wyrzała przez okno!

Nie wiadomo, dlaczego zdenerwowałam się tak, że postanowiłam wmusić w komisarza jakiś naganny napój. Wolał piwo niż wino, słusznie poniekąd, niższy procent alkoholu.

— Może pan być spokojny, że wyglądałam wielokrotnie — powiadomiłam go zarazem ze złością i satysfakcją, bo już tam przecież nie mieszkałam, ale minione przeżycia trudno było zapomnieć. — Mało, tkwiłam w oknie i obmyślałam sposoby zdewastowania jej tej aparatury. Zastanawiałam się nad podpaleniem, szalały po mnie butelki z benzyną, ciskane na czołgi, broń palna długa, ale musiałyby to być panzerfaust. Płonąca strzała z łuku, cholera, żebym znała jakiegoś Indianina... Nie wyobraża pan sobie, jakie miałam niszczycielskie pomysły!

— I nie spróbowała pani...? — wyrwało mu się z wyraźnym zaciekawieniem.

— Schody mi przeszkadzały — wyznałam ze skruchą. — Więcej różnych działań wymyśliłam z bliska niż z daleka, ale musiałabym lecieć te trzy piętra tam i z powrotem. Wolałam wyjeżdżać. Nie zdziwię się, jeśli wyjdzie na jaw, że zabił ją ktoś z tamtych okolicznych lokatorów.

Komisarz znów się zamyślił, po odrobinie popijając piwo.

— Jest to jakaś myśl — przyznał w końcu. — Ale po pierwsze, dźwięki dźwiękami, musiała pani jednak coś widzieć...?

— Owszem, raz. Faceta z sąsiedniego bloku, który awanturował się pod jej oknem i wygrażał pięściami. Z trzeciego piętra widziałam czubek jego głowy. Nie był łysy. Miał dzieci, które zostały obudzone i teraz płaczą. Osoba, która dopingowała go z okna pierwszego piętra, była zapewne jego żoną, matką płaczących dzieci. Osoby w innych oknach popierały ją z zapałem. Scena malownicza, można powiedzieć, ale do niczego nieprzydatna. Nic więcej.

— Ale ktoś tam może przychodził...

— Niech się pan opamięta — powiedziała surowo. — Jako świadek naoczny jestem do kitu. Primo, nie spędzałam czasu w oknie, secundo, ryki grzmiały w nocy, kiedy z natury rzeczy jest ciemno, tertio, nawet gdyby do niej leciała cała wataha, też widziałabym wszystkich tylko od czubka głowy. Więcej pożytku może pan mieć ze mnie w dziedzinie dedukcji, niech pan powie więcej o tym udawaniu dziennikarki bądź co bądź, ta sama płęć, kobieta kobietę prędzej wywęszy...

Musieli tam mieć jakieś kłopoty, bo po krótkim wahaniu komisarz wyjawiał mi, że jednak więcej informacji zdobyli o Borkowskiej martwej niż żywej. O ile oczywiście nie zachodzi tu znów jakaś pomyłka i rzecz dotyczy żywej, a nie martwej. Opinie były wysoce urozmaicone, sprzeczne ze sobą, i mogły każdego skołować doszczętnie.



— A w ogóle to ta pani sąsiadka wcale nie jest pewna, ile osób widziała w tym samochodzie — dołożył nagle. — Wpatrywała się w blondynkę przy kierownicy, ale nie wyklucza, że siedział i pasażer. W oczach jej stoi, że pusto nie było, na fotelu obok mógł siedzieć człowiek, a mógł, na przykład, duży pies. A na końcu strzeliło babie z rury wydechowej.

— To znaczy, że widziała akurat chwilę zbrodni! — zaopiniowałam bez namysłu.  
— Z rury brzmi podobnie, szczególnie jeśli słyszała z domu. Z domu?

— Nie. Już z zewnątrz. Spod drzwi.

— Że też nie wyszła na ulicę! Byłby naoczny świadek!

— A pani nie mogła akurat robić czegoś w kuchni...?

Skruszona niezmiernie, spróbowałam udzielić mu licznych rad. Nie ma tak, żeby nigdzie nie było żadnych ludzi, proszę, sąsiadka objawiła się po trzech dniach, z budowy naprzeciwko albo kawałek dalej też mógł patrzeć ktoś, kogo dopiero trzeba złapać. Może jakiś idiota, który sam nie wie, co widział... Należy pogadać z żywą Borkowską, niemożliwe, żeby nic nie wiedziała!

Rady były nieco spóźnione, oni też na te pomysły wpadli. Owszem, dochodzenie trwa...

— Ale pani się nie przyzna, że tak z panią rozmawiałem? — spytał ostrzegawczo, wychodząc. — Osobom postronnym tajemnic śledztwa się nie zdradza, mógłbym karnie wylecieć.

Poprzysięgłam milczenie, chociaż nie miało to żadnego sensu. Wielkie mi tajemnice, które zna cały świat, mogłam pogadać z paroma osobami i wiedzieć więcej od niego, mogłam napomknąć prawdziwej dziennikarce Borkowskiej, że chętnie udzielę jej wywiadu, prawem się zajmowała, temat był mi bliski i proszę bardzo, po godzinie mogłabym być z nią zaprzyjaźniona. Co nie oznaczało, rzecz jasna, że komisarza Górskiego w jakikolwiek sposób zamierzałam zrobić...

Plany mi się zaczęły krystalizować i dobre chęci załęgły się we mnie na mur, nie zdążyłam jednakże nijak zadziałać, ani nawet zastanowić się porządnie, bo Martusia, po rozpaczliwym i niezrozumiałym telefonie, przyjechała zaraz nazajutrz.

— Słuchaj, bardzo cię przepraszam — zaczęła już od furtki — ale mam taką propozycję, że to jest szansa życiowa! Muszę z człowiekiem porozmawiać osobiście, a on wyjeżdża do Wenezueli! Wiesz, to kawałek stąd...

— Po jaką cholerę filmowiec jedzie do Wenezueli? — wymamrotałam z niesmakiem, przytrzymując drzwi, żeby się samoczynnie nie zamykały. — Jeśli kupować następną tenisową, nie chcę mieć z nim do czynienia. Albo przeciwnie, chcę, zadam mu parę pytań...

— Nie musisz! To nie on kupuje, on jedzie prawie prywatnie, folklor południowoamerykański, hobby ma takie. Ale wróci, a ja mam przez ten czas zrobić scenopis. Muszę to z nim omówić!

— Proszę cię bardzo, omawiaj. Ale ostrzegam cię że do omawiania mamy także mnóstwo innych rzeczy.

— Jakich rzeczy? — zaniepokoiła się Martusia.

— Kazałaś mi się zająć naszym trupem, nie? No to się zajęłam. I teraz ho, ho!

— Nie strasz mnie. I możesz trochę poczekać?. z nim jestem umówiona na drugą, to o której powinnam pojechać?

— A gdzie jesteś umówiona?

— Na Chełmskiej.

— Iiiii, to piętnaście minut. Nawet z korkiem na drodze. Mamy jeszcze co najmniej półtorej godziny.

Te półtorej godziny spędziłyśmy nad wyraz chaotycznie, bo Martusia w nerwach nie była w stanie się skupić, ów scenopis wydatnie zwiększał jej nadzieje na przejście z reportażu do filmu fabularnego, ja zaś usiłowałam myśleć zbrodniczo. Jedyny pozytywny efekt chaosu objawił się dopiero późnym popołudniem, po jej powrocie.

— Tak mi nabiłaś głowę tą wierzbową nieboszczką, że mi się z ust wyrывała raz za razem — oznajmiła, równocześnie radosna i zatroskana, zgarniając z mojego bufetu kuchennego kocie talerze — Słuchaj, dzwoniłam od razu do Tadeusza, powiedział, że tu przyjdzie, nie masz nic przeciwko temu? To jest twój plenipotent, nie mój, ale chciałybym się go poradzić...

— Bardzo dobrze, niech przychodzi. Co ty chcesz zrobić?

— Kupiłam szynkę po drodze. Mogę włożyć do lodówki?

— Możesz, doskonale, koty będą miały co jeść.

— Zwariowałaś, ty szynką karmisz koty...?!

— Nie, ale tu leży poprzednia szynka, przedwczoraj kupiłam, nie damy rady jej zjeść i któraś się zaśmiardnie, koty się ucieszą. Chyba że będziemy jadły wyłącznie szynkę. Nie wiem, czy pasuje do bobu.

— Możemy jeść na zmianę. Możemy w ogóle jeść, co ty będziesz chciała, bo ja ci się muszę podlizać.

— Zwariowałaś? — zgorszyłam się podejrzliwie. — Scenariusz wybij sobie z głowy od razu!

Martusia opanowała swoją namiętność do sprzątanania, dała spokój porządkom na kuchennym bufecie i przeszła do salonu.

— Nie, scenariusz jest, przecież z czegoś ten scenopis muszę robić, nie? Ale chciałam, żebyś rzuciła okiem na dialogi, bo mi się jakieś takie drętwe wydają. Tak to trochę przejrzałam...

Z wielkim wahaniem dopuściłam ewentualność rzucania okiem bez żadnych dalszych zobowiązań, bo tej telewizyjno-filmowej twórczości bałam się panicznie i unikałam jak ognia. Postawiłam na stole miskę bobu i dołożyłam talerzyk z poprzednią szynką, po czym stanowczo zmieniłam temat.

— I co zrobiła, wyrwawszy ci się z ust? — spytałam surowo.

— Kto...?

— Ta nasza nieboszczka.

— A...! Wyobraź sobie, niektórzy ją znają!

Skrzywiłam się z naganą.

— Tyle wiemy od początku, prawie każdy coś tam o niej mętnie bredził. I coś mi się widzi, że to jest damska zbrodnia, jedna baba drugiej babie narobiła koło pióra i któraś z nich padła trupem. W dodatku płacze się tu trzecia baba...

Martusia zainteresowała się dziko, porzucając swoje perypetie zawodowe. Własny trup, osobiście znaleziony, to było duże coś! Bez najmniejszych skrupułów przekazałam jej całą, świeżo zdobytą wiedzę i zażądałam informacji z ostatniej chwili, od tych niektórych.

— Wiesz, albo to była schizofreniczka, bo oni mówili o dwóch różnych facetkach — oznajmiła, niezadowolona z własnej niepewności i usiadła przy stole, na którym stało także i piwo. — Taki Filip...

— Z konopi...

— Nie, z Polsatu. Kamerzysta, znam go, kręciliśmy kiedyś razem, nawet mi się podobał...

— Ale go nie chciałaś, bo nie miał brody — podsunęłam odkrywco.

— Nie miał... Odczep się! Nie lecę na wszystkich brodatych!

— Tylko na niektórych...

— Na niektórych może być. O mnie mówimy czy o zwłokach...?!

— O zwłokach. I co ten Filip ogolony? O, popatrz, to mógłby być przydomek królewski, Filip Trzeci Ogolony. Jeszcze takiego nie było...

— Ale on nie jest królem, tylko operatorem. Mówi, że raz kręcili taką rozmówkę z Barbarą Borkowska całą rozmowę, ale zmontowana została prawie migawka, bo to były krótkie wypowiedzi różnych fachowców na temat prawa i przestępczości, i zapamiętał ją, bo po pierwsze miała przepiękne włosy, czysta miedź, on leci na włosy...

— Tak, jak ty na brody?

— Mniej więcej. A po drugie, wyjątkowo rozumne rzeczy mówiła. Sensowne jak rzadko i ostro, ale najostrzejsze jej wycięli. Mówił, że szkoda, bo kiedyś wreszcie powinien pójść odważny tekst. Znała się na tym, to się dało zauważyć, potem się dowiedział, że wcześniej była prokuratorem, a spodobało się to jej gadanie wszystkim, nie tylko jemu, z góry wiedzieli, że wytną...

— Normalka. Dlatego ja tak nie lubię tych występów.

— Ale ja cię kręciłam na żywo! I wskoczyłyśmy w przemówienie prezydenta! Mało ci jeszcze?

— Nie, dziękuję, całkiem starczy. Robić afronty dostojnikom państwowym na krakowskim rynku... to prawie jak Kościuszko!

— On robił afronty dostojnikom? — zdziwiła się Martusia.

— Nie, składał przysięgę z szablą w dłoni. Owszem, car mógł to oceniać jako afront...

— Uspokój się z tą historią, bo ja jej nie umiem! Za to, czekaj, druga osoba... Kto to był...? A, wiem, scenografka, psy na niej wieszala, nawaliła jej mężowi, ten mąż też scenograf, TVN, wściekły wrócił do domu, bo głupia purchla umówiona była na wywiad czy coś innego, rozmowy w toku albo któryś magazyn, i w ogóle nie przyszła, siedziska mu źle wypadły. To w końcu co? Odpowiedzialna facetka czy głupia purchla?

— Purchla... — zastanowiłam się. — Czy purchel...? Purchle na dachu, purchle na szlichcie, na lakierze, na farbie olejnej, zawsze się o tym mówiło w liczbie mnogiej... Taki jeden purchel na środku... czy purchla? Wiesz, że nie wiem, jakiego rodzaju są purchle...

Martusia przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu, z lekkim niepokojem.

— Można wiedzieć, o czym ty mówisz?

— O mankamencie budowlanym. O purchlach. Problem językowy.

— A to w ogóle coś jest, te purchle...?

— No pewnie! Takie wybrzuszenia warstwy, która powinna być gładka. Małe, duże, różne. Jak przyciśniesz, to się ugnie, a jak zostawisz, cała warstwa wstanie albo się wykruszy. I za skarby świata nie wiem, jakiej one są płci, purchel czy purchla?

Martusia, wpatrzona we mnie, znów odczekała chwilę.

— Robi to nam jakąś różnicę? — spytała ostrożnie.

— Nie — ocknęłam się, bo oczyma duszy widziałam mnóstwo różnych płaszczyzn, upstrzonych purchlami. — Żadnej. Czekaj, to na razie dwie osoby i dwie sprzeczne opinie. Był ktoś więcej?

— Tak konkretnie to nie, ale w bufecie ktoś mówił, że ktoś mu mówił, że jeśli cała prokuratura tak wygląda, to on zostaje przestępcą. Łańcuchowe plotki. A ktoś tam się wtrącił, że wszystko nieprawda, Tomek mówił, że to nie ta, tylko tamta, i że podobno ma dowody...

— Jaki Tomek?

— Nie wiem, nie znam człowieka. Zwracam ci uwagę, że to było na Chełmskiej, a nie na Woronicza, na Woronicza znam więcej osób. W bufecie akurat było gęsto i nie wiem, co kto mówił, bo w końcu zajęta byłam osobiście...

— Należało iść do bufetu dopiero po rozmowie zasadniczej!

— No to poszłam po, ale jeszcze takie resztki się plątały. Dla mnie ważne, bardzo cię przepraszam...

— I tak osiągnięcia masz niezłe — pochwaliłam ją sprawiedliwie, z czego wynika, że masz także rację. Albo to była postać kontrowersyjna, albo ich było dwie.

— Moim zdaniem, dwie.

— Moim też. Szczególnie że jedna leżała pod moim śmietnikiem, a druga objawiła się glinom żywa i zdrowa, co już zostało udowodnione. Pytanie, która była jaka, mam na myśli, która padła. Ale chyba ta gorsza, bo zameldowanie w dowodzie miała sfalszowane. Ty byś nie mogła skoczyć do filmu jeszcze raz i wyłowić jakoś tego Tomka, co to ma dowody?

— Teraz zaraz...?

— Nie, może jutro...

— Jutro wracam do Krakowa!

— No to możesz spróbować telefonicznie. Metodą kolejnych przybliżeń...

Szczęśliwie w tym momencie przyleciał pan Tadeusz. Zostawiłam go z Martusią na załatwianiu zmartwień służbowych i zajęłam się gotowaniem następnego bobu, który, jak się okazało, do szynki szedł całkiem nieźle. W charakterze napoju pasowało do tego zestawu czerwone wino. Bób był niezmiernie cenny z tego względu, że zawierał podobno dobre kalorie i nie tuczył, można go było zjeść cały wagon bez szkody dla zdrowia i urody.

Wysiłeków intelektu, poza odmierzeniem soli, nie wymagał, mogłam zatem poświęcić umysł problemom śledczym. Wpatrzona w garnek, oczekując chwili zagotowania wody, żeby wsypać zamrożoną zawartość opakowania, powyciągałam sobie rozmaite wnioski i posuwałam śledztwo do przodu.

Bezlitośnie przerwałam im konwersację nie wiadomo w jakim momencie, później okazało się, że nieszkodliwym, bo najważniejsze już omówili.

— Panie Tadeuszu, nie wierzę, że ani jednej myśli nie poświęcił pan aferze spod mojego śmietnika... — zaczęłam.

— Bądź subtelniejsza — poprosiła Martusia. — Spod płaczącej wierzby.

— Spod wierzby — zgodziłam się. — Coś pan wiedział o Barbarze Borkowskiej. Nieciekawa postać, tego — śmego, jestem pewna, że już pan wie więcej! No...?

Pan Tadeusz bez wielkiego oporu przyznał się, że istotnie, wie więcej. Zainteresował się sprawą na wszelki wypadek, bo skoro takie rzeczy dzieją się pod moim domem, nie wiadomo, co z tego może wyniknąć, a on ma obowiązek mnie pilnować. Trochę zabrzmiało to tak, jakby musiał powstrzymać mnie od następnej zbrodni, którą właśnie planuję, ale nic mi to nie przeszkadzało, proszę bardzo, niech powstrzymuje.

Pogadał z dziennikarzami i wyszło mu dokładnie to samo, co i Martusi. Kontrowersyjna postać albo dwie różne osoby.

— Otóż to! — powiedziałam z zadowoleniem. — Że dwie różne osoby, to już ja obojście wiem na pewno. Jedna, prawdziwa dziennikarka, była prokurator, fachowiec, jednostka solidna i pracowita, i druga, panienska rozrywkowa, podszywająca się pod tę pierwszą. Musiała jej chyba cholernie nie lubić i paskudziła jej opinię, ile mogła i gdzie się dało. Tak z czystej, nieskalanej i bezinteresownej złośliwości?

Martusia w czystą złośliwość wątpiła.

— No coś ty? Chciałoby się jej...?

— Raczej chyba coś w tym miała — uczynił przypuszczenie pan Tadeusz. — Jakiś cel jej przyświecał. Mogła to być zemsta, Borkowska była prokuratorem, naraziła się tej drugiej i ona mściła się w ten sposób.

— I osiągnęła swoje, bo żywą Borkowską wylali z prokuratury — przypomniałam. — Właściwie mścicielka powinna była już wtedy zaniechać tej akcji odwetowej, tymczasem ciągnęła zabawę do ostatniej chwili. Jestem pewna, że nachalnie pchała się do mnie na wywiad dublerka, a nie pierwowzór. Szkoda, że się nie dopchała, bo ciekawa jestem, jak by wyglądała pogawędka...

— Podobno okropnie — przerwał żywo pan Tadeusz. — To był prymityw zupełny, jakieś rozmowy nie wiadomo o czym, poniżej wszelkiego poziomu, zachowywała się ordynarnie, obrażała ludzi! Od dwóch osób słyszałem bezpośrednio, dali się namówić na spotkanie, do tej pory są oburzeni.

— To już wiemy — zniecierpliwiła się Martusia — że to była głupia... ta... jak jej tam... raszpla...? Pęksa...?

— Purchła.

— O, właśnie! Głupia purchła. Ale co na to ta pierwsza? Ta żywa? Niemożliwe, żeby nie wiedziała, że jej ktoś robi koło pióra, żeby nic do niej nie docierało! Szczególnie, jeśli ją wylali z roboty, jakieś przyczyny podać musieli! Jaka ona w ogóle...?

— Podejrzana — rzekłam pouczająco. — Miała motyw, że hej! Jak stąd do Australii. Nie mogła się nijak pozbyć swojej drugiej osobowości, więc jej w końcu rąbnęła i z głowy.

— Ale przecież mówisz, że tu była blondynka!

— Zgadza się, była, i nawet w odpowiednim czasie, ale jeśli prawdziwa, a nie farbowana, miała prawo być tak głupia, że na trupa pod wierzbą nie zwróciła uwagi. Znalazła się tu przypadkowo, przejechała igłaczki i znikła z horyzontu.

— Jaka blondynka? — zainteresował się pan Tadeusz.

Opowiedziałam mu o spostrzeżeniach sąsiadki. Po dłuższych rozważaniach uzgodniliśmy wszyscy, troje między sobą, że albo blondynka była farbowana i została wynajęta przez Borkowską w wiadomym celu, jako nie blondynka mogła się nawet pokazać strzelcem wyborowym, albo dzieła dokonała Borkowska osobiście, przyodziana w blond perukę!

Skrytykowałam czyn:

— To ona też głupia, bo powinna była zwyczajnie przejechać ją samochodem. Za zabójstwo samochodem na trzeźwo dostaje się najwyżej osiem lat, a za inne narzędzia zbrodni można załapać nawet dożywocie. Widzę tu wprawdzie okoliczności łagodzące, ale z drugiej strony jestem pewna, że nie miała pozwolenia na broń. Chociaż, jako prokurator, może miała...?



— Zabraliby jej chyba, wywalając z prokuratury? — zaprotestowała Martusia.

— Nie w tym dzieło. Nie jechałaby z nią przecież ta druga, źródło zarazy, wróg numer jeden, w dodatku w blond peruce, nie, zaraz, kierowczyni w blond peruce, nawet dla krowy byłoby to podejrzane. Paskudzisz komuś życie i jedziesz z nim w odludne tereny...?

— Nie mogę, wezmę piwo — zdenerwowała się Martusia. — Nikomu życia nie paskudzę, to mnie paskudzą! Poza tym to wcale nie są odludne tereny, ty tu mieszkasz...

— Ja sama tłumy nie stanowią. Ale jeszcze parę osób, owszem...

— Może któraś z nich udawała, że chce porozmawiać jak człowiek...

— Może jedna drugiej w tej peruce nie rozpoznała — podsunął pan Tadeusz z dużym powątpiewaniem.

— Sam pan nie wierzy we własne słowa — zganiłam go. — Nie, niemożliwe... Chociaż, może możliwe, ta szkalowana, mam na myśli żywą, stanęła na głowie, żeby osobiście pogadać ze szkalującą... Załatwić z nią ukrócenie afery, może za forszę, może wykryć, o co jej chodzi... Ja bym, w każdym razie, jakąś aktywność wykazała!

— To pani, nawet wcześniej, bo pani ma charakter...

— Do diabła z charakterem! Borkowska, prokurator, dziennikarka, przetrzymała, nie poszła do Tworek, też musiała mieć...

— Ale wiesz, mnie jej szkoda — stwierdziła znienacka Martusia. — Co właściwie miała zrobić innego, żeby się pozbyć takiej zadry w życiorysie? Niech jej może nie złąpią, co...?

— Przecież sama im w ręce włożyła!

— To by świadczyło raczej o niewinności — zauważył pan Tadeusz całkiem rozsądnie.

— No właśnie! Więc może jej chociaż nie udowodnią? Musiała to być koniecznie ona?

— Musieć, nie musiała, ale na prowadzenie wychodzi. Motyw ją gubi. Każdego by w końcu szlag trafił, gdyby mu sobowtór egzystencję urządzał, trzasnąć sobowtóra i po krzyku. Jeśli ma odrobinę rozumu, powinna mieć żelazne alibi.

— A ma?

— Podobno tak, była wtedy w Kołobrzegu.

— Skąd wiesz?

— Skąd wiem, to wiem, miałam się postarać, więc się postarałam...

— No to jeśli była w Kołobrzegu, nie było jej w Warszawie, Kołobrzeg dosyć daleko, nie? Na odległość jej nie zabiła!

Na pana Tadeusza nagle spłynęło natchnienie.

— Wynajęła płatnego zabójcę, płci męskiej, włożył perukę i udawał kobietę, każdy przysięgnie, że widział w samochodzie blondynkę, chociażby ta pani sąsiadka w trzecim domu. Nie znajdą go, bo będą szukać baby, ona się wyprze i nikt jej niczego nie udowodni...

— No proszę, jaki ty mądry jesteś! — ucieszyła się Martusia. — I brodaty! Zaczynam cię lubić. Joanna, to co...?

— Żebym ja wiedziała, co tam naprawdę w tym samochodzie siedziało! — westchnęłam. — Panie Tadeuszu, niech pan otworzy którąś flachę, ona ma piwo, to my wino... Wmawiałabym w nich jakąś odwrotność, nawet w sąsiadkę, w normalnego świadka da się wmówić wszystko, ta blondynka, na przykład, miała taki męski profil... albo była niedokładnie ogolona... Chociaż nie... Chociaż tak! Specjalnie zawracał jak idiota, po tych krzaczkach, żeby każdemu się skojarzyło z kobietą. Ale jeśli to był rzeczywiście facet, naprowadzę ich na ślad. Też źle.

— Jeszcze mógł to być zupełnie inny samochód, który ze zbrodnią nie miał nic wspólnego — podsunął pan Tadeusz.

— Ale ona mówi, że podobno innego samochodu nikt nie widział!

— Motyw — uparłam się. — Do diabła z samochodem i blondynką płci męskiej, trzeba znaleźć inny motyw. Osobiście widzę tylko jeden.

— Jaki?

— Grała. Produkowała po nocach te ogłuszające dźwięki. Ktoś z lokatorów nie wytrzymał... Dobrze, że już tam nie mieszkam, bo padłoby na mnie. Tylko dlaczego ją kropnęli pod moim obecnym domem?

— Ktoś musiał wiedzieć, że ona się wybiera do pani, że się umówiła telefonicznie...

— Ale czekajcie, jeśli ona była taka więcej rozrywkowa, podrywała facetów... Podrywała? — upewniła się Martusia.

— Podobno tak.

— No to przecież czyjaś żona! Zazdrosna! Albo oszczędna! A ten kretyn pchał szmal w panienkę... Ukróciła mu głupie wybryki definitywnie!

— Bardzo dobry pomysł — pochwaliłam. — A ta prawdziwa ma męża?

— Nie — odparł pan Tadeusz. — Z tego co wiem, jest rozwiedziona.

— No to zaczątek drugiego motywu już mamy! Co ja mówię, trzeciego nawet! Podsunę glinom przy najbliższej okazji, ale ogólnie musimy się więcej dowiedzieć o jednej, i o drugiej. Panie Tadeuszu, pan przyciśnie dziennikarzy, redakcje, Martusia, szukaj tego jakiegoś Tomka, tego co ją bronił. Niech tam ktoś krzyknie na Chełmskiej w zatłoczonym bufecie, kto zna Tomka i kim on w ogóle jest. Niech krzyka codziennie!

— A ty...?

— A ja z łapię moją przyjaciółkę, ona sędzia, różne znajomości w prokuraturze jeszcze nam zostały. Że jakieś plotki tam się kłębią, za to głowę daję. Poza tym, spokojnie, myślimy logicznie, one obie razem jednym samochodem nie jechały, to mowy nie ma. Nie, brednie mówię śmiertelne, żywa w ogólejechać nie mogła, bo była w Kołobrzegu, zastanów się, kto mógł się tu plątać w peruce czy bez, blondynka to podobno najlepsza przyjaciółka nieboszczki, przyjaciółki niezmiernie rzadko strzelają do siebie! Nie ma

siły, róbcie co chcecie, dowiadujcie wszystkiego o jednej i o drugiej, bo naprawdę zaczyna mnie to intrygować...

Nasze prywatne śledztwo ruszyło pełną parą.

\* \* \*

Wypchnąwszy Roberta do ozdrowiałej już przyjaciółki, owej Agaty Młyniak, Bieżan udał się do prawdziwej Barbary Borkowskiej na rozmowę w cztery oczy. Jej pobyt w Kołobrzegu zdążył już sprawdzić, kołobrzaska policja przesłuchiwała cały personel hotelu, złapała nawet starszą panią, płaczącą się po plaży, ponadto dowiedziała się o awanturze, jaką wybuchła przed wejściem do budynku, o godzinie osiemnastej, akurat w dniu popełniania zabójstwa pod wierzbą. Wszyscy zgodnie zaświadczyli, że pani Borkowska była tam cały czas i w awanturze uczestniczyła jako coś w rodzaju mediatora. Rzecz poszła o dwa nieznośnie szczekliwe pieski, których do hotelu nie przyjęto, ale ich właścicielka dzień w dzień przyprowadzała zwierzątka na małą kawkę, wizytując przyjaciółkę. Pani Borkowska całkiem rozsądnie wysunęła propozycję, żeby może przychodzić z pieskami jakoś tak koło południa, kiedy hotel wyludnia się z gości, ewentualnie bywać z nimi w miejscu, gdzie panuje mniejszy ruch. W rezultacie tych mediacji obraziły się na nią obie, zarówno właścicielka piesków, jak i jej przyjaciółka, dzięki czemu wszyscy wszystko najdoskonalej zapamiętali.

Zatem jako bezpośredni sprawca Borkowska odpadała definitywnie.

Co w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało, że mogła być sprawcą pośrednim. Pomyłka pomyłką, a przesłuchać ją należało nader dyplomatycznie.

Bieżan zaczął od przeprosin.

— Nasz błąd, proszę pani — rzekł ze skruchą. — Dowód osobisty, oglądany pobieżnie, bez podejrzenia o fałszerstwo... I już mamy tożsamość ofiary. Proszę nam to wybaczyć.

— A to, że nie miała kluczy od mieszkania, bo o ile wiem, nie miała, nic panom nie nasunęło na myśl? — spytała zimno Borkowska-prokurator.

— Owszem, mnóstwo przypuszczeń. Właśnie zamierzaliśmy to wyjaśnić. Czy pani ma jakiś pogląd w kwestii tego dowodu osobistego?

Barbara Borkowska, sztywno do tej chwili stojąca na środku posprzątanego już mieszkania, zmiękła jakby i zaczęła zachowywać się mniej więcej normalnie.

— Proszę, usiądźmy. Nie, nie mam żadnego poglądu i w ogóle tego nie rozumiem. Kim właściwie była denatka?

— Pani jej nie znała?

— Nie. Pokazywał mi pan jej zdjęcie. W życiu tej kobiety nie widziałam na oczy. Rzeczywiście nazywała się Borkowska?

Bieżan dość skwapliwie zareagował na zaproszenie i usiadł w fotelu przy niskim stoliku, z całej siły starając się wytworzyć atmosferę towarzyską. Opór czuł w powietrzu.

— Borkowska. Nazwisko rodowe. Jak pani sama zauważyła, dość popularne. Sfałszowane imię, adres, data urodzenia, nawet imiona rodziców... Nasz kolejny błąd, posłużyliśmy się peselem, lekceważąc stan dowodu. Czy, powiedzmy, nie biorąc go pod uwagę.

— Czy istnieje jakiś punkt dochodzenia, w którym panowie nie popełnili błędu? — spytała Borkowska tak upiornie grzecznym tonem, że Bieżanowi zrobiło się niedobrze.

— Sprawy techniczne zostały załatwione prawidłowo — odparł bardzo uprzejmie, acz smutnie. — Ponadto wiedza o osobie ofiary posunęła się dość szybko do przodu. Do pani mam jedno pytanie zasadnicze i bardzo proszę o odpowiedź ze względów niewątpliwie zrozumiałych dla pani, jako dla fachowca. Dlaczego odeszła pani z prokuratury?

Zmartwychwstała Barbara Borkowska musiała być przygotowana na to pytanie, bo żadna emocja nią nie wstrząsnęła. Westchnęła ciężko.

— Nie ma tu co ukrywać, pozornie na własne życzenie, de facto pod naciskiem idiotycznych plotek, które mi psuły opinię. Ktoś te plotki rozpuszczał, pojęcia nie mam kto, ale sądzę, że jakiś skazany, który mnie uznał za przyczynę swojej klęski. Wie pan równie dobrze jak ja, że wrogiem numer jeden jest zawsze prokurator. Propozycje współpracy z prasą miałam już wcześniej, w wojnie o stanowisko nie widziałam sensu. Zniechęciłam się i ugięłam.

— Zatem ów przeciwnik osiągnął cel, powinien był zaprzestać walki. Tymczasem akcja przeciwko pani trwała nadal, wedle naszego rozeznania do ostatniej chwili. Możliwe, że ciągle trwa. Jak pani to tłumaczy?

— Nijak. Nie wnikałam w sprawę zbyt głęboko. Jeśli ma to być zemsta, możliwe, że hipotetyczny wróg postanowił wpędzić mnie do grobu. Co mu się nie uda, mam nadzieję.

— Ja również — zapewnił solennie Bieżan. — Będę wdzięczny pani za szczegóły. Co pani wie o skandalicznych występach Barbary Borkowskiej w rozmaitych miejscach publicznych, o awanturach, o, chociażby jednym z ostatnich wybryków, u McDonald'sa...

— Proszę...? — zdumiała się Borkowska. — O McDonald'sie nic nie wiem, cóż ja tam zrobiłam?

— A o innych pani wie?

— Ależ oczywiście, dobiegały mnie plotki. Bzdury zupełne, nie starałam się tych idiotyzmów zapamiętać. Nawet nie potrafię ich panu powtórzyć.

— Ale od kogoś pani te plotki słyszała. Od kogo?

— Czy ja wiem...? Musiałabym się zastanowić... Zaraz, moment... O, na przykład, od mecenas Strążkowej, ganiła bardzo moje zachowanie na jakiejś imprezie w jakimś miej-

scu... Gdzież to było...? W którymś hotelu... Już wiem, w Marriotcie, w kasynie. Nigdy w życiu tam nie byłam, niech pan porozmawia ze Strążkową, bo mnie się nie udało dowiedzieć, kto mnie tam widział.

— Więc jednak pani próbowała?

— A pan by nie spróbował...? Akurat mnie to wtedy zaciekało, ale odpowiedzi usłyszałam tak mętne, że straciłam cierpliwość. Brakowało mi także czasu. Skoro jednak słyszał pan o tych dziwolągach, niech pan dotrze do źródła, znajdzie pan może tego mojego wroga, chociaż nie wiem, co panu z niego przyjdzie. O ile się orientuję, prowadzi pan sprawę zabójstwa jakiejś osoby, która nie ma ze mną nic wspólnego.

Bieżan milczał przez chwilę, starając się usilnie, żeby to milczenie wypadło możliwie potępiająco.

— Przecież pani doskonale wie, że ma — powiedział wreszcie łagodnym głosem. — Niech pani sobie wyobrazi, że to pani prowadzi tę sprawę. Facetka fałszuje dowód, przedstawia się powszechnie jako prokurator Barbara Borkowska, prezentuje poziom rysztokowy, Barbarze Borkowskiej zatruwa życie i zostaje zabita. Jakie wnioski by pani z tego wyciągnęła?

— Ze Barbara Borkowska nie wytrzymała dłużej i usunęła facetkę na lepszy świat — odparła Borkowska spokojnie. — Bez względu na przyczyny osobliwej akcji. Co, niestety, odpada, bo naprawdę byłam w Kołobrzegu i w żaden sposób nie mogłam równocześnie znajdować się w Warszawie, nawet gdyby to zabójstwo stanowiło cel mojego życia.

— Zgadza się — potwierdził miło Bieżan. — Pierwszy wniosek zatem upada. Wyciąga pani drugi. Jaki?

Borkowska przyglądała mu się w zadumie co najmniej przez sześć sekund.

— Sądzę, że kilka — rzekła wreszcie powoli. — Przede wszystkim postać denatki... Nie powiedział mi pan, kim ona w ogóle była, musiałabym to wiedzieć.

— Rozrywkowa dziewczyna, nie notowana, nie profesjonalistka, znana w otoczeniu jako osoba uciążliwa, awanturnicza, nie pracująca, żyjąca w konkubinacie z jakimś konwojentem...

— Z konwojentem już pan rozmawiał?

— Jeszcze nie, nie ma go w kraju, musi wrócić z trasy. Bez bliskich znajomych, jedna przyjaciółka, o której nic nie wiadomo. Poza imieniem, prawdopodobnie Urszula...

Gdyby nie wpatrywał się w tę Borkowską tak intensywnie, nie dostrzegłby zapewne jednego, maleńkiego błysku oka, bo poza tym twarz jej nie drgnęła. Jednakże błysk w oku mignął.

— Ale nie jest to całkowicie pewne. Powszechnie znana z występów jako Barbara Borkowska, wcześniej prokurator, później dziennikarka, co, tak to wygląda, stanowiło jej główne zajęcie. Zajęciem ubocznym było urządzenie przyjęć dość kameralnych,

uświetnionych przesadnie głośną muzyką, znienawidzonych przez sąsiadów. Niekiedy podejmowanie adoratorów, możliwe, że odpłatnie. Inne źródła dochodów nieznane. Głupia, sprytna i lekkomyślna, to opinia dawnej nauczycielki.

— Czy nie sądzi pan — powiedziała Borkowską powoli — że to główne zajęcie ktoś mógł jej zlecić...?

— Ten jakiś pani wróg? — spytał Bieżan szybko.

Borkowska jakby się ocknęła.

— Skoro dopuszcza pan możliwość, że ja mogłam komuś zlecić zamordowanie tej dziewczyny... a dopuszcza pan, po co mamy to ukrywać... nie ma żadnego powodu, dla którego ktoś nie miałby jej zlecić powodowania mojej kompromitacji. Wzięłabym pod uwagę zleceniodawcę, który usuwa niewygodnego świadka. Ponadto... To co od pana słyszę... Osoba ogólnie uciążliwa... Obydwoje jednakowo dobrze wiemy, do czego zdolni są ludzie w stanie stresu...

Bieżan, przekonany dotychczas, że kwestia tego udawania Borkowskiej jest elementem niejako wiodącym, zachwiał się teraz nieco w poglądach. Jako prokurator, ta kobieta była niegłupia. I gdyby nie ów drobnutki błysk w oku...

— Wszystko to musimy zbadać, oczywiście. Zakładając jednak, że pani supozycja jest trafna, mam na myśli zlecenie kompromitacji, należałoby szukać pani wrogów. Także wrogów denatki, jasne. Ale ja w tej chwili rozmawiam z panią i mam nadzieję, że mi pani w tych poszukiwaniach pomoże.

— Z przyjemnością, bo sama bym chciała tego kogoś wykryć. Właściwie liczę na pana, wrogów z pewnością mam zatrzęsienie, ale nic o nich nie wiem.

— No właśnie. Czy może mi pani wskazać kogoś, kto osobiście był świadkiem tych ekscesów, widział je na własne oczy? Poza mecenas Strażek...

— Strażkowa też nie widziała — przerwała mi żywo Borkowska. — W tym rzecz. Ktoś jej opowiadał. Musiałabym przeprowadzać całe śledztwo, które teraz spadło na pana. Serdeczne gratulacje. Poza tym, od razu panu powiem, nie znam ani jednego naczynego świadka, pod tym względem pożytku ze mnie nie będzie.

— No dobrze, zatem ci, którzy tylko słyszeli. Rozmawiały z panią przecież konkretne osoby...

— Mnóstwo. Na dobrą sprawę powinnam wymienić panu prawie wszystkich znajomych i współpracowników, bo w ogóle nie potrafię sobie przypomnieć, co kto mówił. To były napomykania, drobne uwagi, głupie dowcipy... Nie traktowałam tego poważnie i raczej starałam się wyrzucać z pamięci.

Bieżan doznał nagle silnego wrażenia, że kręci się w kółko, jak pies za własnym ogonem. Łże mu ta baba artystycznie i umiejętnie, nic dziwnego, sama nie tak dawno przesłuchiwała rozmaitych świadków i podejrzanych, trafił fachowiec na fachowca. A skoro łże, ma w tym swój interes. Umniejsza wagę owej nagonki na siebie nie bez powodu, je-



śli nie w niej leży motyw zbrodni, to on sam jest primadonną w operze. Jak się przebić przez ten elegancki mur, którym się otoczyła?

— Wobec tego poproszę panią o tyle znajomych nazwisk, ile pani zdoła sobie przypomnieć — rzekł stanowczo. — Nawet gdyby to miało być pół miasta. Im więcej zresztą, tym lepiej, musimy dotrzeć do otoczenia denatki, a okazuje się to zdumiewająco trudne. Opinie rozmaitych barmanów, kelnerów, pijaczków i rozwścieczonych sąsiadów są powierzchowne, wiedzą, że była awanturnicą i dostarczała nietypowej rozrywki pod pani imieniem i nazwiskiem. I tyle. Ktoś może wiedzieć więcej i niestety, trzeba go wydłubać z całego tłumu.

— Osobiście stawiałabym raczej na konkubenta, który powinien wiedzieć jeszcze więcej — odparła Borkowska chłodno, ale podniosła się i z szuflady biurka wyciągnęła duży notes. — Proszę, tu mam wszystkich. Może ja to po prostu panu pożyczę, a pan sobie skseruje, z tym że proszę o zwrot jeszcze dzisiaj, bo bez tego notesu jestem jak bez ręki. Nie uczę się na pamięć numerów telefonów.

Bieżanowi propozycja się spodobała, ponieważ zwrot notesu zapewniał mu kolejną rozmowę z podejrzanym świadkiem. Nie wdając się w dalszą słowną przepychankę, uzgodnił wizytę wieczorem i czym prędzej wrócił do komendy.

Tuż po nim wrócił także Robert Górski, promieniejący znacznie większymi osiągnięciami.

— To jest taki dziwoląg, o jakim w życiu nie słyszałem — oznajmił wręcz entuzjastycznie. — Czyste wariactwo, jak Boga Kocham! Mogę od razu...?

Bieżan oddał już notes na ksero i niecierpliwie oczekiwał interesującej lektury, relacja Roberta zatem spadła mu jak z nieba.

— Mów! — rozkazał krótko i chciwie.

— No, więc — zaczął Robert i od razu przypomniał sobie, że w szkole wzbraniano takiego początku zdania, żadnego „więc”, ale machnął ręką na szkołę i kontynuował: — ta Agata Młyniak już zdrowa jak koń, ale od czasu do czasu próbowała symulować nerwicę. Z reguły w momentach, kiedy wyrwało się jej coś niestosownego, dzięki czemu pi razy oko dawało się odgadnąć, kiedy przypadkiem mówi prawdę.

— Powtórz i łgarstwa — zażądał Bieżan.

— Jasne. W ogóle mam nagrane...

— Podstępnie?

— Skąd, jawnie. Wcale się nie kryłem z włączaniem, żeby potem nie było gadania, nie protestowała, kichała na to. Otóż jej nie było, przez dwa lata siedziała w Kanadzie, a w tym czasie ta nagonka na Borkowską ruszyła, więc pierwszej fazy z detalami nie zna. Jak wróciła, rozróżba była już w pełnym rozkwicie. Borkowską była wściekła i zdenewrowana, jej rozwód już był w toku, z prokuratury wyleciała, ale trzymała się twardo, od razu weszła w dziennikarstwo. Bystra dziewczyna, pisać umie, a temat zna i na-

wet więcej zarabia. Te tam różne skandaliczne wysoki miała w nosie, wcale jej nie obchodziły, pojęcia nie miała, komu to i do czego potrzebne i w ogóle przestała się tym zajmować całkiem. To te łgarstwa ogólnie, szczególnie są na kasecie. Razem, była wściekła i nie obchodziło jej, cha, cha.

— A te kawałki prawdy...?

— Też są. Ale zaraz. Jeszcze denatka. W życiu jej na oczy nie widziała i nic kompletnie o niej nie wie, od Borkowskiej słyszała, że ktoś ją udaje. Nawet nie wie, czy to ta zabita. Owszem, przypuszcza, że tak, skoro w pierwszej chwili rąbnęli ją informacją, że trupem padła Barbara, skąd im... to znaczy nam... taka głupota się wzięła, widocznie musiały istnieć przesłanki. Znajomych ma, oczywiście, rozmawiała z nimi, nie jest niemową, oni też nie, plotkowali skąpo, w dodatku wcale nie o tej zamordowanej ofierze, tylko o romansowych perypetiach Borkowskiego, no i w tym właśnie momencie zaczęła zipać i piguły wpieprzać. Znaczący, wyrwało się jej...

Bieżan zainteresował się gwałtownie.

— Czekaj no... Co, do cholery, mogą mieć z tym wspólnego romanse Borkowskiego? Sypiał z denatką?

— Skąd, nie ten poziom! On się z kurwami nie zadaje. Ale musi w tym coś być, skoro baba jak róży kwiat nagle mi za lilię złamaną robi...

— Co ty tak botanicznie...?

— A, nie wiem, jakoś mi się skojarzyło. Zresztą, zaraz jej to złamanie przeszło. Uparłem się, kto? Te plotki o romansach, skoro ona już coś w ogóle mówi, niech mówi porządnie. Pamięć straciła, amnezja całkowita, przypadkowy znajomy, gówno prawda, wypchnął jej się na usta w końcu jakiś Jureczek. Przyjaciół brata. To nie jest żadna kretynka, tylko w łgarstwach niewprawna, zrozumiała, że od brata mogę się o Jureczku dowiedzieć, wołała przypomnieć sobie samodzielnie, chociaż jakąś truciznę z czarnej flachy zażyła i znów trochę poziajała. Jerzy Kapilski, adresu nie zna, w tym miejscu okazała wyraźną satysfakcję, więc chyba rzeczywiście nie zna, na ulicy go przypadkiem spotkała po całych latach. Gdzie pracuje, nie może sobie nijak przypomnieć i w powietrzu wręcz warczało, co myśli.

— I co myślała?

— Że jesteśmy leniwi albo niedorozwinięci i brata o to nie spytamy.

— Brat się jak nazywa?

— Tak samo, Młyniak, ona niezamężna. Kazimierz Młyniak, Żłota sześćdziesiąt pięć, mieszkania dwadzieścia osiem. Zdążyłem sprawdzić zupełnie zwyczajnie, przez telefon. O Kapilskiego nie pytałem, bo i tak go nie było w domu, tego Kazimierza, tylko jakaś gosposia, ale owszem, ma siostrę, Agatę, ona ją zna. Nie wierzę w taki potworny zbieg okoliczności, żebyśmy drugi raz trafili na niewłaściwą osobę!

— Dobra, pod wieczór skoczysz do brata...

— Jasne. Zaraz. Bo niby skąd kumpel brata tej Agaty wie cokolwiek o romansach Borkowskiego? Tu znów ją zipanie szarpnęło, znów coś zażyła, na moje oko witaminę C, wodę piła, potem się zapała, że nie pamięta. Na piwo z nim poszła, z tym spotkanym Jureczkiem, może i coś tam więcej z napojów było, bo detale wyleciały jej z pamięci. Nawet chyba nie warto na jej gadanie zwracać uwagi, możliwe, że coś maćci. Zebrała się w sobie i zaczęła już nie pamiętać niczego, poza tym, że owszem, wnioski prywatne jakieś wyciągnęła, Barbara w prokuraturze różnych złoczyńców usadziła, płci rozmaitej, i któryś tam, albo któraś, zaczęła się na niej mścić. Innego sensu w tej imprezie ona nie widzi, więc szukajmy złoczyńcy. A może nawet sama denatka przez Borkowską poszła siedzieć, a jeśli nie ona, to jakiś narzeczony, ale dlaczego ją rąbnięto, ona nie wie. Środowiska złoczyńców osobiście nie zna.

— To tyle?

— Nic więcej za skarby świata nie umiała sobie przypomnieć.

— Aż tego rozwodu Borkowskich...?

— A, tak, owszem, jest na kasecie. Jej zdaniem, Borkowski to idiota klasy wszechświatowej i od początku uważała, że to się źle skończy. On bufon głupi, za żonę kuchty wielbiącej potrzebuje i pracującej żony na wysokim poziomie zwyczajnie nie wytrzymał. Z nagonką na Borkowską nie miało to nic wspólnego, tak uważa, a do własnej opinii każdy ma prawo. Z czego wyraźnie wynika, że w tym miejscu znów zełgała, ale bardzo rozpaczliwie.

— Zanim nam oddadzą ten notes, przesłuchajmy kasetę — zarządził Bieżan.

Kaseta okazała się istną kopalnią złota i potężnym źródłem wniosków, które, rzecz jasna, należało sprawdzić, ale przynajmniej do sprawdzania nagromadziło się tyle, że w tym całym śmietniku zabłysło wyraźne światło.

— Obie łąą jak najęte — zaopiniował Górski z zapalem. — Coś w tym jest, bo niby po co i dlaczego? Nie chcę się upierać przy żadnej koncepcji, ale udział Borkowskiej w zabójstwie sam się pcha jak dziki.

— Właśnie za bardzo się pcha — odparł Bieżan w zadumie. — Też się nie chcę upierać, ale zrzucenie na nią wszystkich podejrzeń byłoby logiczną konsekwencją poprzedniej nagonki. Nie dało się jej przydeptać paskudzeniem opinii, no to może zbrodnia da jej wreszcie radę. Kto jej tak nienawidzi, do diabła...?!

— No właśnie. Że też te baby nie chcą mówić prawdy! Co one w tym mają? Chronią kogoś czy jak...?

— Otóż to. Wynajętego zabójcę...?

Skserowany notes Borkowskiej wrócił wreszcie na biurko Bieżana. Prezentował sobą melanż przeraźliwy, niektóre osoby w nim były wykreślone, przy niektórych widniał krzyżyk, świadczący zapewne, iż osoba zesła z tego świata, reszta robiła wrażenie mieszaniny znajomości prywatnych i służbowych, usług wszelkiego autoramentu, poczyna-

nając od fryzjera, poprzez informacje i hotele, a kończąc na laboratorium kryminalistycznym policji. Część tego tłumu Bieżan znał osobiście, prokuratura, policja, jego własny były zwierzchnik, od ładnych paru lat na emeryturze, kilkanaście nazwisk znanych z prasy i telewizji duże grono przestępców, a także, prawdopodobnie, świadków w sprawach już zamkniętych. Razem wzięwszy, policzyli, czterysta trzydzieści osiem pozycji do sprawdzenia. Bieżan rzucił okiem na zegarek.

— Bierz drugi telefon — rozkazał. — Póki jeszcze godziny pracy, dzwonimy po urządach. Prokurator i prasa, pytaj o inne nazwiska, może ktoś kogoś zna...

\* \* \*

Agata przyleciała do mnie w dzikich nerwach.

— Udałam że umarłam, i zastąpiła mnie na Starym Mieście ta debilka, Danusia — oznajmiła roztrzęsionym głosem. — Skompromituje kraj, zawód i historię, obcymi językami mówi jak ciężko chora krowa z zajęczą wargą. Trudno, niech diabli biorą turystykę, dopiero co był u mnie gliniarz, słuchaj, ja się chyba wygłupiłam!

Zważywszy, iż tego samego zdania byłam o sobie, przyjął jej komunikat dość spokojnie.

— Siadaj, dam ci coś. Chcesz koniaku?

— Wszystko jedno, może być nawet wotriol. Mówiłam tak, jak mówiłyśmy, że mam mówić, nie wiedzieć albo nie pamiętać, ale zdaje się, że coś niepotrzebnego z tego wyszło. On nagrywał!

— Nagminnie nagrywają. Ja też nagrywałam. Za twoją zgodą?

Agata padła na fotel przy stoliku i zachłannie wpatrzyła się w butelkę koniaku. Przyspieszyłam wyjmowanie kieliszków.

— Za moją. Zgodziłam się, bo pomyślałam, że gdyby nie, zaraz uznają to za podejrzone.

— Mogłaś się stremować i jąkać. I przeprosić, przy nagrywaniu źle się czujesz, nie jesteś przyzwyczajona.

— Jestem, łgarstwo na wstępie, poza tym nie przyszło mi to do głowy. Wolałam nerwicę. Nieboszczki nie znam, sama prawda, upierałam się, że jakiś twój podopieczny, mam na myśli przestępcę, mścił się na tobie albo co. Ale tak strasznie ten facet pytał... obiektywnie biorąc, nawet sympatyczny i robi dobre wrażenie, młody, nie krety, gdybym była dychę młodsza, może nawet poleciałabym na niego... ale tak pytał, niby nic, a jednak, że w końcu wyrwało mi się najgorsze!

Pocieszyła się odrobinę koniakiem, a mnie wszystko w środku zdrętwiało. Też sobie chlapnęłam.

— Które to było, to najgorsze?

— Jureczek, cholera. Oczywiście jego nazwiska nie pamiętałam, ale gorzej, też mi się wyrwało, że kumpel mojego brata. No to musiałam sobie przypomnieć, bo wół by wiedział, że do Kazia polecą, A tak, może nie.

— Nie rób sobie złudzeń. Jeśli nie złapią Jureczka bezpośrednio, Kazia masz jak w banku.

— Cholera — powiedziała Agata głosem zgnębionym bezdennie. — Zadzwoń do Kazia, żeby gdzieś wyjechał...?

— Nic to nie da, opóźni im Jureczka o parę godzin i nic więcej. Znam te rzeczy. I co dalej? Tylko Jureczek ci się wyrwał?

Agata drugą bombę zaczęła popijać powolutku i z namysłem.

— Wiesz, że mniej pamiętam z tego przesłuchania niż z całej afery. Muszę się zastanowić. Mam ogólne wrażenie klęski, ale dlaczego...? Zaraz, czy nie przez Stefana...?

— Bo co Stefan? — spytałam, odrobinę zgrzytnąwszy zębami.

— Romansował — wyznała Agata ze skruchy — Sama nie wiem, jak to ze mnie wyszło. O tej ofierze było proste, nie widziałam jej, nie znam, słyszałam byle gównem od ciebie, jakaś psychopatka i cześć, ale reszta mąciła mi w umyśle. Tak strasznie starałam się pamiętać, czego nie wiem, nie pamiętam i nie rozumiem, że chyba mi się coś pomieszała. Skoro już ten Jureczek mi z pyska wyleciał, o romansie Stefana zaczęłam głądzić. Ale też niejasno — zastrzegła się w pośpiechu. — Jakies tam głupie plotki, upiłam się przy tamtej okazji i teraz brednie gadam. Myślisz, że co...?

Wcale nie musiałam myśleć, doskonale wiedziałam co. Jak na dłoni jawiły mi się wszystkie kolejne poczynania policji, sama bym je zleciła, gdybym prowadziła tę sprawę. Łgarstwa Agaty potwierdziły moje, bo że ten cały podinspektor Biezan nie uwierzył mi za grosz, byłam pewna. Znałam go w ogóle pośrednio, słyszałam o nim już cztery lata temu, wprawdzie migawkowo, ale jednak, nie darmo dostał podinspektora przed czasem. Jeśli się czegoś uczepli, dociągnie do końca, a ma w sobie psi instynkt, na łgarstwa jest wyczulony, jakby od każdego alergii dostawał. Niefart cholerny, że na niego padło...

Zarazem przyszło mi na myśl, że może Biezan dojdzie prawdy. Nie zabiłam przecież tej suki głupiej, nie zleciłam zabójstwa, do diabła, chociaż wszystko absolutnie na mnie wskazuje. W oczach prokuratora prowadzącego sprawę muszę, po prostu MUSZE, być pierwszą podejrzaną, jeśli pójdą po linii najmniejszego oporu, przyłożą mi to, jak Bóg na niebie! Mam złą passę... Ale może jednak Biezan...? O ile wiem, dotychczas nigdy się nie pomylił, a osiągnięcia miał niezłe...

Niepotrzebnie napomknęłam o zleceniu. No dobrze, ale ktoś tę dziwą kropnął, kto do pioruna?! I co, też ma to być moja robota...?

— Wcale nie wiem... — powiedziałam z wahaniem. — Teraz się tak zastanawiam... Może należało mu wywalić kawę na ławę...? Że też go nie spytałam, kto to prowadzi! Ale

i tak od gliniarza zależy, do czego dojdzie i co prokuraturze wtryni... Jedyna nasza szansa... no nie, moja, nie nasza... to uprzeć się, że ta cała idiotyczna akcja nic mi złego nie zrobiła, rozwodu ze Stefanem dawno byłam spragniona...

— O, to, to! — ucieszyła się Agata. — Też to w niego wmawiałam, już od chwili waszego ślubu uważałam, że się rozejdziecie. Ze Stefana zrobiłam idiotę!

— Bóg ci zapłać. Ale mimo wszystko... Czekaj, w końcu ja też nie od macochy, jeśli oni się wygłupią, może sama do czegoś dojdę. Nie wiem, czy nie należało zacząć od początku, czarna ospa i tyfus, lekceważyłam, bo wydawało mi się to tak przeraźliwie głupie, że w ogóle nie do uwierzenia, przeceniałam rodzaj ludzki... W tym własnego męża na czołowym miejscu...

Zamyśliłam się. Agata popijała koniaczek, czekając niecierpliwie.

— No...? — rzekła wreszcie z naciskiem.

Zdecydowałam się..

— Nie popadajmy w przesadny optymizm. Zajmę się sobą, bo w alternatywie mam uroczy pobyt w pierdlu, głównie siedzą niewinni, chociaż, Bóg mi świadkiem, przeciwdziałałam temu z całej siły. Może i rzeczywiście jakieś grubo skazane bydlę postanowiło się zemścić, nie mogę tego wykluczyć, kandydatów mam ładne parę sztuk. Konkubenta tej nieboszczki spróbuję złapać osobiście, ale ogólnie zacznę od końca. Zabili ją pod domem Chmielewskiej, była ona w końcu u niej po ten wywiad czy nie? Jak tam wygląda? Miejsce zbrodni też na coś wskazuje, no trudno, nie mów o tym nikomu, ale wchodzę w ten interes.

— To znaczy, co mam mówić? — zaniepokoiła się Agata.

— Nic. Wiesz, że pracuję normalnie, często wyjeżdżam jako dziennikarz do różnych miejsc, gdzie prawo kuleje, i cześć. A rozmawiamy między sobą o byle czym, o kieckach, o gachach, o dzieciach, o kosmetykach, bo któraś z nas martwi się, że jej się włosy psują... Jak normalne, głupie baby. O przepisach kulinarnych też możemy.

— Odchudzających — podsunęła z ożywieniem Agata.

— Bardzo dobrze. Chrom. Sałatki z krabów i krewetek. Na ten temat możesz im, w razie czego, opowiedzieć nawet całą książkę kucharską... Jeśli mam jakieś pomysły ekstra, nie jesteś au courant, też wykonujesz swoją pracę i na głowie mi nie siedzisz. Nic nie wiesz i koniec!

Pocieszyłam ją. Odzyskała rozum i przestała stanowić zagrożenie.

\* \* \*

Martusia rozszalała się kompletnie i prawie straciła orientację, gdzie właściwie mieszka, u mnie czy u siebie. Kraków nie znajduje się na drugim końcu świata, raptem czterech godzin wymaga przemieszczenie się z jednej stolicy Polski do drugiej. Nawet jej pościel w gościnnym pokoju nie była zmieniana. Oczekiwałam jej z wielkimi nadziejami, bo kot ciągle jeszcze nie został złapany.



— Otóż słuchaj — zaczęła z przejęciem i triumfem już od progu — telefonicznie dopadłam tego jakiegoś Tomka, on wcale nie taki jakiś, fotoreporter całkiem znany, używają go!

Odebrałam od niej doniczkę z przywiezionym mi w prezencie kwiatkiem, który mnie zachwyił, bo właśnie takiego kaktusa mi brakowało. Wyraziłam uczucia, przez chwilę rozmawiałyśmy na tematy botaniczne, troskliwie umieściłam doniczkę w odpowiednim miejscu, Martusia zdążyła mi wyznać, że kaktusa dla mnie miała od miesiąca, ale ciągle zapominała go wziąć ze sobą, przebaczyłam jej i pośpiesznie wyjęłam z lodówki puszkę piwa.

— Popatrz, ja też się przyzwyczałam do puszek — powiedziała, sama sobą zaskoczona. — Wolę w puszkach niż w butelkach. To przez ciebie!

Zgodziłam się chętnie. Od lat nabywałam piwo w puszkach, żeby nie nosić po schodach niepotrzebnego szkła, drugie tyle kilo wagi, pozbyłam się schodów, ale przyzwyczajenie zostało. Zaraziłam tym ładne parę osób.

— Dobra, zostaw piwo, znaczy nie zostaw, tylko pij, ale co z tym Tomkiem? Nie chcę rzucać podejrzeń, ale, jeśli można grzecznie spytać, jak go używają? Zawodowo czy jakoś inaczej...?

— No coś ty — zgorszyła się Martusia. — Normalny facet, użyteczny jako mężczyzna! Zaraz, czekaj, wiem, kim jest, chcesz go...?

— Do czego? Jako mężczyznę? On gerontofil...?

— Wariatka! Nie wiem, może i gerontofil, ale miałam na myśli nasze śledztwo! Nie wiem, co wie, ale możemy go złapać i zapytać. Łapać...?

— Tak bez powodu? Mam na myśli, człowiek ma swoje sprawy, a my mu zajmiemy ileś tam czasu... Czekaj, może on jada obiady? Możemy mu dać, na przykład, obiad albo kolację. Zamiast w knajpie, zje u mnie, zrobię coś przyzwoitego, kurczaka z ryżem, kiełbasę z różną... Zapalę w kominku, żadna sztuka.

— Nie jest to głupia myśl — pochwaliła Martusia. — Wrócę z tych spotkań służbowych i będzie akurat. Dzwonię!

Tajemniczy fotoreporter Tomek bez najmniejszego oporu przystał na skonsumowanie czegoś w rodzaju kolacji w moim domu, zastrzegając się tylko nieśmiało, że może mu się jakieś pstryknięcie wypsnie. A czort go bierz, niech pstryka między jednym a drugim kawałkiem kiełbasy, względnie kęssem kurczaka, chociaż, moim zdaniem, ryż w tym wypadku musiałby mieć na spodniach. Jego rzecz, mogłam mu dać ściereczkę. Perukę nasadziłam na głowę od razu, żeby przypadkiem nie zapomnieć, mógłby zatem zrobić, co by zechciał. I tak byłam zdania, że obie z Martusią zdołamy go oderwać od pracy zawodowej rzetelnie i dokumentnie. Co też, istotnie, nastąpiło.

— Gówno prawda — oznajmił z wielką energią w jakimś momencie posiłku, wspomaganego bardzo dobrym winem. — Sam osobiście robiłem zdjęcia tej fałszywej

Borkowskiej, bo mnie o to Baśka prosiła. Po dziurki w nosie już miała tego śmietnika w życiorysie i raz wreszcie chciała zyskać jakiś dowód rzeczowy. To wcale nie ona tak się szlajała po mordowniach, tylko właśnie ta druga, nawet dosyć podobna, szczególnie z włosów, na własne oczy widziałem.

Ucieszyłam się.

— No, wreszcie ktoś, kto znał obie! Policja pana jeszcze nie dopadła?

— Nie, ale w razie czego zaświadczę, która to była.

— I ona naprawdę robiła takie kretyńskie sztuki? — upewniła się Martusia.

— Wydziwiała na konto tej drugiej? Po co? Do czego jej to miało służyć?

— Tego właśnie nikt nie wie — odparł fotoreporter Tomek. — Sami się zastanawiamy.

— Ta żywa Borkowska też nie wie? — spytałam podejrzliwie. — Ona ją w ogóle znała? Tę drugą, zabitą?

— A skąd! W tym rzecz, że jej na oczy nigdy nie widziała. Dlatego mnie prosiła, żebym się trochę postarał i zrobił zdjęcie. Dwa razy się na nią natknąłem w podbramkowych sytuacjach, rzeczywiście, tak dosyć obrzydliwie to wyglądało.

— No tak! — westchnęłam. — To jednak motyw aż świeci własnym światłem. Jeśli nie mogła się jej pozbyć inaczej, musiała ją zabić.

— Tego zabicia to ja w ogóle nie rozumiem — przerwał ów Tomek z wielkim niezadowolaniem — W redakcji się rozeszło w pierwszej chwili, że ktoś rąbnął Barbarę, jakiś napad bandycki, ale zaraz potem Barbara sama zdementowała przez telefon. O, cholera... Miałem nic nie mówić, prosiła, żeby w ogóle nie gadać o tej całej aferze, ale skoro panie już wiedzą...?

Czym prędzej zapewniłyśmy go, że wiemy doskonale. Uspokoił się i kiwnął głową.

— Fakt, że motyw pasuje. Chwalić Boga, nie było jej w Warszawie, zrobiła sobie wolny tydzień. Zaraz, to podobno było gdzieś tu u pani...?

Przyświadczyłam.

— Pod samym moim ogrodzeniem, no dobrze, ściśle biorąc pod drzwiczkami śmietnika, w objęciach wierzby płaczącej...

— Kontrastowa dekoracja...

— Poniekąd owszem. I sam pan rozumie, trudno się wyłączyć z czegoś takiego, jeśli pod nosem pana leży trup, chciałby pan coś o tym trupie wiedzieć nie? Szczególnie, że nie tak dawno z tym trupem mieszkałam, to znaczy, jeszcze wtedy był żywy.

Komunikat wydał się facetowi tak interesujący, że musiałam wyjaśnić całą sprawę obszerniej. Owszem, przyznał mi prawo do wścibskości i nieco się rozgadał.

O prawdziwej Barbarze Borkowskiej. Znali się już prawie dwa lata, współpracowali dość często, ona pisała, a on robił zdjęcia i wielokrotnie chodziło o wydarzenia aktualne, zahaczające o przestępczość. Lubili się, tak zwyczajnie, jak ludzie, damsko-męskie

dyrdymały nie wchodziły w rachubę. Borkowska była w ogóle nie do poderwania, podobno od rozwodu tak zeszytniała, przeżyła go ciężko i zacięła się w sobie, nie zwierała mu się, ale takie ploty krążyły. Zważywszy, iż większość znajomych, bliższych i dalszych, wierzyła w to jej rozpustne życie, unikali się wszyscy wzajemnie. Właściwie on sam na jej miejscu spróbowałby chyba owej hydrze ukręcić łeb...

— Ale ona, ta symulantka, zdaje się, przedobrzyła — ciągnął żywo. — Ostatecznie Barbara to dziewczyna na poziomie, inteligencja, wykształcenie, wychowanie... Gdyby się wygłupiała po lokalach, bo, powiedzmy, w taki nałóg nagle wpadła, nie wycierałaby sobie gęby własnym nazwiskiem! Dowcipnisia popadła w przesadę i coraz więcej osób zaczynało się wahać, przestawali wierzyć, że to naprawdę Barbara, prawda im wyłaziła spod mierzwy. Za jakiś czas, tak przypuszczam, cała nagonka wyszłaby na jaw, no i nie wiem, co wtedy.

W czasie jego gadania zastanawiałam się usilnie i nikłe błyski jęły mi się pojawiać w umyśle.

— Pogląd na nieboszczkę mam ugruntowany — rzekłam w zadumie, wpatrzona w okno, za którym koty pokazywały sztuki na kamiennym pagórku w ogrodzie sąsiada. — Nie darmo przez parę lat waliła mnie po uszach, rodzaj muzyki też o czymś świadczy...

— Przecież nie masz słuchu! — przypomniała Martusia z naganą.

— Ale wrażeń mogę doznawać, nie?

— Wrażeń możesz.

— No to mam wrażenie, że jedno z dwojga. Albo ktoś ją do tego namówił i całą szopką kierował, albo Borkowska-prokurator zniszczyła jej jakiś złoty interes. Jej czy któremuś amantowi, wszystko jedno.

Bo sama z siebie i bez zdrowego dopingu nie byłaby taka pracowita. Dusza mi to mówi i te fluidy, co z jej okna do mojego leciały.

— Świeciły? — zainteresowała się Martusia.

— Nie, to plazma świeci, a nie fluidy.

— To skąd wiesz, że leciały?

— Mówię ci przecież, że to nie ja wiem, tylko moja dusza!

— A przyjaciółka?

— Co przyjaciółka? Przyjaciółka nie leciała. Było by ją widać.

— O Jezu... Przyjaciółka, ta blondynka w samochodzie, było gadanie o przyjaciółce czy nie?

— A...! Masz rację, było. No właśnie. Tę przyjaciółkę powinno się znaleźć...

— Zaraz, moment — przerwał nam fotoreporter Tomek. — Bo ja nie wiem, o której panie mówią. Przyjaciółek Barbary wcale nie znam!

— Nie, to przyjaciółka nieboszczki. Niejasna postać...

— I w ogóle możliwe, że wróg!

Trochę nam się ta konferencja skomplikowała. Fotoreporter wyprowadził ją na prostą, przypominając, że zna osobiście żywą Borkowską, martwą zaś widział zaledwie dwa razy i jej życie prywatne jest mu całkowicie obce. Moja dusza wpadła na kolejne pomysły.

— A jeśli ktoś jej zlecił tę maskaradę i był w nią jakoś wplątany — zaczęłam — a pan mówi, że nieboszczka zaczęła przesadzać, może się rozpędziła, cechy frywolne wzięły górę, i musiał ją utemperować. Bo inaczej szydło wylazłoby z worka...

— I co z tego? Co by mu zrobili?

— Żywa Borkowską mogłaby dać mu po mordzie — zaproponowała Martusia.

— Po mordzie, może być — zgodziłam się. — Ale jak to tam było z tym rozwiedzionym mężem? Co to za facet? A jeśli potrzebował pretekstu do rozwodu? O, niech pan popatrzy...!

Nie, nie pojawił się podejrzany mąż, tylko koty na kamieniach przeszły same siebie. Fotoreporter rzucił okiem i zareagował błyskawicznie, trzasnął parę zdjęć przez otwarte okno, zachwycony bez granic. Nie zrzucił sobie ryżu na spodnie, tylko kawałek pomidora na podłogę, ale nigdy nie byłam drobiazgową. Serwetkę chwyciła Martusia.

Musiała jej takie malutkie sprzątanko dobrze zrobić, bo natychmiast sprecyzowała wnioski.

— No to nie ma siły, musisz złapać tych dwóch palantów! — zarządziła. — Męża żywej i konkubenta, o ile dobrze mówię, nieboszczki.

— Dlaczego ja? Gliny ich połapia.

— I nic nam nie powiedzą, tak? A ja nie chcę! Ja ją znalazłam i chcę wszystko wiedzieć!

Też chciałam wszystko wiedzieć, więc zawahałam się. Pomysły mojej duszy uległy lekkiemu zamgleniu, ale za to przypomniałam sobie, że mam jeszcze jedną drogę, przez prokuraturę. Może znajdzie się tam ktoś znajomy...

Jeszcze tego samego wieczoru, energicznie popychana przez Martusią, której się śpieszyło, bo nazajutrz odjeżdżała, zadzwoniłam do mojej przyjaciółki, Ani.

— No oczywiście, że coś słyszałam — powiedziała Ania od razu. — Cała palestra grzmiała oburzeniem, można robić różne świństwa, ale przecież nie tak jawnie! Ja w ogóle znałam tę Basię Borkowską, luźno bardzo, w samych początkach jej pracy, a może nawet jeszcze na studiach była, bo protokółowała rozprawę. I muszę ci się przyznać, że w całej mojej karierze nie miałam takich protokółów. Odbiegały od normy do tego stopnia, że trudno zapomnieć.

— W górę czy w dół?

— W górę oczywiście. W dół już nic nie mogłoby odbiegać... Świetnie pisane, pięknym polskim językiem, wyobraź sobie, że pierwszy raz w życiu z przyjemnością czy-

tałam protokoły z własnej rozprawy; Uzasadnienie wyroku na ich podstawie samo mi wyszło. Spotykałam ją jeszcze później i trudno mi było uwierzyć, że mogła wywołać taki głupi skandal. Nie, właściwie nie uwierzyłam. Jakieś nieporozumienie.

— Zgadza się, potężne — przyświadczyłam gorliwie. — Miała tam ona jakichś przyjaciół?

— Nie wiem. Siedziała w rejonowej... Ale, zaraz! Przy tych plotkach... Wiesz, Hania mi wierciła dziurę w brzuchu, nie, Hani nie znasz, jedna sędzina, żyła tą aferą, można powiedzieć... Ona mi przypomniała, że razem z Borkowską pracuje taki jeden Jacuś. Jacuś Żygoń, przez samo żet. Jacusia znam, to siostrzeniec prokuratora Wesołowskiego, nawet graliśmy kiedyś w brydża. Już samo imię wskazuje, Jacuś da się lubić, nikt o nim nie mówi Jacek, tylko Jacuś. Więcej nie wiem o nikim. Chcesz Jacusia?

— Chcę, dziko i szaleńczo! Da się z nim jakoś umówić?

— Sądzę, że tak, Jacuś się pracą nie przemęcza; Ale zdolny i bystry. Złapię go jakoś i dam ci potem jego telefon. Rozumiem, że coś się dzieje...?

— No, wiesz, jeżeli zamordowanego trupa znajduje się pod moim śmietnikiem... Do was to chyba jeszcze nie dotarło, na razie męczy się pierwszy szczebel.

— I, oczywiście, ty...?

— A jak? Taka okazja...?!

— No dobrze, to dam ci Jacusia...

Martusia kazała sobie powtórzyć każde słowo z rozmowy, po czym zdenerwowała się okropnie.

— Nie wyjeżdżam! Nie, muszę... Słuchaj, zadzwoń, jak się umówisz z tym Jacusiem, ja przyjadę! Zapisz wszystko! Albo nagraj! Zostawię ci magnetofon!

— Puknij się wszędzie, który prokurator zgodzi się na nagrywanie?!

— A musi wiedzieć...? No nie, to za duże, żeby ukryć, rozpozna... No dobrze, to zadzwoń natychmiast potem!

Pocieszyła ją wyłącznie myśl, że i tak musi przyjechać ponownie za kilka dni...

\* \* \*

Tegoż samego wieczoru Bieżan z Górskim poszli za ciosem.

Powtórzyli układ poprzedni, Robert uczepił się Kazimierza Młyniaka, a potem odnalezionego w parę minut Jerzego Kapilskiego, Bieżan zaś ponownie zwizytował podejrzaną, odnosząc jej notes.

— O ile wiem, ta osobliwa akcja, skierowana przeciwko pani, zaczęła się jeszcze w czasie trwania pani małżeństwa? — rzekł może odrobinę mniej łagodnie niż zazwyczaj. — Chyba się nie mylę?

— Nie, nie myli się pan — odparła Borkowska bez żadnych emocji. — Tak mi się przynajmniej wydaje... Nie, skąd, co ja mówię, przecież nawet mój mąż miał do mnie jakieś pretensje za niewłaściwe zachowanie gdzieś tam. Więc oczywiście, że w czasie trwania.

— Spowodowało to niesnaski?

— Nie miało co powodować. Moje małżeństwo już w owej chwili nie układało się dobrze.

— Zatem, być może, plotki o pani przyśpieszyły rozpad?

Borkowska wstała z fotela, nie pytając Bieżana o zdanie, nalała do dwóch filiżanek kawy z pękatego termosu, wyciągnęła z barku pół butelki koniaku, dwa kieliszki i usiadła ponownie.

— Wie pan... — powiedziała z namysłem, patrząc gdzieś w przestrzeń — wydaje mi się, że raczej zdjęły z mojego męża ciężar wyrzutów sumienia.

Bieżan przeciwko nalewaniu napojów nie zaprotestował ani słowem. Doznał wrażenia, że atmosfera zmiękła i usłyszy teraz jakąś odrobinę prawdy.

— Chce pani przez to powiedzieć, że on był inicjatorem rozwodu?

— Trudno tak ściśle określić. Był ze mnie niezadowolony, co przecież doskonale widziałam. Nie zamierzałam się zmieniać, łatwo było zatem odgadnąć, co z tego wyniknie. O, niech pan się nie męczy formułowaniem dyplomatycznych pytań, wyjaśnię od razu. Potrzebował kadzidła. Szedł w górę, miał osiągnięcia, był dumny z siebie i spragniony żony która pomagałaby mu włączyć na piedestał. Wymagał wielbienia bez reszty, i to coraz bardziej, podporządkowania mu całej egzystencji rodziny, subtelnych usług na każdym kroku, odgadywania życzeń... A ja niestety, byłam zajęta pracą, też widniały przede mną jakieś perspektywy, z których chciałam skorzystać, i nie miałam najmniejszej ochoty na rolę kapłanki. Nawet jeśli on na to w pełni zasługiwał. W głębi duszy zdawał sobie sprawę, że żąda zbyt wiele, chociaż wątpię, czy tak dogłębnie analizował swoje stany uczuciowe. Ale źle się z tym czuł. Sądzę, że trochę mu było głupio, bo w końcu ja też prezentowałam jakieś wartości, trudno potępiać ludzką istotę za starania w pracy. Kiedy zatem wyszło na jaw, że staczam się do rynsztoka, poczuł się wreszcie usprawiedliwiony i spadł mu kamień z serca. Dzięki czemu stał się dla mnie uprzejmiejszy. Niech się pan sam zastanowi, przecież, gdyby mu na mnie naprawdę zależało, w życiu by w te w głupie ploty nie uwierzył...! Zatem, rozwiedlibyśmy się i tak, ale możliwe, że wśród awantur i kłótni, czego w rezultacie udało się uniknąć. Proszę bardzo, teraz już pan zna sytuację.

Przestała patrzeć w przestrzeń i spojrzała na Bieżana. Bieżan był granitowo pewien, że ta cała informacja zawiera gdzieś w sobie drugie dno, ale nie mógł się do niego dobrać. Czuł się szalenie głupio i nie znalazł lepszego wyjścia, jak tylko wypić trochę koniaku.

— Muszę, niestety, być nietaktowny i nieprzyjemny — zastrzegł się, nie kryjąc zakłopotania. — Sama pani rozumie... A dzieci?

— Co dzieci?

— Mają państwo dwoje dzieci. Sądownie zostały przyznane ojcu. Czy to również było pani życzeniem?



Borkowska wciąż zachowywała kamienny spokój.

— W obliczu rozchodzących się kalumnii, które uparcie lekceważyłam, trudno się dziwić takiej decyzji. Widuję moje dzieci, czują się całkiem dobrze. I, jak pan widzi, nie tłukę głową o ścianę. Może jestem złą matką?

— Pani mąż ożenił się ponownie?

— O ile wiem, tak. Nie znam jego drugiej żony.

— I nic pani o niej nie wie?

— Prawie nic. Znów plotki. Co mogą z człowiekiem zrobić plotki, widzimy na moim przykładzie. Podobno przed ślubem pracowała u niego, możliwe, że go wielbiła i stąd jego rosnące wymagania, nie wiem, nie wnikałam w to.

— Po ślubie przestała pracować?

— Od dzieci wiem, że przestała, prowadzi dom, wnioskuje zatem, że mój były mąż ma to, czego pragnął i nie zamierzam się nim zajmować. Poza wszystkim, więcej by się pan chyba dowiedział od niego bezpośrednio...? Chociaż wątpię, czy to panu do czegokolwiek potrzebne...

Bieżan gotów był głowę na pniu katowskim położyć że ta przeraźliwie opanowana kobieta przy ostatnim pytaniu gwałtownie ugryzła się w język. Nie wytrzymała napięcia, wyrwała się jej niepotrzebna uwaga, którą usiłowała czym prędzej zatuszować Ciekawa rzecz, co z tym mężem...? Jasne, że pójdzie do niego, albo jeszcze lepiej, do drugiej żony!

— Nie będę pani zabierał więcej czasu — rzekł z westchnieniem. — Oczywiście wie pani doskonale, że chcąc nie chcąc, musimy panią podejrzewać. Ze względu na motyw. Nie, ja wiem, że pani była w Kołobrzegu, ale, niestety, z racji zawodu, tego poprzedniego, do dziś ma pani większe możliwości wynajęcia zabójcy niż przeciętny człowiek w naszym kraju. I sama, na moim miejscu, brałaby to pani pod uwagę.

— Jeszcze jak! — zgodziła się żywo Borkowska. — Ale zarazem, dzięki zawodowi, lepiej potrafię ocenić, do jakich granic można posunąć przestępczą głupotę. I szczerze panu wyznam, gdybym istotnie postanowiła kropnąć tę babę, załatwiłabym nieszczęśliwy wypadek, a nie jawne zabójstwo. Nie zgłupiałam przecież doszczętnie! I gwarantuję panu, że na żadne podejrzenia nie byłoby miejsca!

Argument przemówił do Bieżana do tego stopnia, że prawie całkowicie uwierzył w niewinność podejrzanej. Miała rację, tak idiotycznie postąpić nie mogła, a symulacja prostackiego kretynstwa, wykombinowana po to, żeby on tak właśnie pomyślał, wydała mu się intrygą już przesadnie makiaweliczną. Bez porównania prostszy i skuteczniejszy byłby ten nieszczęśliwy wypadek.

Ponadto, wynajmując zabójcę, należało zrobić z tego zwyczajny napad bandycki połączony z rabunkiem. Żadnych strzałów, nóż, ewentualnie młotek czy pała, chwycić torebkę, to jeden gest, bez względu na to, ile w niej było pieniędzy. A tymczasem torebka została, jakby specjalnie po to, żeby wypchnąć Borkowską na pierwszy plan...

Dał jej spokój i spotkał się z Górkim w umówionym barze, w połowie drogi między ich domami.

Górski się mocno spóźnił, ale przyleciał bez mała w wypiekach.

— Niech ja skonom, ale balanga! — zaczął, nim jeszcze zdążył usiąść. — Ten Kapilski zeznaje w kratkę takie rzeczy, że ja własnym uszom nie wierzę, jeszcze człowiek musi sobie pięć razy więcej dośpiewać, druga żona mu się na usta wypycha, chociaż ją tłamsi z całej siły i co drugie słowo na amnezję zapada...

— Czekażże — przerwał mu Bieżan. — Postaw gdzieś jakąś kropkę i przestań szurać tym krzesłem. I mów po kolei, od początku.

— Żadnych tajemnic nie robili — podjął Robert od początku, odrobinę spokojniej. — Młyniak przyznał się do dawnego kumpla od razu, znalazł jego adres i telefon, zadzwoniłem, Kapilski był w domu i zdziwił się, ale proszę bardzo, mogę wpaść. No to wpadłem, dziesięć minut jechałem...

— Że też cię drogówka nie złapała...

— Jakoś nie stali. I nikogo nie przejechałem. Na kasecie mam całość, więc teraz tylko streszczę konkrety, bo ogólnie gadania było mnóstwo. Wykręcał się i wywijał...

— Streszczaj, streszczaj. Później przesłuchamy.

— Otóż on pracuje... Kiełbasę na gorąco sobie zamówię, można...? W tym samym przedsiębiorstwie, w tym Svenska coś tam, co i Borkowski, ten rozwiedziony mąż. Z tym się nie krył wcale. Barbary Borkowskiej prawie nie zna, to znaczy obecnie, bo kiedyś znał ją doskonale, jeszcze w szkolnych czasach, a potem kontakt się urwał i nawet nie wiedział, że jego szef to mąż znajomej dziewczyny. Teraz wie, Agata Młyniak mu powiedziała. Potwierdził, że się spotkali przypadkiem na ulicy i poszli pogadać przy piwie. Do tego miejsca nie było z nim kłopotów, dopiero teraz zaczęły się schody.

Przyniesiono kiełbasę i piwo, więc na chwilę Górski urwał. Bieżan czekał cierpliwie.

— Sam nie bardzo wiedziałem, jak go pytać i o co — podjął znów jego podwładny — ale zacząłem od szefa. Chwalił go bez oporu. No to ruszyłem ten romans i tu nabrał wody do pyska, nic nie wie, w żadne ploty się nie wdaje, baby są od tego, a nie on. No owszem, zmiana na stanowisku sekretarki rok temu nastąpiła, bo z poprzednią szef się ożenił. Urszula Biełka niejaka...

— Ejże! — zainteresował się Bieżan. — Mamy Urszulę?

— Mieć, mamy, ale diabli wiedzą czy to właściwa. Uczepiłem się jej jak rzep psiego ogona. Nic z nią nie miał i nie ma, niczego nie załatwiał, nie rozmawiał, w końcu wyrwało mu się, że ona nie do rozmowy. Małomówna taka. Złapałem się za przyjaciółki, a skąd on ma znać jej przyjaciółki, znów wylazło, że baby ją nie bardzo lubiły. I w ogóle nie zwracał uwagi. Ale ma przecież oczy w głowie, bodaj po korytarzu z zamkniętymi nie chodził, no nie chodził, ale nie widział, żeby ktoś jej jakieś wizyty składał, nic z takich rzeczy, poza tym ona w sekretariacie urzędowała, a nie na korytarzu. Miał mnie

chyba po dziurki w nosie, bo w końcu wydusił z siebie, że jeśli ktokolwiek może o niej cokolwiek wiedzieć, to tylko taka jedna Zenia z księgowości. Nazwiska Zeni nie zna, mało ma do czynienia z księgowością bezpośrednio, on chemik, a nie administracja. No i w tym całym majdanie konkretów było tylko tyle. O żadnej Feli w życiu nie słyszał, poza utworem muzycznym: „Bujaj się, Fela, bo jutro niedziela”. Koniec streszczenia.

— Cholera — zmartwił się Bieżan. — Zenia to nie Fela. I jeśli Urszula pracowała jako sekretarka, a Borkowski się z nią ożenił, takie znajomości jak z denatką są raczej wątpliwe. Chyba to inna Ula...

Górski, kończąc kiełbasę, zamachał gwałtownie widelcem.

— Nie. To znaczy, tak. To znaczy, to nie tak. On wie coś więcej i prędzej umrze niż to wyzna. Z wierzchu był kulturalny, spokojny i zniesmaczony plotkami, a w środku wił się jak stado tych takich, jadowitych. Coś tam go gryzie po wąpłiach...

— Kochał się może w sekretarce, a szef mu ją sprzątnął przed nosa...?

— Chyba nie. Na moje oko, on jej nie lubił, a strasznie chciał być obiektywny. Co do Zeni, nie mam zdania.

Bieżan popadł w niewielką zadumę.

— Czyli mamy i romans. Związku z zabójstwem na razie nie widzę. Romans wyrwał się tej Młyniak. Dlaczego one obie łączą jak najęte...?

— Bo może to jednak Borkowska...? — podsunął Robert, przestawiając się na piwo.

— Właśnie dzisiaj doszedłem do wniosku, że nie. Tak mnie ta baba skołowała? Niemożliwe. Ale z drugiej strony nigdy jeszcze dotychczas nie mieliśmy prokuratora podejrzanego o zabójstwo... Za to śmierzdieć mi zaczyna Borkowski, chciał się pozbyć żony i potrzebny mu był pretekst, dyplomatycznie zorganizował całą aferę, a potem pozbył się także jedyne go świadka.

— Pytanie, czy rzeczywiście jedyne go... Złapałbym tę Zenię, na wszelki wypadek...

— A propos — przypomniał sobie Bieżan. — Jednego gościa w tym jej notesie nie było, a wedle wszelkich innych zeznań pracowali w tym samym pokoju. O żywej Borkowskiej mówię. Prokurator Jacek Żygoń, jeszcze go nie dopadłem, bo miał rozprawę w sądzie, a potem prawdopodobnie pętał się gdzieś po mieście, jego numeru komórki nikt nie znał...

Na to właśnie zadzwoniła komórka Bieżana.

Oficer dyżurny informował, że jakaś osoba, nazwiskiem Stefania Ciecianiak, powołując się na polecenie pana pułkownika Bieżana, zawiadomiła przez telefon, że ten łobuz wrócił. Niejaki Wyduj. Leży w domu strasznie pijany i dogadać się z nim nie da rady, ale ona dopilnuje, żeby po wytrzeźwieniu nie uciekł. To wszystko, rozłączyła się.

Gdyby nie Wyduj, Bieżan dłuższą chwilę musiałby sobie przypominać, kto to jest Stefania Ciecianiak, nazwisko konkubenta ofiary jednakże od razu wskazało na wścibską staruszkę. Wrócił cholernik, z tej podróży do ruskich i wreszcie go będzie można przesłuchać!

— Myślałem, że trochę pomieszkamy w domu, jak normalni ludzie — rzekł z westchnieniem, podnosząc się od stolika — ale chyba nic z tego. Mówi baba, że zalany w sarkofag, ale kto go tam wie. Bodaj spojrzeć trzeba...

Jedno spojrzenie wystarczyło. Żadna ludzka siła nie zdołałaby otrzeźwić owego Wyduja czy Wydoja przed dniem następnym, załatwiony był radykalnie. Staruszka Ciecianiak z triumfem wyznała, iż wyczatowała chwili jego powrotu na samym wstępie uszczęśliwiła go komunikatem o śmiertelnym zejściu ukochanej konkubiny. Wyduj zareagował prawidłowo, ruską wódkę przywiózł ze sobą i zużytkował ją od razu, nie starając się nawet o żadne towarzystwo. Do południa ręką nogą nie ruszył.

— Pewno głodny przyjechał — dołożyła konfidencjonalnie. — Bo to u tych ruskich podobnież żadnego żarcia nie ma. Nawet mu nie zdążyłam...

Urwała nagle. Bieżan tak był pewien, że nie zdążyła dać mu jakiegokolwiek zupy, względnie innego posiłku, że na te ostatnie słowa nie zwrócił prawie żadnej uwagi. Niepewny odporności Wyduja, na wszelki wypadek, załatwił mu obstawę od szóstej rano, po czym, wbrew pesymistycznym przewidywaniom, udało im się jednak podążyć do domu.

\* \* \*

Dzięki pośrednictwu Ani umówiłam się z prokuratorem Jackiem Żygoniem na późne popołudnie w kawiarni Na Rozdrożu, bo niepotrzebnie miałam zakodowane w pamięci, że kiedyś było tam łatwo parkować. Łatwość minęła jak sen jaki złoty, ale głupie złudzenia pozostały i pół godziny bez mała spędziłam na upychaniu samochodu w ścisłym tłoku. Żygoniowi poszło chyba sprawniej, bo już na mnie czekał.

Rozpoznaliśmy się wzajemnie. Okazało się, że widziałam go jakieś dziesięć lat temu, kiedy, świeżo po studiach, aplikował w prokuraturze, gdzie wykłócałam się o grupkę zbyt łagodnie potraktowanych bandziorów. Miał tak przeraźliwie czarne, południowo amerykańskie włosy, że łatwo go było zapamiętać, a ja, z racji kłótni, też zapewne wówczas rzucałam się w oczy. No i dobrze, znajomy człowiek poniekąd, kontakt nie sprawi trudności.

Od razu wyjawiałam przyczynę mojego zainteresowania, omal nie zostałam posądzona o dokonanie zabójstwa pod własnym domem, a skoro jestem niewinna, z pewnością okażę się też podejrzana, życzę sobie zatem dociec prawdy. W charakterze zwłok wystąpiły dwie Borkowskie, nic z tego nie rozumiem i chcę poznać obie. O ile wiem, co najmniej z jedną on miał do czynienia, a możliwe, że zna także i drugą.

Prokurator Żygoń zakłopotał się nieco, ale osoba Ani stanowiła coś w rodzaju klucza do sezamu tajemnic, nie zapał się zatem zadnymi łapami, że pierwsze słyszy. Owszem, przyznał, że trochę wie.

— Prawdę mówiąc — powiedział ze skruczą — sam w pierwszej chwili uwierzyłem, że Barbara popadła w jakiś taki rozrywkowy amok, może miała zły dzień albo prze-

ciwnie, szampański humor, no i straciła umiar. Jak mam nie wierzyć, jeśli cały personel knajpy mówi mi to samo? Każdemu się może zdarzyć... Dziwiło mnie tylko, że tak się przedstawiała na prawo i na lewo, co zupełnie do niej nie pasowało. Później dopiero, stopniowo, wyszło na jaw, że nic z tych rzeczy, ktoś jej świnię podkłada i psuje opinię, sama mnie prosiła, żeby jej pomóc i dojść sedna sprawy.

— I co pan wykrył? — spytałam chciwie. — Bo coś pan wykryć musiał. Macie w końcu większe możliwości niż ludzie innych zawodów.

— Musiał to być ktoś, kto o niej dużo wiedział i miał szansę widywać ją codziennie. Wie pani, ubranie. Ta rozbestwiona hurysa za każdym razem miała na sobie identyczną odzież jak Barbara, to właśnie było najbardziej mylące. Opis osoby zgadzał się ze szczegółami, ktoś musiał podglądać, w czym wychodzi z domu...

— I taka podobna do niej jak siostra-bliźniaczka?

— Nie, niekoniecznie. Tylko włosy. A rzecz w tym, że nie widział jej nikt osobiście znajomy, informacje były pośrednie. Pochodziły właściwie z tego operowania nazwiskiem, prokurator Borkowska, kostium, torebka, jakiś tam szaliczek w kropki, parę godzin wcześniej widzę ją w tym szaliczku w kropki, a w parę godzin później dowiaduję się, że Borkowska w szaliczku po pijanemu rozrabiała w knajpie. Przy czym dowiaduję się od naocznego świadka. Nie ja jeden, rzecz jasna, mnóstwo ludzi z sądu i z prokuratury miało taką samą przyjemność. No, ogólne oburzenie oczywiście...

— Z tego, co słyszałam, takie ekscesy wcale do niej nie pasowały — powiedziałam ostrożnie.

— Wcale — zgodził się chętnie prokurator Jacuś. — Toteż z początku myślałem, że to jakiś jeden wyskok, a potem zaczęło mnie dziwić. Na prośbę Baški pogadałem z ludźmi i w oczy zaczęło bić, że ktoś ją próbuje zniszczyć. Ale już przepadło, wyleciała z prokuratury, bo trudno w prasie ogłaszać, że jest nagonka, a de facto pani prokurator przedstawia sobą postać szlachetną. Nikt by nie uwierzył.

— Nawet przeciwnie, dopiero wtedy uwierzyliby granitowo w zeznaczenie — przyświadczyłam. — No dobrze, a ta druga? Dowiedział się pan czegoś o tej, symulantce? Dublerce?

Prokurator Jacuś westchnął smętnie.

— Postać dość znana w niektórych kręgach od paru lat, ale dopiero w ostatnich czasach zaczęła więcej rozrabiać i dopiero wtedy wszyscy usłyszeli, jak się nazywa. Co śmieszne, jej rzekome prokuratorstwo prawie wszyscy knajpiani kumple uważali za doskonały dowcip, gorszyli się tylko ludzie obcy, z innego środowiska. Ona zaś podwyższyła kategorię lokali. Ewidentnie celowe działanie, skierowane przeciwko Bašce.

— I po co jej to było?

— Nie mam pojęcia. Chyba ktoś chciał się pozbyć Baški z prokuratury. Może zemsta?

— A jak pan myśli, dlaczego ją zabił? I kto?

Żygoń mieszał kawę w filiżance i zastanawiał się, moim zdaniem, uczciwie.

— Gdyby kropnięto Baškę, szukałbym zdeklarowanego przestępcy, którego oskarżała skutecznie. Nie byłby to pierwszy taki wypadek i zapewne nie ostatni, jesteśmy na pierwszej linii frontu, bo od prokuratora zależy wszczęcie dochodzenia i nakaz aresztowania, a Barbara na żadne kombinacje nie szła. Istnieje jeszcze jedna możliwość...

Zawahał się i upił trochę tej kawy. Mogłabym chyba zgadnąć, co zaraz powie, ale wolałam sobie chwilę pomilczeć.

— Bo jeżeli brali jedną za drugą — rzekł wreszcie — istnieje możliwość, że sprawca się zwyczajnie pomylił. Ona podobno jechała do pani na wywiad?

Kiwnęłam głową z wielkim zadowoleniem, zgadłam bowiem bezbłędnie.

— Otóż to. Umówiona wcześniej. Wbrew mojej woli, ale to już bez znaczenia.

— Diabli wiedzą skąd dzwoniła, ale skoro starała się tak cholernie udawać Barbarę, prawdopodobnie z jakiegoś publicznego miejsca. Psychopata głupi uwierzył i skorzystał z okazji, przekonany, że to właśnie Barbarę załatwia. Idiotyczna sprawa, za całe Chiny nie wiadomo, kogo szukać, wroga Barbary czy wroga tej drugiej. Ale raczej wroga Barbary. Nie zazdroszczę gliniarzom.

— Ja też nie. Chętnie bym im pomogła i dlatego szarpie pazurami, kogo mogę, w tym pana. Poza tym, ostatecznie, w grę wchodzi mój śmietnik i moja wierzba, ani śmietnikowi, ani wierzbie wprawdzie nie zaszkodzi, ale mnie korci przeraźliwie. Powiem o tym mojemu prywatnemu komisarzowi.

Prokurator Jacuś spojrział na mnie z wielkim zainteresowaniem.

— Ma pani takiego?

— Mam. Sprzed pięciu albo sześciu lat. Obydwoje chcieliśmy wtedy ujawnić obrzydliwe przestępstwa na wysokim szczeblu, zaczynały się przekręty biznesmenów i dostojników, mafie rozkwitały, a może nawet wydawały owoce, mnie się nic nie stało, ale on poleciał i długo musiał swoje odpracowywać. Daliśmy spokój działaniom jawnym, bo już widać było, że trzeba podstępnie. Jak pan sam zapewne zauważył, jeden podporucznik i jedna ja, to trochę za mało na całe społeczeństwo.

Prokurator Jacuś doskonale rozumiał, co mówię.

— On już wrócił do siebie?

— Wrócił, i nawet o stopień wyżej.

— To niegłupi chłopak. Bardzo dobrze, niech mu pani powie. Ja mogę służyć sprawami, w których Barbara ostro się naraziła. Jeden się odgrażał jawnie i bezczelnie, ale on chyba jeszcze siedzi, co nie przeszkadza, że może mieć współników.

— Mógłby pan rzucić okiem na te papiery i własne wnioski wyciągnąć — podsunęłam zachęcająco. — A niezależnie od spraw służbowych, wie pan coś o jej życiu prywatnym?



— Której?

— Tej żywej.

— Niewiele. Na dogłębne zwierzenia mieliśmy raczej mało czasu, a Barbara nie bardzo wylewna. Mąż, dwoje dzieci, małżeństwo wydawało się szczęśliwe, egzystencja unormowana, dopiero pod sam koniec jakiś smród mi zaleciał, ale to mogło być naturalną konsekwencją plotek. Osobiście, jako mąż, stanąłbym po jej stronie, tak mi się przynajmniej wydaje, bo dziewczyna wartościowa i atrakcyjna, ale mam wrażenie, że tamten mąż odpuścił. Baśka przeżyła to w sobie, bez ujawniania. I tyle. Więcej nie wiem. No nie, owszem, ona nie cierpi czosnku, lubi deszczową pogodę, lubi czytać, nie lubi pedantycznego sprzątanía, nie reflektuje na podrywki, a na urlopie chętnie łowi ryby. Jak na kobietę, upodobanie dziwne. Ale to się chyba pani do niczego nie przyda?

— Poza kwestią stosunku do czosnku, który budzi we mnie zdecydowaną sympatię. Stosunek, nie czosnek. Chociaż wszyscy wiemy, że stanowi panaceum na wszelkie dolegliwości i powinno się go spożywać na jarzynę, ale czy naprawdę panaceum musi tak obrzydliwie śmierdzieć...?

— A gdyby tylko na noc...?

— A skąd, śmierdzi i nazajutrz! Człowiek tym przesiąka!

— To dlaczego Bułgarzy nie dożywają stu czterdziestu lat...?

Zanim się obejrzałam, nasza rozmowa przeszła w dyskusję o czosnku. Wyglądało na to, że Jacuś lubi czosnek, a Barbara ostro ograniczała to jego upodobanie, żądając, żeby w pracy nie śmierdział. Zaczęłam podejrzewać, że w zabójstwie Jacuś miał swój udział, ale przypomniałam sobie, że współużytkowniczkę pokoju i tak stracił, więc zrezygnowałam z podejrzeń. Nie o czosnek poszło.

— Dobra, niech będzie, niech pan rąbie ten czosnek nawet dniem i nocą, daj panu Boże zdrowie, nie będę się znęcać nad panem bez przerwy, ale co pan prywatnie o tym zabójstwie myśli?

— To już pani powiedziałem. Prokuraturze jeszcze tego nie przekazali, poza tym, i tak przekażą stołecznej, bo wiem, że robi to specjalista od zbrodni kameralnych, podinspektor Biezan...

— Też wiem — mruknęłam.

— ...ale sądzę, że nie przekażą, dopóki nie rozstrzygną podstawowego problemu. Która z nich miała tam leżeć, pod pani domem. Ze względu na motyw, Baśka jest mocno zagrożona, ale ja prywatnie w jej winę nie wierzę...

Tych cholernych prokuratorów trochę znałam, zatem też przestałam dopuszczać bezpośredni, a nawet pośredni, udział w zbrodni prawdziwej Borkowskiej. Coś musiało być z tą dublerką, która mnie się naraziła dźwiękami...

Odczepiłam się od Jacusia i wróciłam do domu, niewiele mądrzejsza niż przedtem.

Koło dziewiątej rano Bieżan dostał sygnał, że konkubent nieboszczki wraca do życia. Zamierzał wprawdzie trochę wnikliwiej spenetrować miejsce pracy byłego męża żywej Borkowskiej, ale uznał, że miejsce pracy nie ucieknie, a wiedza o denatce jest bezcenna.

Wbrew racjonalnej organizacji pracy i czasu pojechali tam razem, obaj, Edzio z Robertem.

Ówże Wiesław Wyduj prezentował sobą obraz nędzy i rozpacz. Kac monstrualny rozpościerał się w nim i nad nim, co Bieżana w najmniejszym stopniu nie zdziwiło, przeciwnie, spodziewał się zjawiska i, nie bacząc na koszty, przytomnie wziął ze sobą cztery butelki piwa i ćwiartkę wódki.

Razem z tym zaopatrzeniem został powitany jak anioł zbawienia. Przyjaźń od serca, można powiedzieć, stanęła u progu.

Bez najmniejszego nacisku, zawracany ku tematowi malutkimi pytankami tylko od czasu do czasu, nieszczęsny wdowiec wypłakał im się na łonie szczerymi łzami i równie szczerymi informacjami. Już z siedem lat najmarniej będzie, jak ten cud urody, ta bogini niebiańska, ta najwspanialsza kobieta na świecie, pozwoliła mu się poderwać, nie wiadomo dlaczego, bo cóż on, żyłasty, owszem, nie strachliwy, nie ubogi, z mieszkaniem, pracowity i kochający, ale żaden tam Apoloniusz z Belwederu, kozaki lepsze od niego trafiają się na każdym kroku, a tu ona, to bóstwo, przy nim została. Nic w nim widzieć nie mogła, nic kompletnie, a jednak! Po piętach ją całował i w oczy patrzył, gdyby miasto chciała podpalić, jeszcze by się o zapałki starał, i oto nie ma jej, nie ma, nie żyje...!

Kojąc gorzkie łzy to piwem, to wódką, oszczędzaną, bo cóż to jest ćwiartka, Bieżan o życie codzienne ją wypytywać, kwestię identyfikacji zwłok zostawiając na razie na uboczu.

— A tam, przyjaciółki, przyjaciółek to ona żadnych nie miała, za piękna była, baby to zawistne albo co, jedna tylko, ta Ulka, a i to się kryła i razem się z Felą nie chciała pokazywać, bo gdzie jej do Feli, barachło takie! Fela do filmu mogła iść, do telewizji albo co... I obiad ugotowała, i towarzystwo lubiła, i pograło się, potańczyło... Oprąła, obsprawiła... Drugiej takiej na świecie nie było, nie ma i nie będzie!

Co do oprania i obsprawienia Bieżan miał drobne wątpliwości, bo mieszkanie kliniczną czystością nie lśniło, delikwent zaś miał drobne braki w rozmaitych guzikach. A, nie, okazało się, że guziki należały do niego, Fela na drobiazgi nie zwracała uwagi, sam sobie przyszywał. Fela zajęcia miała różne, na mieście przeważnie, a w ubiorach grymasna i ciągle coś tam musiała kupować, no i dobrze, jak wielka dama wyglądała. O, proszę...

Tu podniósł z podłogi czarny żakiet, poniewierający się pod krzesłem, przytulił go do łona, po czym zaprezentował jako wytworny strój Feli. Żakiet był rzeczywiście ele-

gancki, ale z drobnym mankamentem, mianowicie na lewej klapie miał ogromną plamę, pochodzenia niewątpliwie spożywczego. Trochę wyglądało na lody. Jadła Fela te lody nieuważnie, a może ktoś ją w łokieć puknął i pożywienie wylądowało na szacie.

Wyduj kontynuował wylewne zeznania.

Basia, kazała do siebie mówić, a on ciągle się mylił, bo jako Felę ją poznał. Ta Ulka, to z dawniejszych czasów, ze szkoły jeszcze może, a Fela ambitna, do wieczorówki poszła... Co skończyła, to skończyła, jej rzecz, żadnej hołoty nie przyjmowała tu wszyscy dookoła jak te psy szczekają, u nich wyłącznie przyzwoite towarzystwo bywało!

A owszem, mówiła mu, tak jej się czasem na gadanie zebrało, jedną taką udawała, strasznie śmiesznie było, ta Ulka ją chyba namówiła, bo jakiś z telewizji chciał zobaczyć, co też ona potrafi, a Fela wszystko potrafiła. Nie, on nie zna Ulki, Ulka to Ulka, Urszula chyba, przez te wszystkie lata ledwo parę razy widział, bo się spotykały, jak go nie było. A kto tam o nazwisko pyta... Może i mówiła kiedyś, Bliźniak, Białasek, czy jakoś podobnie... Ostatnimi czasy Fela się złościła, zapowiadała, że zrobi, co jej się spodoba, a nikt tu jej nie będzie niczego zakazywał. Raz, dlaczego nie, wieczorem wrócił, a tu awantura była z tą Ulka, przyjaciółka jak z koziego ogona trąba, czepiała się czegoś, a Fela coś o szmalu wykrzykiwała, wyrolowała ją ta Ulka czy jak... Może forsę chciała...? Zamilkły zaraz, jak przyszedł, i adiu Fruziu, ale Fela coś gadała, że kto wlażł do żłobu, niech płaci. I już ona potrafi stołek spod tyłka głupiej freli wykopać. A w ogóle wesoła była taka, aż się koło niej świeciło, a że tam czasem parę słów jej się wyrwało, to i cóż takiego, ludzka rzecz. Wrogów Fela żadnych, ale to żadnych, nie miała, wszyscy ją lubili, tylko te ludzie tutaj trochę pyskowały, że hałas, jakie tam hałas, że się Fela czasami zabawić chciała, to i cóż takiego! Najlepsza żona w świecie, jak on będzie bez niej żył...!

— Ale tak przeważnie to ona dobra przyjaciółka była, ta Ula — rzekł znienacka skacowany Wyduj, siąkając nosem. — Dawała Feli pieniądze co i raz to, żeby sobie co kupiła albo co. Może i miały jakie interesy albo co? Albo chciała, żeby jej Fela za te pieniądze co zrobiła, albo co? Ja tam nie słuchałem, bo się Fela złościła, że się wtrącam. Albo co.

— No tak, przyjaciółki się chyba pokłóciły albo co — rzekł Górski, opuściwszy wreszcie zbolełego wdowca, któremu na pociechę została ostatnia butelka piwa oraz ściągnięty w trakcie przesłuchania sierżant Zabój, ktoś musiał bowiem dopilnować wizyty konkubenta w prosektorium. Pamiątkowy żakiet po Feli został zabrany od razu. — Ja już chyba w życiu nic innego nie powiem, jak tylko: albo co.

— To zamknij się na chwilę albo co — zaproponował Bieżan. — Muszę pomyśleć. Tobie by to też dobrze zrobiło.

Milczeli obaj przez całą drogę, aż do komendy. W swoim pokoju Bieżan sięgnął po akta sprawy.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedział z niezadowoleniem. — To znaczy, rozumiałbym wszystko, gdyby to nie było tak przeraźliwie głupie, że wręcz niemożliwe.

Najprostsze, co się nasuwało racjonalnie, to sąsiedzi, ktoś nie wytrzymał nocnych ryków i kropnął babę, ale już prawie wszyscy sprawdzeni i nikt nie pasuje. Poza tym, dlaczego akurat pod domem Chmielewskiej? Zadałby sobie tyle trudu, żeby ją śledzić...?

— Alternatywnie wychodzi, że tym sposobem chcieli wykończyć Borkowską — podjął Górski. — Ale kto? Ta Ula Biedulka czy jak jej tam...?

— Toteż dlatego to jest takie głupie. Nie żadna Biedulka, tylko Bielka, w aktach ją mamy, była sekretarka, Urszula Bielka, poślubiła Borkowskiego, chyba o nią chodzi. Trzeba czytać akta.

— Widziałeś ją — przypomniał Górski, który raz był ze zwierchnikiem na „ty”, a raz na „pan”. — Pasuje?

Bieżan pokręcił głową.

— Nijak. Nawet jeśli jest to cicha woda nad żmijowiskiem, poziom nie ten, do rynsztoka jej za daleko. Gdzie Borkowskiemu do Wyduja...?!

— Ale aż taka zbieżność nazwisk? — skrzywił się Górski.

— Po tych Borkowskich nic mnie już nie zdziwi. Załóżmy, że to nie ona, to znaczy nie druga żona Borkowskiego, tylko jakaś tam Białasek. I Kordula, na przykład, a nie Urszula. Albo, o...! Eulalia. Umysłowością zbliżona do Feli i Wyduja. I co, taką intrygę sobie wykombinowała?

— Możliwe, że ktoś nią kierował — podsunął Robert z zapalem.

— Czyli ciągle to samo, nie wroga Feli musimy szukać, tylko wroga Borkowskiej. Jasne już przecież, że to ta Fela przedstawienia robiła, i wychodzi mi, że na czyjeś zlecenie...

— A Ula pośredniczyła...

— Ale nawet jeśli nie, jest jedyną osobą, która może więcej wiedzieć. Z McDonald'sa wynika, że ją powstrzymywała, tę wesolutką Felę. Powiedzmy: zleceniodawca chciał skończyć akcję, a Feli się zabawa spodobała i szła na całego, ku rozpaczy przyjaciółki. Spotykały się ukradkiem...

— I ciekawe dlaczego, bo znały się od dawna. Nauczycielka je razem widziała, prowadziły się wtedy jawnie. I potem co, wróg Borkowskiej kazał im zerwać znajomość? I jeszcze coś...

— No? — pogonił Bieżan, bo Robert zamilkł na chwilę.

— To chyba bez sensu — bąknął wreszcie z lekkim zakłopotaniem. — W oczach mi stoją zdjęcia i akta. Ten żakiet... W spodniach była i w jedwabnej bluzce, październik jest teraz, nie lipiec, ja nie dom mody, ale żakiet do tego aż się prosi. Właśnie tamten. Dlaczego go nie włożyła?

— Bo miał plamę.

— To po cholere taki strój wybrała, żeby kompletu na sobie nie mieć?

— Przecież ci tłumaczę, że to jest bezdenne kretynstwo — rzekł Bieżan cierpliwie. — A co do żakietu, masz rację, do laboratorium już poszedł, coś nam o nim powiedzą. Zaraz. Zadzwoń do Zabója, niech go odwiezie do domu, niech mu nie wzbrania tej ruskiej wódki i niech powęszy za kluczami, czy tam gdzie nie leżą. I broń palna. Dośle mu się nakaz przeszukania, ale lepiej, żeby zaczął od razu, póki Wyduj nie do życia.

W ciągu pięciu minut Górski załatwił sprawę sierżanta i nakazu, po czym wrócił do tematu.

— A ta Ula... — zaczął z niesmakiem.

— Pozbądźmy się jednej — podchwycił Bieżan. — Trzeci wątek, romans Borkowskiego z sekretarką, obecnie drugą żoną. A przyjaciółką drugiej żony jest podobno Zenia z księgowości...

— Z czego wynika, że nie ma siły, trzeba zebrać plotki z pracy?

— I pogadać z Borkowskimi. Ale nie razem. Oddzielnie. Jeszcze wcześniej, Borkowski w robocie, żona, być może, w domu obiad gotuje. Idę do niej, a ty leć do jego instytucji i szukaj Zeni z księgowości...

\* \* \*

Przed moją furtką zatrzymała się jakaś nieznajoma facetka. Widziałam ją doskonale, bo akurat robiłam sobie w kuchni herbatę i czekałam, aż mi się woda zagotuje. Facetka popatrzyła na dom, a potem rozejrzała się z uwagą po okolicy, najdłuższe spojrzenie poświęcając wierzbie. Następnie zadzwoniła.

Nie wyglądała na brutalnego złoczyńcę, zatem wpuściłam ją od razu, z niepokojem usiłując sobie przypomnieć, czy przypadkiem nie byłam umówiona na jakiś kolejny wywiad. Nie, chyba nie, bo nic i mnie nie gryzło w głębi duszy.

Facetka zatrzymała się przed progiem. Otworzyłam drzwi.

— Słucham panią...?

— Nazywam się Barbara Borkowska — powiedziała spokojnie. — Czy nic pani to nie mówi? Podobno zostałam zamordowana gdzieś pod pani ogrodzeniem.

— Aaa...! — ucieszyłam się. — Owszem, tam, pod wierzbą. Proszę bardzo!

Bez względu na cel, jej wizyta sama w sobie stanowiła sensację, rzadko się zdarza, żeby człowieka odwiedzały ofiary zbrodni. Pomyślałam, że Martusia nie odżałuje swojej nieobecności, ale nie mogłam przecież prosić denatki o zaczekanie przez kilka godzin. Zaprosiłam ją do wnętrza, zainteresowana niebotycznie.

— Mogę się od pani czegoś dowiedzieć? — spytała, siadając przy stole. — O ile wiem, jestem podejrzana o popełnienie tego zabójstwa i chciałabym jakoś zrozumieć sytuację. Pomoże mi pani?

— Z największą przyjemnością — odparłam bez namysłu. — I wzajemnie, bo łatwo chyba odgadnąć, że zwłoki przed domem to nie jest coś, co już nazajutrz umyka z pamięci. Co pani chce wiedzieć?

— Ona do pani dzwoniła z prośbą o wywiad?

— Dzwoniła.

— I co mówiła?

— Głupio mówiła — skrytykowałam i sięgnęłam na półeczkę po papierosy. — Spytałam, oczywiście, na jaki temat to ma być, najpierw powiedziała, że o pisaniu książek, co z miejsca wywołało mój protest, potem, że o telewizji, co ów protest wydatnie zwiększyło, wreszcie, że o kryminałach, dzięki czemu uzyskała moją bardzo stanowczą odpowiedź odmowną. Nie przyjęła jej do wiadomości i dalej wygadywała brednie, upierając się, że przyjdzie i z pewnością mnie namówi, bo jej bardzo zależy, a tak naprawdę chodzi o przestępców. Ustaliła dzień i godzinę, zapowiadając zarazem przybycie fotoreportera, i na tym się nasza uroczą pogawędka skończyła.

Siedząca naprzeciwko mnie Barbara Borkowska wzdrygnęła się lekko, co nie zdziwiło mnie wcale. Ostatecznie, natrętna kretyńka występowała w jej imieniu! Za to jakiś kawałek mojej podświadomości zastanowił się, dlaczego siedzimy przy stole, jakbyśmy zamierzały zjeść obiad, a nie normalnie, na kanapie i w fotelu, przy małym stoliku. Z pośpiechu usadziłam ją tam, gdzie było najbliżej...?

Nie zmieniałam już tej konfiguracji w obawie, że spłoszę rozmówczynię.

— Potworne — powiedziała Borkowska. — I przedstawiła się jako ja?

— Owszem. Imieniem i nazwiskiem.

— Jak zwykle. Ale przecież... Czy ona tu przyszła piechotą?

— Nic z tych rzeczy, przyjechała samochodem, o czym poinformował pies policyjny, więc wiadomość jest pewna. Dlaczego pani tego nie wie? Przecież musieli już panią przesłuchiwać?

Borkowska pokręciła głową.

— Podejrzanemu nie mówi się niczego. Przesłuchiwali mnie pozornie jako świadka, de facto jako podejrzaną. Sama bym też nie powiedziała, gdybym prowadziła tę sprawę, z reguły należy unikać dostarczania podejrzanemu najdrobniejszej nawet wiedzy, bo jeśli okaże się, że coś wie, musi powiedzieć skąd. Bywa, że przez taką drobnostkę całe dochodzenie zmienia kierunek. Ale, już pani mówiłam, chcę to wszystko zrozumieć. Nie przyjechała sama, bo po jej śmierci samochód by został. Kto ją przywiózł?

— Nie wiem.

— Przecież to było przed pani oknami!

— Zgadza się. Ale ja się znajdowałam z innej strony domu. W ogóle nie widziałam ulicy, żywopłoty zasłaniają.

Patrzyła na mnie przez chwilę, zapewne badając moją prawdomówność.

— I nikt inny...? To niemożliwe, żeby nikt nic nie widział!

— Nie, aż tak źle nie jest — pocieszyłam ją i opowiedziałam wszystko o sąsiadce z iglaczkami i samochodzie z blondynką. Borkowska słuchała uważnie, marszcząc brwi.



Przyglądałam się jej wzajemnie. Ależ to była piękna kobieta! Efektowna kolorystycznie, z wyrazistą twarzą, z tymi wspaniałymi, miedzianymi włosami... Można było podrobić się pod nią, wykorzystując same barwy, ta jej kompromitująca dublerka miała ułatwione zadanie. Pytanie samo wybiegło mi na usta.

— Kim ona była właściwie dla pani, ta nieboszczka spod mojej wierzby, ten pani wybrakowany sobowtór...?

— Nie mam pojęcia — odparła ponuro, ale bez oporu. — Dla mnie w ogóle nikim. Nigdy się z nią osobiście nie zetknęłam, słyszałam o niej jako o sobie. Widziałam ją na zdjęciu i możliwe, że rozmawiałam z nią przez telefon. Sądzę, że policja wie już więcej?

— Nawet i ja wiem więcej — wyznałam beztrudno — chociaż moja wiedza jest dość monotonna i polega głównie na wrażeniach akustycznych. Zaraz, nie będziemy siedziały tak na sucho, kawy, herbaty, wina, piwa...?

— Jestem samochodem. Kawy, jeśli można...

Wreszcie ten stół zyskał jakiś sens. Przekazując jej wszystkie posiadane informacje, pomyślałam, że właśnie popełniam głupotę, ona wysłucha, podziękuję i pójdzie, a ja się niczego nie dowiem. Do bani takie osiągnięcie! Ostatecznie, o całej aferze dowiedziała się znacznie wcześniej niż ja i siłą rzeczy jakiś pogląd na nią musiała sobie wyrobić. Niechże, do licha, też coś powie!

— Istnieją trzy możliwości, a przynajmniej ja tyle widzę — spróbowałam ją podpuścić bezlitośnie. — Pierwsza, zabiłam ją ja, żeby się pozbyć natrętnej dziennikarki. Druga, zabiła ją pani, żeby zakończyć wreszcie wrogą akcję. Trzecia, zabił ją ktoś, kto myślał, że zabija panią, ewentualnie miał nadzieję, że na panią padnie, w każdym razie ktoś postronny. Mnie, chwalić Boga, wykluczono na samym wstępie...

Przerwała mi.

— Kiedy, dlaczego i jakim sposobem panią wykluczono?

— Zrobili porządną wizję lokalną. Kierunek strzału, musiałabym wylecieć z domu na środek ulicy, przepuścić ją przed sobą i rąbnąć. Sytuacja nie do przyjęcia, jakieś niezwykle wysiłki byłyby potrzebne, żeby ją stworzyć, szczególnie że zazębiłaby się z obecnością samochodu z kierowcą wewnątrz. Przecież ona nie stała tam jak pień i nie czekała, aż samochód zniknie jej w oddali, tu jest prosta droga i wszystko widać. Ponadto pies powiedział, że na środku ulicy ostatnio mnie w ogóle nie było, co jest faktem, zazwyczaj z domu wyjeżdżam samochodem. Świadcstwo psa przesądziło sprawę. Ponadto nie mam i nigdy nie miałam broni palnej, ani długiej, ani krótkiej. Pomijam już to, że gdybym miała długą, ofiara już dawno zeszyłaby z tego świata, bo gruchnęłabym jej w okno dawnymi czasy.

Borkowska kiwała głową i podjęła wątek.

— Odpadam również, bo byłam w Kołobrzegu. Ale mogłam kogoś wynająć i za chwilę to rozwinę, bo tu się mieści moje zmartwienie. Trzecia możliwość pozostaje,

gruntownie wprowadzony w błąd zabójca, być może świadek telefonu do pani, przyjechał wcześniej, zjechał w ukryciu i strzelił. Miejsc do ukrywania się jest tu dosyć dużo. Ale tej wersji przeczy to, co pani już powiedziała. Co z kierowcą? Gdyby przyszła piechotę, sama...

— Piechoty niech się pani wyrzeknie bezpowrotnie — przerwałam jej od razu. — W powietrze nie pofrunęła, a ja wierzę psu.

— Ja też. Ale, przepraszam panią bardzo, obie mówimy głupstwa. Skoro została przywieziona samochodem, a co do tego właśnie chciałam się upewnić, jako zabójca w grę wchodzi wyłącznie kierowca tego samochodu i nikt inny...

Zanim powiedziała następne słowo, zdążyłam pomyśleć mnóstwo rzeczy. Niewinny, przypadkowy świadek, dawno by się zgłosił. Nic podobnego, siedziałby jak mysz pod miotłą w obawie, że na niego padnie. Bzdura, zareagowałby już w pierwszej sekundzie, odruchowo, nawet gdyby to był ktoś obcy. Pasażerka mu wysiada, słysząc huk, baba leci na ziemię, a on co? Spokojnie odjeżdża? Do diabła z hukiem, leci bez huku, może atak serca albo epilepsja... Nie ma siły, bodaj by mu noga drgnęła na pedale!

— ...Pytanie, kto był tym kierowcą — mówiła dalej Borkowska. — Ten zabójca, wynajęty przeze mnie, czy ów ktoś postronny, o kim nic nie wiemy. Denatka, zważywszy jej dużą aktywność, mogła się narazić nie tylko mnie, także wielu innym osobom...

— Sąsiadom — mruknęłam. — Ale to nie o tej porze roku. Zabiliby ją późną wiosną, nie zaś wczesną jesienią. Ludzie nie są aż tak pamiętliwi i pracowici.

— ...I dlatego tak bardzo chciałabym wiedzieć, kto tam siedział przy kierownicy. Bez rozstrzygnięcia tej kwestii do końca życia będą na mnie ciążyły podejrzenia.

Teraz ja pokiwałam głową. Miała rację. Że też sąsiadka nie zdążyła wyskoczyć z domu...!

— Blondynka... — zastanowiłam się. — No, czy ja wiem, dowcipy dowcipami, ale chyba niemożliwe, żeby nawet najgłupsza blondynka świata... Nie, co ja mówię! Facet w peruce... Idiotyzm, przecież ona razem z tym kimś jechała, wspólnie uzgodnili, że on będzie udawał blondynkę...?! I na co to komu?

— Zadanie dla policji — powiedziała gniewnie Borkowska. — Zbadać wcześniejsze poczynania ofiary, co robiła, z kim wsiadła do samochodu... Raczej beznadziejne. Ale osobiście mam pewne podejrzenia, które wydają mi się tak pozbawione sensu, że sama nie wiem, co z nimi zrobić. Wręcz głupio mi sprecyzować je słowami. Nie, to po prostu niemożliwe.

— Nie szkodzi, niech pani powie. Jeśli istotnie nie ma w nich sensu, będę milczeć jak głaz.

Wahała się, konkretne wyrazy, najwyraźniej w świecie, nie chciały jej przejść przez usta.

— Nie, to z mojej strony może tendencyjne... W każdym razie odpada także pomyłka co do osoby, skoro ten ktoś z nią jechał, wiedział chyba, kogo wiezie. Widział ją z bliska, rozmawiał z nią. A jeśli czyhał na mnie, musiał mnie znać...

— Wiedział doskonale, że ona to nie pani, i kropnął ją specjalnie w takich okolicznościach, żeby padło na panią — zawyrokowałam. — Miało to być ukoronowanie całej poprzedniej nagonki. Co pani na to?

Borkowska się nieco zirytowała.

— Ależ ja się z tym zgadzam! Miało paść na mnie czy miał mnie w nosie i chciał się pozbyć jej, to już wszystko jedno, może ubijał dwie zwierzyny jednym strzałem. Kto to był?!

— Albo pani wróg, albo jej, więc wcale nie wszystko jedno.

— Nie jechałaby chyba z własnym wrogiem? Zatem mój...

— Ma pani jakiegoś? — zainteresowałam się gwałtownie. — Wie pani coś, podejrzewa...?

Borkowska znów się zaczęła wahać, a mnie powolutku drobne ziarenka kiełkowały w umyśle.

— Miałam, jak sędzę, ale to już przeszłość — wyznała wreszcie z trudem. — Nasuwa mi się coś nie do pojęcia... Muszę to przemyśleć. Zaraz, wróćmy jeszcze, trzykrotnie powiedziała pani coś dziwnego, o znajomości akustycznej, o sąsiadach, o strzelaniu w okno... Co to znaczyło? Nie rozumiem.

— Ładne parę lat mieszkałam naprzeciwko niej — wyznałam zarazem ponuro i z ulgą. — Po drugiej stronie podwórza. Ona zaś nocami lubiła uprawiać coś, co niektórzy uważają za muzykę...

Jej pytające spojrzenie miało tak potężny nacisk, że z rozpędu opowiedziałam obszernie o przeżyciach zarówno własnych, jak i sąsiadów, nie kryjąc nawet ówczesnie jawiących się podejrzeń, jakoby w dawnym komisariacie młoda dama miała znajomego, być może wielbiciela, który uprzedzał ją o wizycie radiowozu, żeby zdążyła stłumić orgię dźwięków. Borkowska słuchała tak, jakbym wydawała z siebie co najmniej pienia niebiańskie.

— I gdzie to było? — spytała wręcz zachłannie. — Gdzie pani mieszkała?

Nie widziałam żadnej tajemnicy w moim poprzednim miejscu zamieszkania. Wyjawiłam jej adres.

— Czy tam było... Jak by tu powiedzieć... Czy tam było kilka wejść?

— Tam były same wejścia. Z czterech stron świata. Moment... Dobrze mówię, z czterech. Gdyby ktoś chciał, na przykład, uciekać, mógłby... sekundę, niech policzę... lecieć co najmniej w sześciu kierunkach. Niekiedy żałowałam, że nie jestem złoczyńcą, bo miejsce się, można powiedzieć, marnowało.

Borkowskiej roziskrzyły się oczy, a kielki z moich ziarenek gwałtownie podrosły. Ta baba wiedziała coś, o czym nie chciała jednego słowa powiedzieć, a miejsce zamieszkania ofiary miało z tym dużo wspólnego. Co się tam działo, do licha, mieszkałam naprzeciwko i nic nie widziałam?

— Rozważmy te wersje — zaproponowała żywo. — Wynając zabójcę może każdy, ale to wcale nie jest łatwe. Zawodowy kosztuje bardzo drogo, a niezawodowy od razu przestacza się w szantażystę, co nawet najgłupsza gęś potrafi zrozumieć. Założmy jednak, że zapożyczyłam się i wynajęłam. Musiałby to być ktoś, kto nawiązałby z nią znajomość dostatecznie bliski, żeby z nim jechała...

— Wcale nie! — zaprzeczyłam z energią. — Mogła o nim pojęcia nie mieć. Początkowo na nią trochę, podsłuchał, że umawia się ze mną, upilnował ją na ulicy, zatrzymał się, zaproponował przypadkowe podwiezienie. Podrywacz. Głowę daję, że wsiadłaby z radością!

— No, możliwe — zgodziła się Borkowska z lekkim wahaniem. — Tak, to mnie gubi...

— Szkopuł w tym — ciągnęłam dalej — że tu była blondynka. Kobieta w charakterze podrywacza raczej wykluczam, a facet w blond peruce wzbudziłby chyba pewną nieufność. Wynajęła pani blondynkę?

Borkowska zachowała zimną krew.

— Prawdziwych zawodowych zabójców jest u nas w ogóle bardzo mało, a o kobiecie w tej roli dotychczas nie słyszałam. Odpada. Pytanie, czy samochód z blondynką był jedynym samochodem w tej okolicy w określonym czasie? Przecież mógł przejeżdżać ktoś zupełnie inny...

— Pani też wierzy, że one wszystkie są takie przeraźliwie głupie? — zgorzyłam się. — Zwracam pani uwagę, że ja jestem z natury najprawdziwszą blondynką, a osiwiłam dopiero parę lat temu. Robię wrażenie dennej idiotki?

Borkowska z grzeczności wręcz się przeraziła i zaczęła mnie gorąco zapewniać, że dowcipów nie traktuje poważnie, osobiście zna policjantów z wyższym wykształceniem i Żydów, którzy nie cierpią śledzi, chociaż więcej zna takich, którzy nie cierpią interesów, bo śledzie na ogół lubią wszyscy, bez względu na religię. Nie wierzy także w złotą rybkę i arcyksięcia w Sarajewie. Odczepmy się od blondynki jako takiej i przyjmijmy, że iglaki sąsiadki przejechał samochód z kierowcą w postaci silnego bruneta, poza tym, osoba mogła być utleniona...

— No więc ten drugi samochód albo widziałby scenę zabójstwa, wjeżdżając w tę ulicę, albo przeoczyłby zwłoki pod wierzbą, po scenie — zaopiniowałam stanowczo. — Niewiele jest istot ludzkich, które nie zareagowałyby na leżącą kobietę, wyglądającą przyzwoicie, a nawet elegancko. Faceta, to jeszcze, bo może pijany, ale pijanych bab poniewiera się ilość nikła. W każdym wypadku ten drugi samochód coś by zrobił.

— Czas! — poprosiła rozpaczliwie. — Niech pani sprecyzuje czas możliwie dokładnie!

Wyłącznie z dobrego serca nie postawiłam warunku, że ja sprecyzuję, a ona powie, co wie. No, może też trochę na skutek życzeń Martusi, która jej współczuła i nie chciała, żeby ją złapali.

— Dostrzeżona została o siedemnastej czterdzieści dwie. Nie było jej jeszcze o piętnastej dwanaście, co stwierdza mój siostrzeniec, wpatrzony w chwili odjazdu w zegarek, bo był umówiony gdzieś tam o piętnastej trzydzieści. Sąsiadka upiera się, że iglaczki zniweczono jej około siedemnastej, może nawet odrobinę przed. Zaraz, moment, ona operuje światłem i ciemnością, sprawdźmy, o której zaszło słońce... Chwyciłam kalendarzyk.

— Około siedemnastej. Zgadza się. Ona jeszcze wszystko doskonale widziała, gdyby nic nie zasłaniało jej horyzontu, widziałaby i resztkę słońca, zatem ja bym przyjęła szesnastą pięćdziesiąt pięć. Mówi, że strzeliło z rury wydechowej, znaczy, denatka padła o szesnastej pięćdziesiąt pięć. Ma pani dokładność idealną. I co?

— I nikt tędy nie jechał aż do siedemnastej czterdzieści dwie?

Zastanowiłam się.

— Trzy kwadranse. W grę wchodzi tylko jeden dom. Ci z jednej strony do mnie nie docierają, ci z drugiej też nie, przez ten chwilowy wykop. Pies z kulawą nogą mógł się tu nie płatać przez trzy kwadranse, szczególnie że ludzie dopiero zaczynali wracać z pracy. Owszem, mogła sobie leżeć spokojnie przez trzy kwadranse. I jeśli w tym czasie pojawił się jakiś przypadkowy samochód, nie ma siły, musiał ją dostrzec. Chyba że miał za kierownicą ślepego kretyna, ale przy prawach jazdy badają wzrok...

Borkowska najwyraźniej w świecie łamała się w sobie. Nabrałam nadziei, że jakieś tajemnice z siebie wydusi.

— Blondynka — powiedziała jakimś takim martwym głosem. — Nie, to niemożliwe. A nawet jeśli możliwe, nieprawdopodobne. Nie do pojęcia... Nic ale to absolutnie nic z tego nie rozumiem.

— Proponuję, żeby pani powiedziała, czego pani nie rozumie — rzekłam suchym i surowym tonem — Nie latam po mieście, rozgłaszając wszystko co od kogokolwiek usłyszę, brakuje mi czasu na takie ekscesy. Siedzi tu pani i bije się z myślami, może przyda się pani parę dodatkowych, cudzych, szarych komórek. Starsza jestem od pani i miałam czas poznać życie. Wał, dziewczyno, całą prawdę!

No i Barbara Borkowska powiedziała mi całą prawdę.

\* \* \*

Zadzwoniwszy do właściwych drzwi, Bieżan ujrzał przed sobą znaną mu już, niemrawą blondynkę, drugą żonę Stefana Borkowskiego. Bez najmniejszego oporu został wpuszczony do mieszkania, gdzie unosił się leciutki zapach cebulki, świadczący niewąt-

pliwie o przyrządzaniu posiłku. Urszula Borkowska nie wydawała się jednak zbyt zajęta, spokojnie usiadła w pokoju, nie rzucając nawet okiem w kierunku kuchni.

Bieżan zdecydował się przystąpić do sprawy wprost.

— Czy znała pani Balbinę Felicję Borkowską?

Po bardzo długiej chwili, poświęconej przez drugą żonę wpatrywaniu się w okno nieruchomym wzrokiem, w odpowiedzi padło pytanie:

— Którą?

— A było ich więcej niż jedna? — zdziwił się Bieżan.

— Nie wiem — odparła Urszula Borkowska po nieco krótszej chwili.

Bieżan z miejsca zyskał pewność, że z tej baby wszystko będzie musiał wyrąbywać toporem. Nastawił się na katorżniczą pracę.

— Zatem, czy znała pani Balbinę Felicję Borkowską, zabitą przed tygodniem?

— Nie.

— A jakąś inną Balbinę Felicję Borkowską?

— Nie.

— No dobrze. Gdzie pani była w środę, drugiego października bieżącego roku, w godzinach między piętnastą a osiemną?

— Nie wiem.

— A może zechce pani to sobie przypomnieć?

Milczenie zapadło takie, że wręcz można je było nożem krajać. Po trzydziestu sekundach Bieżan zorientował się, że, o ile sam go nie przerwie, będzie trwało wiecznie. Ta baba się nie odezwie, bo też istotnie, każda odpowiedź na jego pytanie miałaby jakieś konsekwencje. No to niechby miała, do licha!

— Zechce pani czy nie zechce?

— Co?

Chęć potrząśnięcia rozmówczynią tak, żeby jej łeb odleciał, zaczęła rosnąć w Bieżanie ze straszliwą mocą. Opanował się jakoś, oderwał wzrok od jej twarzy i nagle dostrzegł ręce. Dłonie, splecione na kolanach i częściowo ukryte pod blatem stołu, zacisnięte były z całej siły, aż zbieleły ich wszystkie kostki. Zrozumiał. Ta kobieta trwała w stanie przeraźliwego napięcia, miała w sobie jakiś ciasno związany supeł, nie lęk, ale jakby okropną determinację, upór, może przy tym oczekiwanie na cios, i nic z tego nie chciała okazać.

— Pytam, gdzie pani była w środę, drugiego października, i proszę, żeby zechciała pani to sobie przypomnieć.

— Nie wiem.

— Nie pamięta pani?

— Nie.

— Prowadzi pani bardzo ruchliwy tryb życia?



- Nie.
- Ma pani prawo jazdy?
- Tak.
- Jeździ pani samochodem?
- Tak.
- Często?
- Nie.

Bieżan uświadomił sobie, że szaleńcza rozmowność tej całej Urszuli zaczyna rzutować i na niego, niewiele mu brakuje do pogawędki monosylabami. Ponadto każda odpowiedź na pytanie pada z opóźnieniem, po chwileczce ciszy. Dopiero teraz jął nabierać rzetelnych podejrzeń, bo dotychczas udział drugiej żony Borkowskiego w tej całej aferze wydawał mu się pozbawiony sensu i wysoce wątpliwy. Ale niemożliwe przecież, żeby osoba normalna i całkowicie niewinna zachowywała się podobnie! Cóż ta kobieta usiłuje ukryć z tak potwornym wysiłkiem?

Mignęła mu myśl o Borkowskim, do tej pory brany pod uwagę raczej dość delikatnie.

- A gdzie był wówczas pani mąż?
- Kiedy?
- W środę, drugiego października.

Tym razem odpowiedź padła natychmiast, bez najmniejszego wahania.

- W Szwecji.
- A teraz gdzie jest?
- W Szwecji.

— Rozmawiałem z nim czwartego, w piątek. Wrócił z tej Szwecji i znów tam pojechał?

- Tak.
- Kiedy? Dokładnie proszę. Kiedy wrócił?
- W czwartek wieczorem.
- A kiedy znów pojechał?
- W niedzielę wieczorem.
- I kiedy wraca?
- Za tydzień. On bardzo często lata do Szwecji.

Tak niesłychanie długie zdanie Urszula Borkowska wypowiedziała pierwszy raz. Najwidoczniej temat wydawał jej się bezpieczny i chciała się go trzymać. Myśl o Borkowskim, jako sprawcy, prawie zdechła Bieżanowi własną śmiercią.

— Mąż pani wrócił zza granicy w czwartek, a pani nie wie, co pani robiła poprzedniego dnia? Może jakieś przygotowania, zakupy...?

Na Urszulę Borkowską znów spadła niemota.

— Tak — zgodziła się po długiej chwili.

— Co, tak?

— Zakupy.

— Gdzie?

— Nie wiem.

— W jakichś sklepach może...?

— Tak.

— W jakich?

— Nie pamiętam.

Cierpliwość Bieżana ledwo się już trzymała na ostatnich nogach. Urszula Borkowska szła w zaparte, to było widać. Postanowiła sobie nikogo nie znać, niczego nie wiedzieć i cierpieć na amnezję, nie bacząc, iż tym sposobem budzi wszelkie możliwe podejrzenia. Zdecydował się ją postraszyć.

— No dobrze. Skoro nie chce pani rozmawiać u siebie, być może zechce pani na komendzie. Myślałem, że pogadamy w przyjemniejszych warunkach, ale jeśli woli pani wezwanie, proszę bardzo. Proszę trochę wysilić pamięć i przypomnieć sobie własnych znajomych i własne czyny, bo inaczej zmusi nas pani do szerszego dochodzenia. W grę wchodzi zabójstwo i żadnych niejasności nie można tu zostawiać. Do zobaczenia.

Podniósł się i Urszula Borkowska też się podniosła, rozplatając dłonie.

— W Geancie — powiedziała z trudem.

— Co w Geancie?

— Zakupy.

— No widzi pani, jednak można sobie coś przypomnieć. Po południu pani te zakupy robiła?

— Tak.

— Spotkała pani kogoś znajomego?

— Nie.

— Zostawiła pani sobie może rachunek? Czasem się takie kwitki chowa do kieszeni i zapomina wyrzucić...

— Nie.

— Szkoda. I z Felą się pani nie widziała?

— Nie.

— Do następnego spotkania zatem...

Opuściwszy rekordowo gadatliwą panią domu, Bieżan otarł pot z czoła. Czuł się mniej więcej tak, jakby wyrąbał ręcznie ze dwie tony węgla na przodku. Był już zupełnie pewien, że mu ta baba łąze aż ziemia jęczy, każdym słowem, no nie, nie każdym, o mężu powiedziała prawdę, rzeczywiście musiał siedzieć w tej Szwecji, ale na pytanie o Felę nie miała prawa zwyczajnie zaprzeczyć, powinna była spytać, o jaką Felę chodzi.

Czyli nie dość, że łże bezczelnie, to jeszcze i głupio. Borkowskiego za tydzień trzeba będzie uchwycić na lotnisku, zanim żona zdąży się z nim porozumieć, chociaż czy taka ostrożność ma sens, istnieją przecież telefony, połączeń komórkowych tak łatwo nie wyłapie...

Wyczerpany tą górniczą pracą, Biezan wrócił do komendy, gdzie rychło doczekał się Górskiego. Znow Robert przyleciał pełen emocji i osiągnięć, najwyraźniej w świecie trafił w całej sprawie na łatwiejszych rozmówców. Miał szczęście.

— Zaprosiłem tę Zenię na kawę! — oznajmił z triumfem.

W znękanym wzroku jego zwierzchnika pojawiła się iskierka ożywienia.

— To znaczy — poprawił się Robert uczciwie — to był tort ze słodkim wermutem. Jeszcze mnie trochę mdli, ale ogólnie ja słodczyce lubię. Tylko ten wermut nie tego, wołałbym jednak czystą wódkę.

— Do tortu nie idzie — zwrócił mu uwagę Biezan. — Mów od razu, co ci wyszło z tych słodczych, a potem sobie przesłuchasz zeznania drugiej żony. Ja tego powtarzał nie będę, nie mam siły.

Wyrzebuując magnetofon z kieszeni, Robert z zapałem rozpoczął relację.

Odnalazł tę Zenię bez najmniejszego trudu, symulując zainteresowania prywatne, bo w pierwszej kolejności musiał się przebić przez sekretariat. Operatywna dama-sekretarka sama wydzwoniła z pokoju Zenię Wiśniewską, co nie było dla Roberta najlepszym pomysłem świata, zważywszy fakt, iż obydwójce z Zenią pierwszy raz w życiu mieli się widzieć się na oczy. Trudno w takiej sytuacji udawać amanta. Zdołał jednak jakoś wybrnąć z kłopotu, przy okazji budząc w Zeni zwiększone zainteresowanie.

Dopiero przy tym torcie z wermutem wyjawił jej prawdę. Trochę ją zmroziło, ale ładna dziewczyna i przystojny chłopak prawie zawsze znajdą wspólny język, choćby nawet wzajemne kontakty szły im trochę po grudzie. Zenia z całej siły starała się o powściągliwość, ale w końcu jej się udało.

No tak, chciała ta Urszulka poślubić szefa, zakochała się, każdemu wolno, nie? Jako sekretarka, to ona była do chrzantu, równie dobrze mógł tam sobie posadzić owcę albo kozę, teraz to widać, kiedy ta nowa, Iwona, nastąpiła. Czyste złoto! Ale Urszulka chodziła koło niego jak pies koło jatki, chodziła, aż i wychodziła, szczególnie, że pierwsza żona... O, coś tam było z pierwszą żoną nie za bardzo, jakoś podupała, wytrzymać z nią nie dało rady...

— Tu się zmieszała i zacięła tak, że w oczy biło — komentował Górski tekst z taśmy. — Musi wiedzieć wszystko, ale głupio jej było i za skarby nie chciała, żeby od niej wyszło. Proszę, niech pan słucha, czkawkę ma przy każdym zdaniu!

Mimo czkawki, Zenia wydusiła z siebie ciekawe informacje.

Niepojętym przecuciem zapewne wiedziona, Urszulka przewidziała upadek pierwszej żony. Rzeczywiście ta kobieta dziwne rzeczy robiła, chociaż... No właśnie, chociaż.

Możliwe, że za dużo naplotkowano i na nią padło, chociaż czasem ktoś tam w urabianiu opinii chyba trochę pomagał. A, nie, skąd, wcale nie Urszulka, Urszulka tylko starała się, żeby żadna plotka uwadze męża nie umknęła. Przyjaciółki...? Najlepszą przyjaciółką Urszulki była właśnie ona, Zenia, innych nie miała, chyba że dawniej, ale to wątpliwe, bo jej dziewczyny nie lubiły. A dla tego Borkowskiego to nawet narzeczonego w trąbę puściła, kto to był...? A, taki jeden, technik, gdzie mu do szefa przedsiębiorstwa, Urszulka wcale go nawet wspominać nie chciała, przypadek sprawił, że raz się napatoczył, jak obie na kawkę poszły, Urszulka wtedy uciekła a on Zeni na łonie płakał. Mietek mu było na imię, kochał ją, Jezus Mario, nad życie, odżałować jej nie mógł, co oni w niej widzą...? W poprzedniej pracy go miała.

Fela? Nie, o żadnej Feli nigdy jednego słowa nie słyszała. Urszulka w ogóle mało o sobie mówiła, czasem jej się coś tam wyrwało, jak już tak napęczniała szczęściem albo zmartwieniem. Owszem, widują się, oczywiście, tyle że rzadziej niż przedtem, kiedy razem pracowały...

— Gdzie ta gangrena pracowała poprzednio? — mruknął Biezan. — W kadrach powinni mieć...

— Mają — rzekł skromnie Robert. — Sprawdziłem. Pokazałem legitymację i poprosiłem o pracowników sprzed roku i wcześniej, tych co już odeszli. Mało ich było, bo to dobra instytucja, każdy się trzyma pazurami, wszystkiego raptem cztery osoby, w tym Urszula Bielka.

— Chyba ci coś postawię! — ucieszył się Biezan. — Czystą wódkę i śledzia, chcesz?

— A pewnie! Po tym wermucie...?

— I gdzie...?

— Przedsiębiorstwo budowlane. Rozleciało się, ale resztki siedzą w paru miejscach, mam zapisane. Ludzi da się połapać.

— A co do Feli, to chyba będziemy musieli zrobić dyplomatyczną konfrontację...

\* \* \*

Dzwonek brzęknął, otworzyłam. Za drzwiami stała pani Jadzia z moimi dziećmi.

Mimo wszystko poczułam w sobie większy wybuch radości niż zdumienia, prawie jak normalna matka. Stłumiłam zaskoczenie, bez pytań wpędziłam ich wszystkich razem do mieszkania, ucieszona, że akurat zrobiłam świeże zakupy, nawet dość solidne i urozmaicone, bo bałam się awantur Agaty. Dzieci miały potwornie wyładowane tornistry, a pani Jadzia wielką torbę.

— Ma pani ich gdzie położyć? — spytała półgłosem. — Bo chyba lepiej, żeby tu z dzień albo dwa zostały.

Miałam. Nie powyrzucałam przecież kanap, tapczanów i turystycznych łóżek. Zrobiłam sobie wprawdzie sypialnię w ich dawnym pokoju, ale bez najmniejszego

problemu mogłam się przenieść z powrotem na poprzednie, małżeńskie legowisko. Mieszkanie było duże, rozczłonkowane i ustawne.

— Urządźcie się, jak chcecie — zarządziłam beztrąsko. — Tu macie pościel i ręczniki, tam gdzie zawsze. Jesteście głodni?

— Średnio — odparła Agatka suchym głosem.

— Z wyjątkiem twojego biurka, co? — powiedział równocześnie Piotruś pobłaźliwie. — Ja bym coś zjadł.

— Bez obiadu są — burknęła surowo pani Jadzia.

— No to gotujemy pierogi. Co do biurka, istotnie, wolałabym, żeby ocalało.

— A potem mi opowiesz, jak to było naprawdę z tym garbatym Ryszardem Trzecim — zażądała Agatka wciąż tym samym suchym głosem.

— Proszę cię bardzo, z przyjemnością...

Dzieci rozgościły się bez przeszkód, pani Jadzi zdecydowana byłam nie wypuścić z pazurów, dopóki się nie dowiem, o co tu chodzi. Coś się musiało stać, coś zaszło potężnego. Co, na litość boską...?!

Usiadłyśmy wreszcie przy kuchennej herbacie. Ryszarda Trzeciego zostawiłam na później.

— Ja to tam nie wiem, proszę pani — wydusiła z siebie pani Jadzia markotnie. — Pan Stefan co i raz to w tej Szwecji siedzi, do domu wpada jak ze skorupką po ogień i znowu go nie ma. Tak, to zwyczajnie, dzieciom źle nie jest, ale już dzisiaj, to ja nawet nie wiem, jak to powiedzieć.

— Najlepiej wprost — poradziłam. — Obie dorosłe jesteście. Co się stało?

— Co się stało, to ja nie wiem, ale pani Urszula przy stole pijana siedzi. Wódka stoi, koniak stoi, a ona dwa kieliszki ma przed sobą, chociaż sama w domu. I jak ten kamień, jak sztuczna, słowa jednego nie mówi, nie spojrzy, nic. Obiadu żadnego nie ma, tylko cebula posiekana na deseczce i nic więcej. Pana Stefana też nie ma, tyle wiem, że za tydzień ma wrócić, bo sam mi mówił, to co miałam zrobić? Tak ich zostawić z tą pijaną?

Zdumiałam się niebotycznie.

— Przecież ona się nie upija...?!

— A nie. Raz się jeden zdarzyło nie tak dawno, prawie dopiero co, a teraz drugi, nawet niechby, ale to siedzieć jak ten kamień? A ja wiem, co ona może zrobić? I dzieci na to mają patrzeć? Wzięły książki, zabrałam trochę rzeczy i do matki, bo gdzie?

Jasne, gdzie, jak nie do matki? Brakowało mi ich, ścisnęło mnie w środku na samą myśl o nich, do czego nie chciałam się przyznawać nawet samej sobie. Pomyślałam z nadzieją, że może teraz uda się wrócić do normalności, zdaje się, że działalność mojej uroczej dublerki wyszła już na jaw i przestałam tonąć w bagnie moralnym, Bieżan połapał się w sytuacji, Chmielewska również, świadkowie mnożą się jak króliki. Rychło w czas... Chyba nawet zmiana wyroku nie sprawi trudności, poza tym, może Stefan zachował zdrowe zmysły...?

— Pan Stefan wie o tym? — spytałam z rozpędu.

— Przecie mówię, że go nie ma — zgorzyła się pani Jadzia. — Zeszłym razem też go nie było, a ja tam się nie wtrącam. I ona się pewno nie pochwaliła, chyba że dzieci, ale ja wątpię. Co i raz to mniej gadają i mnie się widzi, że lepiej im będzie u pani.

— Mnie się widzi podobnie. Ale, pani Jadziu, to przecież nie mogło wyskoczyć tak z dnia na dzień, musiało tam się dziać coś niedobrego już od jakiegoś czasu. Nic mnie nie obchodzi mój były mąż razem ze swoją obecną żoną, ale idzie mi o dzieci. Jeśli coś je gniecie, a one nic nie mówią, to nie jest dobrze. Nic pani nie zauważyła?

Pani Jadzia zawahała się.

— Tak całkiem zauważyć, to nie, ale tak ze dwa albo trzy razy coś ona w nerwach była. No dobrze, to już powiem. Tam jakaś przyjaciółka jej dojadła, przez telefon gadała, słyszałam przypadkiem, pani wie przecież, że ja krótko jestem, tyle co przy dzieciach. Nie dawała jej przychodzić, ale ona się pchała, taka jedna Fela, może i była, jak nikogo nie było, prawie we drzwiach się z nami minęła ze dwa razy. I chyba dzieci ją widziały. Jak spytać, to się tylko krzywią i nic więcej.

Wypowiedź pani Jadzi, zazwyczaj raczej małomównej i niezbyt rozplotkowanej, nie była może doskonale jasna, ale zdołałam ją zrozumieć. Wnioskując z odkryć Agaty i dwojga imion ofiary, oważ to właśnie Fela występowała tak błyskotliwie w moim imieniu...!

Powiedzieć o tym Bieżanowi...?

— Jesień jest — zauważyłam z troską, bo już zaczęłam myśleć praktycznie. — Więcej ubrań będzie im potrzebne.

— To wzięłam właśnie swetry i kurtki, ale tylko po jednym — odparła pani Jadzia, wskazując torbę. — Tam książki różne i buty, i w ogóle rzeczy zostały. Pani się pewno nie upomni?

— No przecież nie pójde grzebać w cudzym mieszkaniu!

— To ja ich wezmę jutro po szkole i niech tam sobie swoje wybiorą. Nie żeby wszystko naraz, ale po trochu. Zanim pan Stefan wróci, będzie po kłopotcie.

Najwyraźniej w świecie pani Jadzia znalazła się po mojej stronie barykady, musiała jej ta gęś Stefana nieźle dokopać. Zdaje się, że i dzieciom przestała się podobać, a mnie z kolei przestały się podobać częstsze niż dawniej wyjazdy Stefana. Dzieci zostały przyznane ojcu, a nie jakiejś obcej babie, która wypaczy im charaktery i umysły! Gdzież ten bliski kontakt z tatusiem...?

Pani Jadzia rzeczowo zaplanowała przenosiny i poszła. Dzieci do wieczora odtajały, straciły sztywność i suchość, robiły wrażenie, jakby zwyczajnie wróciły do domu po dłuższej podróży. Kolację zjedliśmy razem, w pełnej przyjaźni, bez reszty zapchanej Ryszardem Trzecim, bo Agatka nie popuściła, a przy okazji ogólną przestępczością monarchów i różnych innych postaci historycznych. Miałam nadzieję, że nic z tego im się nie przyśni.



Kiedy już poszły spać, zadzwoniłam do Agaty. Gospośia akurat nocowała u niej, mogła zatem przyjechać. Należało wymienić pomiędzy sobą najnowsze, sensacyjne informacje...

\* \* \*

Martusia pojawiła się tuż przed południem, aczkolwiek umówiona była dopiero na piątą. Od razu postanowiła, że wezwie taksówkę, bo tak pięknych wydarzeń bez piwa omówić nie sposób.

— No więc mów, co ona ci mówiła! — wykrzyknęła gorączkowo niemal tuż od progu.

— Najpierw usiądę. Żadnego gadania na stojąco. I ty też usiądź, bo jak mi tak latasz przed nosem, myśli zebrać nie mogę. Masz tu zakąskę i siadaj.

— Bób...! Jesteś genialna! Na co ci myśli, przecież ona mówiła, to już chyba nic myśleć nie musisz?

— Muszę i ty też musisz. Ona mówiła między wierszami.

— Czekaaj, chwileczkę, niech ja zgadnę, co ty chcesz przez to powiedzieć, bo nie wierzę, że mówiła wierszami. Chyba jakaś odwrotność ci wyszła?

— Oj, skróciłam trochę — zniecierpliwiłam się. — Ona mówiła prozą, ale my tu musimy ustalić, co było między wierszami. Między wierszami było ważniejsze niż cała reszta.

— Rozumiem — zgodziła się Martusia. — I co?

— I w sposób jawny przyznała się do nagonki na nią, której to nagonki długo nie mogła zrozumieć...

— Tej, o której wiemy? Nieboszczka robiła jej rozpustne życie?

— Otóż to. A ona najpierw lekceważyła, potem się zdenerwowała, a potem lawina spadła i już nic nie mogła poradzić. Ja streszczam, ale przecież wiemy o tym od drugiej strony. To jest ta treść wierszowana, a pomiędzy, moim zdaniem, rąbnął ją zdrowo mąż...

— A ty mnie pytasz, dlaczego nie chcę drugi raz wyjść za mąż...!

— Wcale cię nie pytam, ja też nie wyszłam. Myślałam, że chcesz.

— Nie chcę.

— To nie. Czy ja cię przymuszam?

— I o moim małżeństwie tak ona mówiła między wierszami?

Postanowiłam, mimo wszystko, trzymać się tematu.

— Nie, o swoim. Takiego męża, który w pierwszej kolejności wierzy w najgorsze ploty o własnej żonie, można o kant tyłka potłuc. Wcale jej się nie dziwię, że ją zmroziło i honorem się ujęła.

— To idiota? — zainteresowała się żywo Martusia, bez żalu porzucając wszelką myśl o swoim osobistym małżeństwie.

— Niekoniecznie, to znaczy idiota z pewnością, ale oprócz tego bezwiednie zakochał się w sekretarce i stąd te jego wiary i niewiary. Klapy na oczach i ulga na sumieniu. Dziabnęło ją tak, że nawet nie spróbowała odkręcać.

— Przynajmniej dałabym mu po mordzie — zawyrokowała stanowczo Martusia po krótkim namyśle.

Zastanowiłam się.

— No owszem, miałoby to sens. Ale ona nie dała.

— Szkoda.

— Nic się nie martw, i tak mu pójdzie pod górkę — pocieszyłam ją. — Z międzywierszy mi wychodzi.

— Mnie jeszcze nie. Chyba nie powiedziałaś wszystkiego...?

— Coś ty, to dopiero początek. Odkręcać nie próbowała, ale ruszyła śledztwo i dowiedziała się tego samego co my, tyle że chyba trochę więcej. No, nie znała szczegółów technicznych i po to przyszła, bo swoje podejrzenia już miała. Wspomogła ją przyjaciółka, niejaka Agata, której ambicje nie szarpały, więc mogła działać bez oporów. Najważniejsze informacje zdobyła samodzielnie.

— No i popatrz, jak to dobrze jest mieć przyjaciółkę bez ambicji! Które to były, te najważniejsze?

Przypomniałam jej. Świadkowie wydarzeń, były narzeczonej, ten tam jakiś Jureczek, który podsłuchiwał drugą żonę, przyjaciółka drugiej żony, Zenia z księgowości... Wszystko razem, złożone do kupy, tworzyło jasny obraz sytuacji.

— No owszem — przyznała Martusia. — Wszystko wiemy. To gdzie te międzywiersze?

— A kto ją rąbnął? — wytknęłam. — Tak strasznie świetnie wszystko wiemy, a trup leży. I co?

— Znaczy, właśnie ten trup leży między wierszami?

— Otóż to! Na moje oko, wiemy wszystko, ale wcale nie jestem pewna, czy da się to udowodnić. Ona też tak uważa, to właśnie te międzywiersze. Streszczając, sekretarka Urszulka postanowiła złapać sobie Borkowskiego na męża, namówiła przyjaciółkę Felę do sponiewierania pierwszej żony Borkowskiego, Feli wyszło znakomicie, bo Borkowski okazał się kretynem, no i potem nastąpiło coś nie do pojęcia. Dla twórców sytuacji...

— Twórczyni chyba...? — skorygowała krytycznie Martusia i sięgnęła do lodówki po piwo, co przypomniało mi zalecenie lekarza, że powinnam pić czerwone wino. Sięgnęłam zatem po wino.

— Twórczyni — zgodziłam się. — Dla twórczyni sprawa się zamknęła i powinien być spokój. Tymczasem chała, ktoś rąbnął Felę, bo afera nie zdechła. Jeśli inspiratorką była druga żona, cel w zasadzie osiągnęła, męża dostała, pierwszą żonę z roboty wylano, opinia już się za nią powlecze. Przestałam brać pod uwagę Borkowską, to nie ona, cho-

cięż motyw na nią wskazuje, za to wychodzi mi idiotyzm nie z tej ziemi, mianowicie tajemnicza blondynka, a druga żona Borkowskiego to właśnie blondynka. I co, trzasnęła bezcenną współpracę? Żeby zaoszczędzić pierwszej Borkowskiej nieprzyjemności na przyszłość? Bo jej się wyrzuty sumienia załęgły? Przecież to idiotyzm!

Martusia zastanowiła się głęboko.

— Tak — przyświadczyła. — Nawet dla blondynki. Szczególnie, że w jej wyrzuty sumienia nie wierzę za grosz! Więc to było to z międzywierszy? Ona, ta żywa, podejrzewa drugą żonę...

— I za skarby świata nie chce tego powiedzieć, żeby nie wyszło, że się mści. Wcale się nie mści i nie zamierza. Na mężu się zawiodła radykalnie, zadowolona jest bardzo, że się go pozbyła i dziwi się nawet, co w nim widziała.

— To międzywiersze czy wprost...?

— Sama z siebie zgadłam z największą łatwością, z tym że wiem, co w nim widziała, a ona nie przeczy. On taki więcej przepiękny...

— Brodaty? — zainteresowała się Martusia gwałtownie.

— Nie, ogolony. A co, reflektujesz...?

— Kto wie...? Tak z doskoku... Na złość drugiej żonie, nie lubię drugich żon. A brodę mógłby zapuścić, nie? Zaraz, skąd wiesz, że piękny?

— Widziałam zdjęcie.

— Ona nosi jego zdjęcie?!

— Nosi dużo zdjęć, przez zwykłe niedopatrzenie, nie zrobiła porządku w torebce, mąż, dzieci, rodzice, brat, przyjaciółka ta Agata... Pokazała mi, bo zażądałam, lubię widzieć, z kim mam do czynienia. Na oko sama bym na niego poleciała parę lat temu, a do tego inteligentny, prawdomówny i pracowity. Tyle że głupi jak próchno, ale to normalne u faceta, któremu baba pada na mózg. Nie wymagajmy za wiele.

— No to do czego ona się rozczarowała?

— A bo, rozumiesz, wedle mojego rozeznania, on ma taki charakter, że jak jest wszystko dobrze i wszystko mu pasuje, to go do rany przyłóż. Ale wyobraź sobie, że weźmie ją na wiosenną wycieczkę w plenery, a ona uwielbia kaczeńce, gdyby miał dla niej te kaczeńce zrywać, od razu miłość mu skłębnie...

— Dlaczego akurat kaczeńce? — zdziwiła się Martusia.

Zdziwiłam się bardziej.

— Jak to, nie wiesz, co to są kaczeńce i gdzie rosną?

— Ja się nie znam na roślinkach... To kwiatki, nie?

— Nie do wiary... Nigdy w życiu nie zrywałaś kaczeńców?!

— Jakoś się nie złożyło... Powinam się kajać? To wezmę sobie jeszcze piwo do tego kajania, co?

— Nie zasługujesz, ale weź — przyzwoliłam surowo. — Otóż kaczeńce mają to do siebie, że rosną na mokradłach, prawie w wodzie, możesz tam wejść boso albo w gumiakach, a wyobraź sobie, że on prosto z tej wycieczki chciał iść na kolację do Bristolu, do Sheratona, no, symbolicznie, do Ritza. To jak...?

— A jakby ona wozila gumiaki dla niego...?

— Na nic, spodnie by mu się w gumiakach pogniotły.

— Mógł zdjąć spodnie i wejść boso.

— A rękawy od marynarki? I mankietiki od koszulki? Goły by musiał włązić, w samych gaciach, a gdyby go kto w tych gaciach zobaczył? Czyli, bo ja ci charakter wyjaśniam, a nie sposoby zbierania wiosennego kwiecica, ona czegoś strasznie chce, on ją kocha i powinien jej tego dostarczyć, a tu chała. Niezdolny. I już się czuje ten gorszy, więc jakie ma wyjście? Proste, przestać ją kochać. Innymi słowy, jeśli coś mu nie gra i jest dla niego ogólnie szkodliwe, odmienia mu się osobowość i takie parszywe z niego wyłazi.

— I ona go...!

Pomachałam uspokajająco korkociągiem.

— Go, go. Nic takiego. Z każdego w sprzyjających okolicznościach parszywe wyłazi, z tym że rozmaite. Większe, mniejsze, szkodliwe albo nie, okropne albo głupie, jawne, tajne, przytłamszane, z tym że z przytłamszania na ogół biorą się nerwice, a źródłem ma to parszywe pięć tysięcy. Czasem bywa w ogóle maciupcie i byle jakie, i można nie zwracać uwagi.

— Ale nią wstrząsnęło?

— Wstrząsnęło, bo myślała, że ją kocha porządniej, że jest mniej głupi i nie trzęsie się tak przeraźliwie o własną opinię. Ale, moim zdaniem, trzęsienie było wynikiem padnięcia na mózg. Z tym że do konkurencji z drugą żoną ona nie weszła i nie wejdzie, i ja się jej nie dziwię, dla niej facet się skończył i zemsta byłaby dla niego niezasłużonym zaszczytem.

Po krótkim namyśle i kolejnej puszce piwa Martusia przyznała mi słuszność. Przyglądałam się jej z zazdrością, jakim cudem ona od tego piwa wcale nie tyła? I nie szkodziło jej, przeciwnie, nabierała wigoru i bystrości, szczególna jakaś właściwość organizmu...

— To co teraz? — spytała trochę niepewnie.

— Nie wiem — wyznałam z żalem. — I nie wiem, co zrobią gliny. Bo przyczyn, dla których druga żona trzasnęła własną przyjaciółkę, w ogóle nie umiem sobie wyobrazić, więc może to jednak nie ona. Powinni znaleźć dowody rzeczowe, broń palną, mikroślady...

— Żakiet. Do tego, co miała na sobie, powinna była mieć żakiet.

— No właśnie, żakiet. I w ogóle strasznie myślę, czyby nie polecieć do domu ofiary, to znaczy do mojego byłego miejsca zamieszkania, ale jakoś mnie odrzuca. Niewłaściwych ludzi znamy.

— One się chyba pokłóciły — rzekła po chwili Martusia w zadumie. — Te dwie przyjaciółki. Jedna dla drugiej załatwiła męża, ale ta jedna była na kompromitującym poziomie, więc ta druga nie chciała jej znać. A ta jedna miała nadzieję wejść do eleganckiego towarzystwa... tylko mnie nie pytaj przypadkiem, co to jest eleganckie towarzystwo, ja sobie teraz wyobrażam, co ona mogła myśleć! Pchała się nachalnie, tak jak do ciebie, więc nie było innego sposobu, żeby się jej pozbyć. Musiała ją zabić.

— Całkiem niezła myśl — pochwaliłam. — Pomijając, oczywiście, kwestię eleganckiego towarzystwa... O, masz rację, ten mąż, trzęsący się o swoją opinię! Albo nienawdziła pierwszej żony tak okropnie, że jeszcze i zbrodnię postanowiła na nią zwalić, bo, prawdę mówiąc, motyw żywej Borkowskiej krzyczy wielkim głosem. Ja wiem, że to nie ona, po rozmowie z nią jestem pewna, ale ja, sama jedna na całe sądownictwo nie wystarczę.

— Skoro jest niewinna, zamkną ją z pewnością — zmartwiła się Martusia.

Kiwnęłam głową.

— Zgadza się, powinniśmy jej pomóc.

— Jak...?

— Nie wiem. Czekać, niech pomyślę...

Pomysł, który mi zaświtał, był tak kretyński, że bezwzględnie musiałam go zrealizować, i to jak najszybciej. Martusia prawie się go przestraszyła, ale zarazem zainteresowała niezmiernie, do tego stopnia, że zdecydowała się zostać do jutra nawet o poranku łapać kota...

\* \* \*

— Dostyc tego grzęzawiska umysłowego, bierzemy się za konkrety — zarządził energicznie Bieżan po zgromadzeniu wszystkich relacji wywiadowców i wyników badań z laboratorium. — Po kolei. Żakiet...

— Gdyby tak w porządku alfabetycznym, żakiet byłby na końcu — wymamrotał pod nosem Górski.

Bieżan łypnął na niego okiem z wyraźną troską.

— Ta ilość bab cię ogłupiła. Opanuj się, owszem, same baby, rozumiem, że ciężko zrozumieć... tfu, mnie też ogłupiły...

— Babska zbrodnia...

— Zapomnij o płci. Sprawca rodzaju męskiego może się również, jako sprawca, okazać debilem. Hipoteza się rysuje i musimy ją przyjąć, bo nic nam innego nie pozostaje. Jedyne świadek naoczny...

Owszem, jednego naocznego świadka zbrodni znaleziono z potwornym wysiłkiem. W odległości dokładnie stu dwunastu metrów w linii prostej od miejsca przestępstwa człowiek skończył właśnie murować komin na budynku w stanie surowym i zrobił so-

bie malutką przerwę na papierosa. Inni już zeszli z dachu, on został ostatni i przez te parę minut gapił się na okolicę. Widział rząd domków jednorodzinnych po drugiej stronie drogi, na wyrost noszącej miano ulicy, na owej drodze było pusto, z rzędu dwunastu domków zamieszkała była zaledwie połowa, resztę niemrawo wykańczano, od jego prawej strony nadjechał jakiś biały samochód, diabli wiedzą co to było, z daleka nie rozpoznał, ale zaciekawił się, bo samochód jechał jakoś niezdecydowanie. Nadjechał szybko, bardzo zwolnił, znów ruszył szybciej, więc tak patrzył, co zrobi dalej. O wykopie w poprzek wiedział, ostatnie parę dni pracował na dachu i miał niezły widok na te sztuki, które kierowcy tam wyczyniali, z pustej ciekawości chciał zobaczyć, wrąbie się w ten dół czy nie. Samochód zwolnił przy tym niskim, z czerwonym dachem, on zamieszkały, drugi za nim pusty, kolejny zamieszkały, ale nikogo akurat przy nim nie było, następny do tej pory był pusty, teraz jednak już jakieś rzeczy przywieźli i chyba ludzka osoba coś w środku robiła, otwierane okno w słońcu błyskało, ale to trochę przedtem, jak jeszcze murował. A zaraz za tym domem dół.

Samochód zatrzymał się, w dół nie wleciał, człowiek przy kominie poczuł się odrobinę rozczarowany, jednakże patrzył, bo innych atrakcji nie było, a chciał spokojnie do końca wypalić. Samochód zawrócił. Tak głupio zawracał, że chyba przy kierownicy musiała siedzieć baba, o mało się nie władował kufrem w ogrodzenie. Ruszył z powrotem, powoli, zatrzymał się przy tym domu, o, pustym jeszcze, jakaś osoba z niego wysiadła, nie tak od razu, tylko po dłuższej chwili. Od strony pasażera wysiadła, z przodu. Człowiekowi wydawało się, że kobieta, ale głowy by za to nie dawał, chociaż ogólnie wzrok ma niezły. Ruszyła w kierunku tego niskiego, zamieszkałego, samochód ruszył za nią, a co dalej, to on nie wie, bo rzucił niedopałek i zszedł z dachu. Co do huków, nic nie słyszał, na dole deski zrzucali i głośzyli inne dźwięki. Nikomu o tym nic nie mówił, bo nikt go nie pytał, a wydarzenie znowu nie było takie nadzwyczajne, gdyby ten samochód wleciał w dół, o, to tak, ale nie wleciał. Skoro go jednak teraz pytają, wszystkich pytają, proszę bardzo, może powiedzieć. Papieros przy kominie, żadne przestępstwo...

— Jedyne świadek naoczny stwierdza dokładnie to samo, co powiedział pies — precyzował Biezan. — A także ta, jak jej tam, co firanki wieszała. Przyjmujemy fakt: zabójca przyjechał z ofiarą, zawrócił, zatem znalazł się po tej samej stronie co budynki i trasa przejścia denatki. Podjechał tuż za nią, rąbnął przez otwarte okno z odległości półtora do dwóch metrów i oddalił się natychmiast. Trwało to około czterdziestu sekund i nikt go po drodze nie spotkał, a dalej, na ulicy, nikt na niego nie zwrócił uwagi. Wysiadanie ofiary z samochodu potrwało trochę i możemy uczynić założenie, że w grę wchodził żakiet.

Rezygnując z kolejności alfabetycznej, Górski kiwnął głową.

— Na żakiecie lody — podjął, wpatrzony w dokumenty z laboratorium. — W owym momencie świeże, musiała żreć te lody w czasie jazdy, cała kłapa żakietu, część poły



i trochę w środku porządnie zachlapano. Uzasadnia chwilę zwłoki, widać próbę wytarcia tego, zrezygnowała, zdjęła żakiet, zostawiła, wysiadła bez. W kieszeniach mikroślady różnych rzeczy, ale nas interesują klucze, nosiła klucze w prawej kieszeni żakietu, wielokrotnie. Nie w torebce.

— Prawdopodobnie w ogóle nosiła klucze w kieszeniach rozmaitej odzieży. No i mamy następny punkt. Żakiet się znalazł, a gdzie klucze? U Wyduja znalazły się tylko jedne, jego własne, też w kieszeni, wyszmelcowane, oblepione śmieciem i związane drutem. Żadna kobieta czegoś takiego by nie strawiła. I prosty wniosek, zabójca wykorzystał klucze, żeby podrzucić żakiet do domu ofiary, sam ten żakiet nie przyszedł. Nie mógł ich zostawić, bo musiał zamknąć drzwi, zabrał ze sobą.

Robert kiwał głową tak, jakby już nigdy w życiu nie miał przestać.

— Że ten zabalsamowany Wyduj żadnych sztuk nie robił, niczego nie chował i nie wyrzucał, za to osobiście rękę w ogień włożę...

— Ty nie bądź taki Scewola...

— W tym miejscu gotów jestem być. Za to Ciecianiak Stefania...

— Mam tu przed sobą jej zeznanie. Rany boskie, babie rwało się z ust, a myśmy zlekceważyli, co za dochodzenie upiorne, tylu błędów w jednej sprawie w życiu nie popełniłem, nawet jako gówniarz!

— To przez te baby...

— Możliwe. Jeśli coś z tego kiedyś wyrwie mi się do własnej żony, ona łeb mi ukręci, jeść nie da i żadnego szacunku do samej śmierci dla mnie nie będzie miała...

— Przy żonach szacunek najważniejszy? — zdziwił się Robert niedowierzająco.

— Ożenisz się, to zobaczysz — burknął Biezan z goryczą. — Ciecianiak Stefania, z wściekłą nadzieją stawania przed sądem, zeznaje, że na własne oczy widziała, jak przyjaciółka denatki wychodziła z jej mieszkania w dniu, o godzinie i tak dalej, czyli w mniej więcej, dwie, do dwóch i pół, godzin po jej śmierci. Wedle robotnika na dachu i sąsiadki z firankami, strzał nastąpił o szesnastej pięćdziesiąt pięć, z odchyleniem do dwóch minut. Musimy się na nich oprzeć, bo reszta świadków daje nam trochę za szeroki wachlarz czasu. A Ciecianiak podglądała...

— Wcale nie podglądała, trafiła przypadkiem.

— Ganc pomada. Około dziewiętnastej, może trochę później, bo jak włączyła telewizor, to już na jedyńce szła kreskówka dla dzieci. I upiera się, że drzwi zamykała przyjaciółka, ta Ula cholerna.

— Borkowski Borkowskim, on sobie może być minister handlu zagranicznego...

— Nie jest.

— Ale może być, i niechby. Ja bym przeszukanie zrobił.

— Ja też. Każdy. I uważasz, że do tej pory ona się nie pozbyła dowodów? Pomijam już kompletny brak sensu...

— Ale, skoro baby... I jakieś takie to wszystko idiotyczne...?

— Dobra, zrobimy przeszukanie, prokurator da sankcję, chociaż jemu też się to wyda zbyt idiotyczne, ale co szkodzi spróbować. Zaraz... Czekaj. Borkowska to przecież była prokuratura, może po kumotersku...? Nie, ona palcem nie kiwnie. Ale może ten Wesołowski ją zna...? I sam z siebie spróbuje zaryzykować...?

— Byłby głupia świnia, gdyby nie — zaopiniował Robert z energią. — W ostateczności faceta można przepraszać, inteligentny zrozumie, że coś tam trzeba wyeliminować, a podobno Borkowski jest inteligentny. Ryzyk-fizyk...

Bieżan poprzyglądał mu się przez chwilę.

— Coś mi się widzi, że już kiedyś zaryzykowałeś — zafizykowałeś...?

Górski szczyrwniał.

— No i dobrze. Niech będzie. Mam coś robić, niech robię uczciwie albo wcale. Z Warszawy jestem, nie szkodzi, pojedę rąbać wiatrołomy, wrócę do drogówki, wżenię się w krowy, konie i owies...

— Konie niemodne.

— No to w owce i nierogaciznę. Wały przeciwpowodziowe zacznę umacniać...

Bieżan pomilczał długą chwilę, po czym westchnął.

— Dobra, odczepmy się od błędów i wypaczeń — zaproponował łagodnie. — Stoimy na żakiecie, który znalazł się w domu denatki, zaplamiony, bez kluczy, a przyniosła go, wszystko na to wskazuje, przyjaciółka, Ula. Urszula Borkowska, z domu Bielka, inspi-ratorka nagonki na pierwszą Borkowska, Barbarę. Jedziemy dalej po faktach udowod-nionych.

— Bez przeszukania domu Borkowskich nic nie zdziałamy — powiedział Górski z dziką determinacją.

— Zaraz. Przeszukamy. Może nawet jeszcze dziś. Tu mamy zeznanie adoratora de-natki sprzed dziesięciu lat, mechanika samochodowego, Bartłomiej Wikac, który stwierdza, że istotnie, jego ukochana Fela miała jedną przyjaciółkę, Ulę jakoś tam. Białaczką, Białka, Białasek, Biłka, mnóstwo nazwisk wymienił, wszystkie na be, za żadne głowy nie da. W tym wieku i w tych sferach operuje się imieniem, nazwisko mało ważne. Na Bielkę też się zgadza. Rozpoznał ją, fotografię wskazał. Gdyby to nie było tak upiornie głupie i całkowicie bez sensu, już bym tą drugą Borkowską zatrzymał. Ale, rany boskie, gdzie motyw...?!!!

— Ale może... coś tam... jeszcze... — wybąkał z siebie Robert, patrząc na zwierchni-ka baranim wzrokiem.

— A, tak, dlaczego nie. Rysopisy. Z McDonald'sa, od nauczycielki, od Cieciakowej, od każdego. Od Zenobii Wiśniewskiej, od Wyduja, on przez u zwykłe, a nie kreskowane... Od facetki z przeciwka, nie, co ja mówię, od elektryka teatralnego... Już sam obłądu do-stają. Wychodzi coś, w co absolutnie nie można uwierzyć i ja raczej zrezygnuję ze służ- by niż podobny idiotyzm prokuraturze podetknę...

Motyw zbrodni bruździł im straszliwie. W kwestii przyjaźni Urszuli Borkowskiej z Balbiną Felicją Borkowską nie mieli już żadnych wątpliwości, poza wszystkim bowiem w mieszkaniu denatki, wśród rozmaitych śmieci, znalazło się zdjęcie sprzed dziesięciu lat, na którym obie widniały razem, objęte uściskiem. Odzież, której osierocony Wyduj nie ośmielił się dotychczas nawet dotknąć, wyraźnie wskazywała na minioną działalność ofiary, naśladowanej w każdym szczególe Barbarę Borkowską, prokurator i dziennikarkę. Uporczywe naśladownictwo potwierdzały zeznania świadków bezstronnych, naczelnego jednej z redakcji, dość znanego pisarza, fotoreportera... Bieżan z Górskim dotarli do wszystkich.

Cel maskarady budził pewne wątpliwości. Wedle Zenobii Wiśniewskiej był nim mąż, Stefan Borkowski, dostatecznie ogłupiony, żeby uwierzyć w upadek moralny pierwszej małżonki i zamienić ją na drugą, w jego oczach nadziemsko szlachetną. Wedle innych osób chodziło raczej o usunięcie Barbary Borkowskiej z prokuratury, ponieważ uparcie przeciwstawiała się łapówkom i układom. Oba te cele zostały osiągnięte, nagonka zatem powinna była zdechnąć, tymczasem nic podobnego, trwała nadal, paskudząc wszelkie wnioski.

I może po to właśnie trwała? Żeby namącić, żeby rozdmuchać wątpliwości? W takim wypadku druga żona, jako organizatorka imprezy, odpadała w przedbiegach, Bieżan poznał ją osobiście, jego zdaniem, była na to za głupia. Już bardziej do takiej roli pasował Borkowski, który z tajemniczych przyczyn mógł, na przykład, znienawidzić pierwszą żonę...

Bezpośrednio jednakże Feli nie kropnął, bo rzeczywiście przebywał w Szwecji. Ale wynająć zabójcę miał szansę, dlaczego nie...?

— Tylko kogo? — sarknął gniewnie Górski na tę ostatnią supozycję. — Blondynkę? Własną drugą żonę?! Też chciał się jej pozbyć? Nie mógłby się pozbywać tych żon jakoś normalniej, bez takiego szumu?

W tym momencie Bieżan drogą tajemniczych i błyskawicznych skojarzeń uświadomił sobie jeszcze jedno własne niedopatrzenie i z trudem powstrzymał jęk. Co za cholera jakaś otumaniła go od pierwszego momentu tak, że same głupoty popełnia! Górski też, obaj zidiocieli i nie tylko oni, wszyscy w ogóle, jeden jedyny pies zachował zdrowe zmysły!

— Szlag jasny żeby to trafił — powiedział z ponurą złością, Bieżan, nie pies. — Samochód! Mikroślady! Przecież ta cała Urszula ma białą corollę, a my jak ćwoiki, jak tumany! To przez ten motyw piekielny, jeśli ona ma cień rozumu, gównem znajdziemy wszędzie! Dostyc tego, robimy przeszukanie i pogadamy z nią ostro, może jeszcze co z tego wyjdzie, a corollę na pierwszy ogień. Leć do Wesołowskiego po nakaz, ale już...!!!

Swój precudowny pomysł wprowadziłam w czyn, można powiedzieć, natychmiast. Możliwe, że pozostanawiałabym się nad nim do jutra, gdyby nie zemocjonowana Martusia, która siłą wypchnęła mnie z domu. Nazajutrz o poranku musiała wracać do Krakowa, rezultatów pomysłu żądała zatem natychmiast.

Adres Stefana Borkowskiego zdobyłam bez najmniejszego trudu już wcześniej, Barbara Borkowska nie kryła, że odebrane jej dzieci tarzają się w luksusach pięciopokojowego apartamentu, wprawdzie na Ursynowie, ale w budynku z cegły, a nie z żadnych obrzydliwych płyt. W firmie dowiedziałam się od jakiejś dyżurującej osoby, że Borkowski siedzi w Szwecji, zatem druga żona jest sama i da się jej dopaść pod byle jakim pretekstem. Co zamierzałam przez to osiągnąć, Bóg raczy wiedzieć, ale później okazało się, że Martusia miała rację i zapewne nawet jakieś nadprzyrodzone przeczucie.

Podjechałam pod dom Borkowskich, zaparkowałam na wolnym miejscu tuż za białą corollą i weszłam na pierwsze piętro. Drzwi właściwego mieszkania okazały się uchylone.

Zanim z wnętrza dobiegły mnie jakieś ludzkie głosy, zdążyłam się mocno zaniepokoić. Takie uchylone drzwi z reguły nie oznaczają niczego dobrego, a nie miałam najmniejszej ochoty natykać się na kolejne zwłoki, tych spod wierzby w zupełności mi wystarczyło. Natychmiast jednak podejrzania skłęsy, nikt bowiem na ogół nie gawędzi z trupem. Chyba że psychopata, psychopatów boję się panicznie...

Zawahałam się. Zadzwonić...? Zapukać...? Wejść bez pukania...? Zajrzeć...?

To ostatnie spodobało mi się najbardziej, pchnęłam drzwi odrobinę i zajrzałam.

W głębi dużego holu, przed następnymi, szeroko otwartymi drzwiami stała jakaś ludzka istota. Stała tak, że przez moment wydawała mi się realistyczną rzeźbą, ustawioną tu dla ozdoby, ale nie, jednak nie, nikt nie ustawia rzeźb prawie na środku przejścia, musiała być żywa. Średniego wzrostu, średniej tuszy, w średnim wieku, w płaszczu, w czapce, w półbucikach, nie bardzo eleganckich, ale za to zapewne wygodnych, z wielką turystyczną torbą w ręku, najwyraźniej pustą. Kiedy podeszłam do niej, nawet nie drgnęła.

Zamierzałam odezwać się grzecznie, wszelkie dźwięki jednakże zamarły mi na ustach, bo spojrzałam w głąb apartamentu.

Niewątpliwie był to salon, w swojej środkowej części doskonale widoczny przez owe szeroko otwarte, dwuskrzydłowe drzwi. Na skrajach widoku po prawej stronie znajdował się kominek, po lewej zaś kwadratowy stolik, czy może nawet stół, moim zdaniem doskonały do brydża. Marnował się, siedziały przy nim dwie osoby, które z całą pewnością w brydża nie grały.

Zamarłam dokładnie tak samo, jak owa średnia facetka, wpatrzona i wsłuchana w spektakl przy stole.

Z dwóch dziewczyn, jedna była jasną blondynką, odwróconą do nas profilem, druga, ciemnowłosa, prezentowała prawie wyłącznie plecy, a chwilami kawałek policzka. Przed nimi stały trzy butelki, rozpoznałam je jako koniak, whisky i naszą czystą rodziną, oraz kilka rozmaitych kieliszków, w tym jeden bardzo duży, do czerwonego wina. Blondynka, kompletnie pijana, rozmazywała sobie po twarzy łyżę i makijaż, ciemnowłosa zaś, zdecydowanie trzeźwiejsza, zajęta nią była tak, że na resztę świata nie zwracała najmniejszej uwagi.

Pamięć mi dopisywała, zwierzenia Barbary Borkowskiej tkwiły w niej rzetelnie, zrozumiałam, że widzę drugą żonę, Urszulkę, obok niej zaś Zenię z księgowości, wykrytą przez Agatę, przyjaciółkę Barbary, via chemik Jureczek. Nie mógł to być nikt inny, skoro najważniejsza przyjaciółka Urszulki padła trupem, w pracy gawędziła tylko z Zenią, a pozostałe baby jej nie lubiły.

— Bo co? — mówiła hipotetyczna Zenia niecierpliwie. — Wyduś to z siebie nareszcie! Bo o co jej chodziło? Bo co?

Urszulka siąkała nosem i nadal niszczyła sobie twarz, nie udzielając wyraźnej odpowiedzi. Zenia do szklaneczki po whisky naląła jej koniaku.

— Dąbrowska Jadwiga jestem — wyszeptała nagle osoba obok mnie, co wskazywało, iż moja obecność wcale nie umknęła jej uwadze.

— Chmielewska — przedstawiłam się odruchowo, również szeptem.

I od razu Dąbrowską Jadwigę ustawiłam na właściwej pozycji. Oczywiście, pani Jadzia do dzieci Barbary...

— Bo ja tego całkiem nie rozumiem — upierała się Zenia przy stole. — Czego ona tak naprawdę chciała? Mówże wreszcie!

— Pie... — wyłkała Urszulka niewyraźnie. — Pie... niędzy...

— Pieniędzy? Za co?! Przecież już jej nie kazałaś udawać? Przedtem, to ja rozumiem, dostała, ale dlaczego teraz?

— Że... żeby... przestać...

— Żeby przestać udawać?

Chlipiąc silniej, Urszulka pokiwała głową i jakoś trafiła do ust szklaneczką z koniakiem. W głosie Zeni pojawił się ton zgrozy.

— Bo jak nie, to będzie ją udawać dalej? I na co jej to? Przecież i tak już przestali wierzyć! W końcu dojdzie do niego!

— No... to... to... włąs... nie...

— Ona chciała, żeby doszło do niego...?!

— Jak... jak... jej... nie dam...

— O mój Boże święty...! I ty dlatego...? Ty głupia! I to gdzie, pod Chmielewską...!

— Ona... ona... się... uuuu... parła...

Ze zgrozy prawdopodobnie Zenia na chwilę zamilkła. Chwyciła którąś butelkę, naląła do kieliszka od koniaku i chlupnęła sobie. Zdaje się, że była to czysta. Odetchnęła głęboko.

— Skąd tyś wzięła to kopyto? Na bazarze kupiłaś czy jak?

Urszulka znów potwierdziła bez słowa, niemrawo kiwając głową.

— Jak... jak... ona... nie ma... to... i... ja... — dodała rozpaczliwie sama z siebie, bez dodatkowej zachęty.

Widocznie pod wpływem alkoholu popadała w gadatliwość.

— Znaczy, jak jej nie dasz forsy, to i ty nie będziesz miała — uściśliła Zenia. — A on by tego...? Znaczy, jakby się dowiedział, to by cię rzucił?

Urszulka pokiwała głową z większą energią i podparła brodę pięściami, czy może raczej usiłowała podeprzeć, co napotykało pewne trudności, ponieważ łokcie ześlizgiwały się jej ze stołu. Skorzystała z tego, żeby dłonią uchwycić szklaneczkę.

— Od wczoraj tak pije — wyszeptła obok mnie pani Jadzia.

Pomyślałam, że ma powody, ale wołałam nic nie mówić, żeby nie przeszkadzać przyjaciółkom w salonie. Zenia, najwyraźniej w świecie, nie czuła się jeszcze usatysfakcjonowana.

— I tyś ją tam zawiozła własnym samochodem, ty głupia, i tyś myślała, że na tę Barbarę padnie, ty głupia, przecież cię ludzie widzieli!

Urszulka dla odmiany pokręciła głową.

— Nie... Nikt...

— E tam, nikt, nie ma tak, żeby nikogo nikt nie widział! A od początku mówiłam, żebyś się z nią nie zadawała! Wszystko zgadłam, ale żebyś ją miała kropnąć, to mi do głowy nie przyszło! Było dać jej tej forsy...!

Urszulka nagle wybuchnęła obfitymi łzami.

— Ona tak... dla draki... mówi... mówi... ła, że... mu powie... Tak sobie... Już nie... już nie... miałam... Ste... Ste... Stefan... zaczął py...py...pytać, na co mi... na co mi tyle... Pcha... pcha... pchała się... i do dzieci... Wi... wi... wi... siała... jak zmo... jak zmora...

Teraz Zenia zaczęła kiwać głową.

— No to nareszcie rozumiem, bo nijak nie mogłam, ale nie myślałam, że to ty, myślałam, że Barbara. Żakiet jej podrzuciłaś do domu, a klucze?

Z profilu było widać, że do Urszulki już nie wszystko dociera.

— Przecież miałaś jej klucze? — powtórzyła Zenia, zdenerwowana. — Coś z nimi zrobiła? Masz je do tej pory?

Z łzawego i nieco błędnego spojrzenia heroiny można było wywnioskować, że tak.

— O Jezu... A tę pukawkę? Wyrzuciłaś?

Z tych samych przesłanek wynikało, że nie.

— I gdzie...?! Ty głupia! Jak już się jej chciałaś pozbyć, trzeba było rozumniej! Ona świnia, ta Fela, wariatka! Gdzie ty to trzymasz? Podrzuciłaś Barbarze?

W pijanej Urszulce błysnęło coś, jakby chytry uśmiech. Skupiła wzrok na kieliszku, który najwidoczniej dodał jej sił.



— Nie zda... nie zda... ży...

— Nie zdążyłaś? Ale chciałaś podrzucić! No nie, to już nie... Za dużo. Nawet nie tak całkiem głupio, ale parszywie. Niechby padło na jakich bandziorów, ty chyba podła jesteś, nie? A ja tu taka zmartwiona przyleciałam, wczoraj mnie o ciebie wypytywali, nic nie powiedziałam, myślałam, że to nie ty...

Z jakąś rozterką, widoczną w plecach, Zenia gwałtownie zaczęła nadrabiać dotychczasową powściągliwość. Nalała sobie koniaku do kieliszka od wina.

— Na męża go złapać, ja rozumiem, każdy by chciał, sama bym się nie obraziła, niech będzie, nawet rąbnąć to pomietło, niech będzie, ona taka przyjaciółka jak z koziego ogona...! A już nawet myślałam, że może i Barbara, nikt by się jej nie dziwił, ale żeby jeszcze i to na nią zwałać...? Nie, ja się zdenerwowałam! Ja bym tak chyba nie mogła... I jak ty tym dzieciom w oczy spojrzysz, jak im przez ciebie matkę powieszają...! Ale powiedz, trudno było...? Ty ją tak od tyłu i od razu trafiłaś? A jakby ona wyżyła...? I co teraz będzie, o mój Boże, sama nie wiem, co zrobić, przez chłopca wszystko, ja bym chyba tak nie mogła...

— Jak ja... jej... niena... niena... widzę... — wyszlochała Urszulka.

— Której?!

— Bar... Bar...

— Barbary? Ty zwariowałaś chyba! To ona ciebie powinna...!

— Przerwę w życiorysie obie mają jak w banku — powiedział nagle cichym głosem ktoś za naszymi plecami.

Grom z jasnego nieba nie uczyniłby większego wrażenia, obie z panią Jadzią doznałyśmy jednakowego wstrząsu. Odwróciłam się z wysiłkiem. Za nami stali podinspektor Bieżan z komisarzem Górskim. Możliwe, że w drzwiach wejściowych tkwiły jeszcze jakieś osoby, ale nie byłam w stanie przenieść spojrzenia dalej.

— Chodźmy stąd — zaproponował Bieżan. — Śpieszyć się już nie trzeba.

W milczeniu ruszyłyśmy ku wyjściu. Zenia za nami kontynuowała monolog, w szybkim tempie zużywając resztę koniaku, bo kieliszek od wina miał dużą pojemność.

— Jak pani myśli, gdzie ona trzyma kluczyki do samochodu? — spytał Bieżan już za drzwiami.

— W torebce albo w kieszeni tego, co miała ostatnio na sobie — odparłam bez namysłu.

— W torebce — mruknęła pani Jadzia.

— A torebkę gdzie?

— W kuchni. Na stołku przy drzwiach.

— Nie wierzę, że tak się wszyscy rozstaniemy bez słowa — powiedziałam dość gwałtownie, nie kryjąc protestu w całej sobie. — Nie umiem rozmawiać na stojąco! Usiądziemy na schodach?

— Nie, dlaczego? Możemy chyba spokojnie usiąść w ich kuchni, te dwie panie z pewnością nie zaczną teraz gotować obiadu. A nakaz mamy, świadków, jak widać, również, działamy w całym majestacie prawa...

Komisarz Górski znalazł damską torebkę na kuchennym stołku, pogrzebał w niej i wyciągnął kluczyki samochodowe. Bez słowa przekazał je którejś z osób towarzyszących, osoba znikła za drzwiami. Pani Jadzia, opanowawszy wstrząs, automatycznie i odruchowo wzięła na siebie rolę gospodyni. Ostatecznie, w tym domu bywała prawie codziennie i wielokrotnie przyrządzała posiłki dla dzieci.

— Po rzeczy przyszłam — wyjaśniała w trakcie parzenia herbaty. — Bo to już wczoraj widać było, że pani Urszula nie do życia, więc dzieci u matki zostały. A tu jesień. Co do szkoły, to od razu wzięły, ale ubrania potrzebne, no to wstąpiłam, a klucze miałam od zawsze. Miałam przyjść razem z nimi, żeby same wybrały, co tam chcą, ale tak mnie jakoś tknęło, żeby nie patrzyły, co się tu dzieje, więc wolałam bez nich. Otworzyłam oczywiście, głosy słychać było, a bez pana to rzadka rzecz, no więc nie zamykałam, tylko poszłam zajrzeć, bo jakby złodzieje albo jacy bandyci, lepiej uciekać od razu. Jak zobaczyłam, że one tam we dwie siedzą, jedna całkiem pijana, jak usłyszałam, co mówią, tak mnie zamurowało. I tak stałam, aż ta pani przyszła, pani Chmielewska znaczy.

Podinspektor Bieżan nie musiał zadawać mi pytania, co tu robię i po co przyszłam, jego spojrzenie wystarczyło. Wyraźnie poczułam, że dobrze by mi zrobił któryś napój ze stolika w salonie, ale od razu postanowiłam poczekać raczej na czerwone wino w domu, tu poprzestając na herbacie pani Jadzi. Westchnęłam ze skruchą.

— No dobrze, przyznam się. Racjonalnych powodów mojej wizyty brak. Z tego całego dochodzenia wyszło mi coś takiego, że postanowiłam porozmawiać z panią Borkowską numer dwa, bo z Borkowską numer jeden mam to już odpracowane. Chciałabym to wszystko zrozumieć, prywatną fanaberię mam taką, a idzie mi jak z kamienia. Przyleciałam, natknęłam się na uchylone drzwi... Pan by nie wszedł?

— Ja bym zapukał.

— Ja w zasadzie również. Do cudzych drzwi zazwyczaj pukam z grzeczności. Ale wydawało mi się słuszne najpierw zajrzeć.

— I co?

— I nic. Między nami mówiąc, pan też nie pukał.

— Ja służbowo. Prywatnie natomiast chciałbym wiedzieć, co panie słyszały.

— Ja mniej. Pani Jadzia więcej.

Pani Jadzie zadbała o cukier i cytrynę i też usiadła przy stole.

— To zgroza ogarnia — powiedziała ponuro. — Dopust boży, nic innego. Ona już od wczoraj nie wytrzeźwiała, a teraz się upiła jeszcze więcej. Razem tak siedziały jak siedzą, a ta, co przyszła, wypytywała, jak tam było z tą Felą i wierzyć nie chciała, że pani Urszula przyjaciółkę najlepszą na drugi świat wysłała.

— Pani Urszula powiedziała, że sama strzeliła?

— Powiedziała. Ale nie tak zaraz. Jak przyszedł, to ta co przyszła... Jak jej...?

— Zenia — podsunęłam delikatnie.

— Ta Zenia gadała, że ją pytali i że panią Urszulę też będą i czego ona tak siedzi i pi-je, i co się w ogólności stało, a wszystko jest podejrzane. I kto ją zabił, tę nieboszczkę, bo to przecież Fela, przyjaciółka, i wtenczas pani Urszula powiedziała, że ona, tak jej się samo z ust wysnęło. Jeszcze gadały, może i wcześniej, że o pana Stefana poszło, żeby mu żonę obrzydzić. Mnie to się tak widziało, że jakieś oszukaństwo się robi, ale co się miałam wtrącać, a czy ja wiem, gdzie prawda...? I że ona już nie chciała, pani Urszula znaczy, bo się bała, że oliwa na wierzch wypłynie, a ta Fela swoje. Pan Stefan też się jakiś taki sztywniejszy zrobił ostatnimi czasy...

Gorzko pożałowałam, że Martusia nie wypchnęła mnie z domu wcześniej, zarazem doznając wielkiej ulgi, że nie czekałam z tą wizytą do jutra. Ominąłby mnie nie tylko początek przyjacielskich zwierzeń, ale także cała reszta.

Tę całą resztę przekazałam teraz Biezanowi, z wielką nadzieją, iż czynię to odrobinię mniej chaotycznie niż pani Jadzia. Możliwe zresztą, że rozmowa przyjaciółek sama z biegiem chwil uporządkowała się bardziej i udawało się z niej coś niecoś dedukować. Moich dedukcji Biezan najwyraźniej w świecie wcale nie był spragniony, starałam się zatem ograniczać je wszelkimi siłami.

Pod sam koniec relacji w drzwiach kuchni pojawił się technik policyjny i w milczeniu podał coś Górskiemu, a Górski szefowi. Dzięki podwójnemu podawaniu udało mi się podejrzeć, co to jest.

Łuska pocisku.

Odgadłam, iż jest to łuska pocisku wyłącznie dlatego, że w młodych latach w moim miejscu pracy używaliśmy łuski pocisku armatniego jako popielniczki. Ściśle biorąc, dna tej łuski, większość została odpiłowana, bo inaczej byłaby za wysoka i należałoby strząsać popiół gdzieś sobie nad głową. Niemniej jednak charakter przedmiotu jakoś zapadał w pamięć i bez względu na rozmiar dawał się rozpoznać.

— Niech świńską szczecinę porosnę, jeśli nie znaleźliście tego w jej samochodzie! — wyrwało mi się z głębi duszy, zanim zdążyłam się opamiętać.

Biezan popatrzył na mnie jakimś takim wzrokiem, że współczucie w sercu wręcz mi eksplodowało.

— Tę sprawę, proszę pani, powinny były prowadzić wyłącznie kobiety — powiedział żałośnie i nagle zwrócił się gwałtownie do technika. — Świadek jest...?!

— Dwóch — odparł raczej dość lakonicznie technik. — Cięć i ksiądz.

— Skąd ksiądz...?!

— Przypadkowo. I dobrowolnie. Był tu u kogoś z wizytą, zatrzymał się z ciekawości i sam poprosił, żeby mu pozwolić popatrzeć. Przyznał się, że czytuje kryminały. O sprawie nic nie wie. Zgadza się świadczyć.

— Łaska boska — wymamrotał pobożnie Górski.

— Reszta...?

— Poszła do laboratorium.

— Samochód nie był czyszczony?

— Skąd! Śmieci z dwóch tygodni. Żwir w protektorach, tapicerka z jednej strony pochlapana lodami...

O żadnych lodach nic nie słyszałam, zdziwiło mnie, że tak ich ucieszyły, ale żwir mogłam zrozumieć. Ślady żakietu, który nieboszczka powinna była mieć, a nie miała, też zapewne znaleźli. Słusznie mniemałam, iż owa druga Borkowska była kretynką konkursową, na złapaniu męża jej możliwości się skończyły, kryminałów widocznie nie czytywała, a ciągle się upieram, że jest to lektura wysoce pouczająca! Proszę, ksiądz przykładem... Ciekawa rzecz, swoją drogą, że mężczyźni na wysokim poziomie umysłowym z takim upodobaniem wynajdują sobie najępsze idiotki...

— Coś jeszcze? — zwrócił się do mnie Bieżan.

— W zasadzie prawie koniec, bo pan się pojawił. Wyraziła jeszcze tylko wielką nienawiść do pierwszej żony...

— A nie powinno być odwrotnie? — wyrwało się Górskiemu potępiająco.

— Pan młody, to pan nie rozumie — pouczyłam go pobłażliwie. — Przecież ona go jej odebrała podstępem tak intensywnym, że prawie siłą, a on o tym pojęcia nie miał. Barbara stanowiła dla niej życiowe zagrożenie. Pan by kochał miecz Damoklesa, który panu wisi nad głową...?

— Toteż mówię, sprawa dla bab — powiedział Bieżan gniewnie i rozgoryczeniem. — Proszę pani, ja już wszystko wiem, a nic nie rozumiem. Dochodzenie mam zamknięte na ostatni guzik, żadnych poszlak, dowody jak stąd do Australii, a jeszcze mi głupio iść z tym do prokuratury. Takiego motywu w życiu dotychczas nie miałem i nie słyszałem, żeby miał ktokolwiek, sprawca kropnął współnika z wdzięczności za pomoc...? Bo tak wychodzi. Proszę bardzo, ja chętnie z panią porozmawiam na gruncie prywatnym, może uda mi się coś z tego pojąć, jeszcze mi zostaje ostatnia nadzieja, że to może Borkowski wszystko zorganizował, ostrzegam, że wyjawiam tu pani najściślejsze tajemnice służbowe, jeśli pani cień pary z siebie wypuści...

Prychnęłam wzgardliwie. Bieżana jakby zatkało na moment, po czym kontynuował:

— Ale zbyt długo go nie było. Mam na myśli, w tej Szwecji często siedział, musiałyby mieć współnika, zleceniobiorcę, chyba też kobietę, bo żaden mężczyzna na świecie tej gmatwaninie nie dałby rady. Podejrzywałem go poważnie, ale rezygnuję. Pani mi to jakoś wyjaśni?

— Bezproblemowo. W każdej chwili. Zwracam panu uwagę na jedną drobnostkę, mianowicie jedyna rzecz, jaka naprawdę nie ma żadnych granic, to ludzka głupota. I kobiety są w tym znacznie lepsze od mężczyzn. Wytłumaczę panu wszystko bar-

dzo porządnie, tylko będzie pan musiał wyłączyć umysł i oprzeć się na uczuciach. Lepiej niech pan się zawczasu zastanowi, czego pan najbardziej w świecie nienawidzi, bez względu na sens, i co pan uwielbia, też bez względu na sens. W grę wchodzi pluskwy, karaluchy, czosnek, rude włosy, wyładowania atmosferyczne, ciasne korytarze, szybko-bieżne windy, fiołki, woń czeremchy, srebrne głosiki, koty, dźwięk fletu...

Gotowa byłam wyliczać mu przez całą noc do rana, ale przerwano mi. Do kuchni znienacka wtargnęła Zenia, owszem, pijana, ale zwyczajnie, jeszcze z resztkami świadomości i równowagi. Na widok liczego towarzystwa zastygła w progu.

— O, to pan... — powiedziała, wskazując palcem Górskiego. — To dobrze. Ona ma tu koniak w kredensie, zapasowy. Pan znajdzie? Ja wszystko powiem, bo tak dużo, to mnie się nie podoba. Pan znajdzie! Tu gdzieś u góry...

Wszyscy musieli chyba zgłupieć doszczętnie, bo Bieżan nie odezwał się ani słowem, a Górski przystąpił do przeszukiwania szafek kredensowych. Pani Jadzia nie wytrzymała, podniosła się od stołu i wyjęła butelkę z najwidoczniej doskonale sobie znanego miejsca.

Dla Zeni zmiana towarzystwa nie miała żadnego znaczenia. Nie przejawiała chęci powrotu do salonu, usiadła przy kuchennym stole i obejrzała się za jakimś naczyniem. Pani Jadzia miłosiernie wyjęła jej z ręki solniczkę i wetknęła małą szklaneczkę, w bardzo dawnych czasach zwaną angiolką. Sama posiadałam w domu jedną taką sztukę, przedwojenną.

Zenia, jako rozmówcę, uparcie dostrzegała tylko Górskiego.

— To ja panu powiem — powiadomiła go konfidencjonalnie. — To już dawno było, przeszło cztery lata, ja, tak prawdę mówiąc, sama go chciałam poderwać, ale on jak mur. Czy to ja, czy stara Ziemiańska, ona już na emeryturę szła, czy jaki pies albo koń, czy ten taki sugiszimi, jak oni się... wielkie, grube... czy Stalin, nie, taki więcej brodaty, o, Werhy... nie, Wernyhora... czy, bo ja wiem, koza... To jemu było wszystko jedno. Jak ślepy. Nic. A Urszulka się zaparła. To przez żonę, a ona mu tę żonę z głowy wybije, zaparła się, sama byłam ciekawa... Dużo nie gadała, z niej co wydusić, to już lepiej wodę z kamienia... Ale człowiek nie bydlę, pogadać musi, czasem mu się co wyrwie, no i jej też... A ja byłam ciekawa. No to nasze, dlaczego pan nie pije, pan też mnie za takie gównu uważa? Jak ten cały Stefan cholerny...? Pan co, nie człowiek...?

Realizując niezłomny zamiar zaczekania z winem, aż wrócę do domu, trzeźwa byłam jak świnia i z szalonym zainteresowaniem oglądałam spektakl. Komisarz Górski rzucił na Bieżana rozpaczliwe spojrzenie, Bieżan bez słów, tajemniczymi odrobinami gestów, dał mu do zrozumienia, że ma się przystosować, pani Jadzia, jednostka przytomna, podetknęła mu drugą angiolkę, skąd oni tyle tego mieli, tak długo po wojnie...? A, może nie z Warszawy, prowincja uchowała się lepiej... Górski z determinacją nalał sobie, dolał Zeni, uniósł naczynie do ust i nawet trochę wypił.

Zenię to najwidoczniej usatysfakcjonowało.

— Potem te plotki poszły — podjęła tajemniczo. — Ulka ze łzami, niby to nie dopuszczała do Stefana, a gównu prawda, z tymi łzami latała, aż spytał o co. Do komputera to ona była jak krowa, do niczego w ogóle, znaczy te, jak to tam było, do łóżka siła fachowa... O, nie pamiętam dokładnie. No i tu jeden gadał, tam drugi, wcale nie wierzyłam, wyrwała jej się prawda, przyjaciółkę ma taką, ufarbowała się na rudo, na kolor Barbary... I te sztuki robiła, o, nie zaraz się dowiedziałam, popatrzyłam sobie, Borkowskiego żonę obejrzałam z bliska, a potem tę Felę... Ona nawet nie wiedziała, że ja wiem... Napatoczył się ten Miecio, narzeczony, co mi się napłakał, drugiej takiej na świecie nie ma, palant głupi, każdy chłop od tej dupy zgłupieje... Ja się wcale nie wyrażam, ale tak to było. Podobno ona w łóżku strasznie niezwykła, pytałam oślicę, nic nie powiedziała, tylko ten uśmieszek miała na mordzie jakiś taki... Nie mógł pan sprawdzić? Co z pana za mężczyzna...?! Pijmy, nasze zdrowie!

Komisarz Górski prawie już przestał łupać okiem na zwierzchnika, gorliwie spełniał obowiązki służbowe. Zenia była w rozpędzie.

— Pan myśli, że mi co powiedziała? Gównu! Sama wszystko zgadłam, potem ja jej powiedziałam, na wszystkie świętości mnie zaklęła, żebym gębę trzymała na kłódkę, bo już ten głupek na nią leciał, za Indie, Chiny i całą Australię nie wiem, jak ona to robiła, tyłkiem mu kręciła przed nosem czy jak...? Nie do pojęcia! No, a potem się z nią ożenił, nawet szkoda mi było tej Barbary, ale myślałam sobie, że na co jej taki kretyń, już lepiej... tego... bezrobocie... ale ona wyszła do przodu. Bystra facetka. A potem zbrodnia. Nic nie wiedziałam, aż ludzie gadać zaczęli, a potem pan przyszedł, więc myślałam sobie, że Barbara nie wytrzymała, kropnęła tę Felę, a tu pan o Ulkę pyta... Poleciałam do niej, no i proszę! Nie Barbara, tylko ta żmija, mało jej było, że ją wykończyła, jeszcze chciała i to na nią zrzucić... A ja wiem dlaczego, bo ten przygłupek, Borkowski, chyba się w końcu połapał, że takie gównu umysłowe sobie wziął, ona dobra była tylko do tych takich... Do chłopca znaczy... Może rozmawiać z nią chciał albo co...? O, do rozmowy, to ona była nawet dla mnie za głupia!

Niezwykły samokrytycyzm Zeni musiał wstrząsnąć komisarzem Górskim, bo bez żadnego nacisku dolał koniaku do obu naczyń. Milczenie w kuchni Borkowskich panowało kamienne i chyba wysoce sugestywne, bo nawet nowy człowiek, przynajmniej nowy dla mnie, który pojawił się w drzwiach, też zastygł niczym rzeźba z dowolnego materiału.

Zenia nie dostrzegła żadnych zjawisk otaczających.

— A ja teraz przyleciałam i ona sama się przyznała... Ta Fela to jakaś taka... Wariatka, nie? Wyrwało się Ulce, że już na samym początku takie żarciki sobie robiła, do Barbary próbowała dzwonić, że mąż za sekretarką lata, ledwo jej Ulka słuchawkę z ręki wydarła... A w ogóle spodobało jej się i forsę chciała... Ta głupia jej płaciła za udawanie, a teraz



miała płacić, żeby przestała, to wariactwo jakieś, nie? Ulka się bała, że do Borkowskiego dojdzie, bo już mniej na nią leciał, samo łóżko mu nie wystarczało, jakieś tam takie miał grymasy... O Jezu, ona głupia! I świnią! Na bazarze spluwę kupiła, nie wiem za ile, Fela się zapierała do Chmielewskiej na wywiad jechać, no to niech będzie, podwiozła ją i kropnęła! Własną ręką! I na Barbarę chciała zwalić, że niby ona nie wytrzymała, podrzucić jej... No nie, to już za dużo! A ta Fela okropna, na lody się uparła, żarła w samochodzie, wywaliła na siebie, do Chmielewskiej w zapaćkanym zakiecie nie pójdzie, dojść nie mogłam, która tak nie chciała... Ulka całkiem ją odmawiała, dom ominęła, dół był dalej czy coś... Wróciła, Fela swoje, nie wytrzymała, mówiła, że ją rozpacz ogarnęła, akurat, teraz rozpacz, było wcześniej myśleć... Kropnęła i uciekła. Myślała, że w życiu na nią nie padnie, żywa dusza nie wiedziała, że ona i Fela to przyjaciółki, Fela pary z pyska nie puściła, bo jej się balanga podobała, aż tu nagle gliniarz przyleciał! Do niej, znaczy, do Ulki. I głupie pytania zadawał i tak dalej... No to się zdenerwowała i całkiem nie wiedziała, co robić, a i spluwę, i klucze od mieszkania Feli ciągle miała, bo chciała Barbarze podrzucić, a Barbary nie było, ani jej samochodu...

W tym miejscu Zenię zmoгло. Wsparłszy ręce na stole, a głowę na rękach, zasnęła martwym bykiem w jednym mgnieniu oka. Komisarz Górski, trzymający się nieporównywalnie lepiej, wręcz znakomicie, zastygł z angielką, uniesioną ku ustom. Przez chwilę panowało ogólne milczenie.

— Jeśli pan tego nie nagrywał... — zaczęłam złowieszczo.

— Naprawdę nie rozumiem, dlaczego pani musi mnie uważać za idiotę — powiedział Bieżan z wyrzutem. — Nie mieliśmy dotychczas kontaktów, świadczących o moim upadku umysłowym. Skąd pani biorą się takie poglądy?

— Najmocniej przepraszam, z zaskoczenia chyba — wyznałam z zakłopotaniem. — Nie mógł pan się przecież spodziewać aż takiego plonu? Cud zwyczajny, że tu byłam, podejrzewałam to wszystko, ale wie pan... obawiam się, że moja głupota jest jakoś inaczej ukierunkowana... W taką stronę aż tak daleko by nie poszła...

— A, bo pani jest kryminalistka — odparł podinspektor pobłażliwie i podniósł całą ekipę od stołu.

— No, do roboty. Panie będą świadkami...

W kuchni pozostała wyłącznie błogo śpiąca Zenia.

\* \* \*

— Nie! — krzyknęła Martusia strasznie. — To niemożliwe! To nie do wiary!

Przyświadczyłam, że nie do wiary, ale za to prawdziwe. Wracając do domu, wstąpiłam do całodobowego sklepu i dokupiłam piwa, bo wiedziałam, że bez długiej nocnej Polaków rozmowy się nie obejdzie, ona nie popuści. I miałam rację, w oczekiwaniu na mój powrót wytrąbiła już prawie całą zawartość lodówki, więc nowy zapas bardzo się przydał.

— Wcale bym tyle tego nie wypila — powiedziała na wstępie — ale jak twój telefon zaczął dzwonić na twoim biurku, bardzo się zdenerwowałam i co miałam robić? Koty już nakarmiłam, więcej nie chciały!

Rzeczywiście, zapomniałam o komórce i zostawiłam ją w domu, w żaden sposób nie można było się ze mną porozumieć. Wyjaśniłam jej, że koty to nie są wory bez dna, i od razu przystąpiłam do tematu.

— Więc sama widzisz, do czego może doprowadzić głupi upór. Ona nic innego nie miała w głowie, tylko tego Borkowskiego, wymyśliła intrygę i proszę!

— Ale jeśli była zdolna wymyślić, nie mogła być aż tak potwornie głupia...!

— Była. Nawet ta łuska od pocisku nie przyszła jej do łba. Gdyby wyczyściła samochód, klucze Feli i kopyto wpuściła do kolektora, nawet porządnych poszlak by nie mieli...

— Nie uwierzę, że nie zrobiła tego z samej głupoty!!!

— Uwierz, uwierz. Czekał, otworzę sobie drugą butelkę, bo jeden kieliszek z poprzedniej to za mało. Ale właściwie słusznie nie wierzysz, ona tak nienawidziła Barbary, że nie mogła się odczepić od chęci zwałenia na nią jeszcze i tego. Przedobrzyła.

Martusia gwałtownie chwyciła nową puszkę i pomilczała przez chwilę.

— No nie, taka nienawiść to destrukcja — oznajmiła stanowczo. — Przesada. Szkoda życia. Całe zmarnowane na jedną nienawiść, co za rozrzutność!

— Toteż w tym właśnie leży sedno głupoty — stwierdziłam pouczająco i nie wiadomo dlaczego z wielką satysfakcją. Chociaż nie, wiadomo, sama kiedyś zrezygnowałam z zemsty, bo najzwyczajniej w świecie brakowało mi czasu, i teraz miałam z tego nadzwyczajną uciechę. — Tylko w wypadku, jeśli nie masz kompletnie nic innego do roboty, możesz się poświęcić nienawiści i mszczeniu, szczególnie jeśli ci to sprawi przyjemność, a, to owszem. Ale nawet i przy czymś takim trochę rozumu trzeba mieć.

— A ona nie miała. Wiesz, znam różne głupie baby... głupich facetów też... ale taki rozmiar przekracza moje możliwości. Z czego ty właściwie jesteś taka zadowolona? — spytała nagle podejrzliwie.

— Bo nareszcie wszystko zrozumiałam. Uwielbiam wszystko rozumieć!

— Dziwne masz jakieś upodobania...

— A najbardziej mi się podobają te telefony do Barbary. Mówiła o nich, mówiłam ci, one mi nie pasowały, jej też nie, okazuje się, że to ta Fela takie żarciki lubiła. Jak jej Urszulka stawała okoniem, od razu pazury pokazywała, a Urszulka wcale nie chciała, żeby do Barbary smród spod męża dolatywał. Ugięła ją tym bardzo ładnie, dwa wystarczyły.

— I to wszystko o jednego chłopca! — wykrzyknęła Martusia ze zgrozą. — Co on ma w sobie, ten Borkowski?! Na konkursie ogierów złoty medal dostał czy jak...?

— Co do ogierów, nic nie wiem, możliwe, że niezły, ale oprócz tego z chwili na chwilę coraz bogatszy, wyższa sfera...

— Zwariowałaś? — zgorszyła się Martusia.

— To nie ja, to Urszulka. Co ty myślisz, te ambasady, te bankiety, te pięciopokojowe apartamenty... Te kiecki, precjoza... A on w dodatku monogamista, żonę na świeczniku ustawia, dla Urszulki to był co najmniej tron u boku bizantyjskiego cesarza...

— Dlaczego akurat bizantyjskiego?

— Najsztyniejszy ceremoniał stosowali. Mogło być jeszcze u boku ruskiego cara, też świecili oprawą, ale u ruskich stanowisko było niepewne, oni nigdy nie mieli rzetelnej stabilizacji...

— Tylko mi nie zaczynaj z historią, bo się pogubię! No dobrze...

— Zaraz. Parę zdjęć tam widziałam, za świadka robiłam przy rewizji, gliny nie lubią tego słowa, wołają przeszukanie. Złego słowa nie powiem, Borkowski w oko wpada i robi wrażenie, ho, ho! Stuprocentowy mężczyzna, teraz już tacy w zaniku, nie jojczy ci na łonie, tylko wszystkim daje radę, czy to Alaska, czy dzika puszcza, czy środek Europy, rozszalały bandzior czy narowisty koń, wzory chemiczne czy latająca siekiera, ognisty mazur czy cytaty z Sofoklesa, przegrasz w kasynie milion, nie szkodzi, z czułym uśmiechem wyjmie go z kieszeni...

— Nie przegram! — zarzekła się Martusia gwałtownie. — Rozumiem niby wszystko, co mówisz, ale co to jest latająca siekiera?

— Ta moja, parę tygodni temu. Jak się człowiek dobrze zamachnął, żelazo leciało gdzieś tam, cud, że mi żadnego okna nie wybiło, bo siekierzysko wyszło.

— I co?

— I nic. Już nie lata.

— Bo co?

— Bo zostało rozparte wkrętami i namoczone w rzadkiej farbie z rozpuszczalnikiem. Teraz stanowi monolit.

Martusia zamyśliła się na chwilę.

— I Borkowski by wkręcał i moczył...?

— Wkręcał — poprawiłam. — Wkręty się wkręca. Jeśli nawet nie własną ręką, to wzięłby człowieka i wiedział, co należy zrobić. Na takiego wyglądał. Na tych zdjęciach. Wygląd rzecz złudna, ale sądząc po otaczających go uczuciach płomiennych, coś z tego wszystkiego musiał w sobie mieć.

— Forsę — zaopiniowała Martusia po kolejnym, krótkim namyśle. — Z wierzchu najlepiej widoczna. Brody nie miał...?

— Nie, nigdy w życiu, nic ci na to nie poradzę. Ale czekaj. Zaraz. Nikt nie składa się z samych zalet, normalny człowiek wady mieć musi.

— No...?

— To piękny chłopak. I taki... no, dorodny. Założmy, w szkole miał piątki z matematyki i z fizyki, może nawet z polskiego, ściągę dawał, bić się umiał, wykop miał, rozryw-

ki rozmaite organizował, przewodnictwo samo mu wchodziło w ręce, dziewczyny mu się przypodchlebiały, przywykł do tego, że jest najlepszy. Najlepsze się należy, nie? Wielbią go wszyscy, no, wyobraź sobie, że ty albo ja... Nie, lepiej ty, jesteś bardziej okazowa...

— Oszalałaś...?! — przeraziła się Martusia.

— Nie mam na myśli, że ważysz trzysta osiemdziesiąt kilo...

— Na litość boską, dlaczego trzysta osiemdziesiąt kilo...?! —

— Tyle ważył okazowy knur na wystawie rolniczej na Służewcu — wyjaśniłam niecierpliwie — ale nie o to chodzi. Jesteś z telewizji, instytucja poniekąd dla oczu, możesz się pokazywać...

— Nie chcę...!!!

— Ale możesz. Jesteś najlepsza, co zrobisz, to ci wychodzi wystrzałowo, od pierwszej chwili, przywykasz, ciągną cię, podlizują cię, najwyższe stawki kombinują...

— A cóż ty za niebo przede mną roztaczasz...?

— Nie zwracaj uwagi. Najlepsza jesteś i wiesz, że jesteś słusznie, i nagle ktoś cię byle jak traktuje. Jak pierwsze lepsze pomietłło, sam też uważa, że jest lepszy, chociaż w innej dziedzinie. No przecież nie zniesiesz tego, nie? Nie przyznasz się przed samą sobą, bo żaden z ciebie megaloman, głupia zarozumiałość odpada, taka chcesz być sprawiedliwa, a tu chała. W wątpia cię gryzie, coś tam ci się wydaje nie tak jak trzeba, bezwiednie wejdziesz w szranki. I już ta szafa zgrzyta, zamiast grać...

Cała moja przyjaźń z Martusią polegała na tym, że w mgnieniu oka łapała moje najdziwniejsze nawet przerośnię, najbardziej obrazowe porównania, najtrudniejsze skróty myślowe, dokładała się do nich spontanicznie i z własnej inicjatywy. Niczego nie musiałam uściślać.

— I w dodatku ja jestem kobietą, a Borkowski to facet? — powiedziała z przejęciem. — Ja bym zniosła, on nie. Stoi na tym cokole, a to świecące w kółko dookoła głowy mu lata. I żadna baba nie na klęczkach nie ma u niego szans. To miałaś na myśli?

— No właśnie. Grubo mówimy i ogólnie przesadzamy, a to delikatne, chociaż w życiu codziennym wyłazi. I tak długo z Barbarą wytrzymał, ona człowiek, a nie kapłanka, ale jak mu Urszulka kadzić zaczęła, nagle się w nim potrzeby duszy ocknęły. Proszę, został doceniony!

— I stąd ten jego cały wygląd...

Milczałyśmy przez długą chwilę, bo właściwie impreza od podszewki stała się dla nas zrozumiała doskonale. Wiedziała Urszulka, w co puknąć...

— Wróci teraz do pierwszej żony? — zastanowiła się Martusią.

Skrzywiłam się serdecznie.

— Po takiej kompromitacji? Mowy nie ma! Żadne z nich tego nie wytrzyma, ona już by go wielbić nie mogła, a on braku uwielbienia nie zniesie. Coś innego sobie znajdują,

a jego czeka niespodzianka, bo nikt go w tej Szwecji o niczym do tej pory nie zawiadomił. I osobiście uważam, że dobrze mu tak.

Martusia całkowicie zgodziła się ze mną. Musiałam jeszcze raz powtórzyć wszystko, co słyszałam i widziałam, upewniając ją, że naprawdę Urszulka broń palną i klucze Feli trzymała wśród ścierek kuchennych, zapewne przekonana, iż schowek jest nie do wykrycia. Po czym wreszcie postanowiliśmy pójść spać.

Martusia jednakże zatrzymała się nagle na schodach, wiodących do gościnnego pokoju.

— Czekaj — rzekła niespokojnie. — Czy nie powinnaś teraz zadzwonić do tej żywej Borkowskiej? Do Barbary? Jej się chyba należy, nie?

— Zwariowałaś? O tej porze?

— Na takie przecudowne wiadomości każda pora dobra, a poza tym i cóż takiego? Dwadzieścia po dwunastej, wielkie rzeczy! Ty byś się nie ucieszyła, gdyby ktoś ci coś podobnego opowiedział nawet w środku nocy?

Popatrzyłam na nią. No owszem, ucieszyłabym się...

\* \* \*

Agata zainteresowała gospozię całą sensacją do tego stopnia, że już drugi kolejny wieczór spędzała u mnie, gospościa wyraziła zgodę na nocleg u niej pod warunkiem usłyszenia dalszego ciągu. Miałam wrażenie, że zaczynamy się powtarzać i w kółko omawiamy to samo, ale uczuć, doznań i wątpliwości było w tym tyle, że wystarczyłoby chyba do skończenia świata.

Telefon mnie zaskoczył. Kto, na litość boską, może do mnie dzwonić prawie o wpół do pierwszej w nocy...?

— Mam nadzieję, że nie Stefan? — powiedziała Agata zgryźliwie.

Wzruszyłam ramionami i podniosłam słuchawkę. Nawet jeśli Stefan, to i cóż takiego, zawsze mogę ją odłożyć i wyłączyć urządzenie.

— Nie będę pani przepraszać za późną porę — powiedziała z tamtej strony Chmielewska. — Nie mam czasu na głupstwa. Przed dwiema... nie, nie dwiema, co najmniej czterema godzinami byłam świadkiem zeznań pani Borkowskiej numer dwa, Urszulki, czynionych wprawdzie po pijanemu, ale bez wątpienia prawdziwych. W domu pani byłego męża. Razem ze mną świadkami byli: pani Jadzia, podinspektor Biezan i komisarz Górski. W różnym zakresie, kto przyszedł wcześniej, słyszał więcej, kto później, ten mniej, pani Jadzia była pierwsza. Chce pani streszczenie?

— Chcę! — powiedziałam z dziką siłą.

— Urszulka kropnęła Fełę, w nerwach, bo Fela uparła się kontynuować przedstawienia przeciwko pani, a Urszulka chciała przestać. Fela żądała forsy. Łuskę po naboju i rozmaite mikroślady znaleziono w samochodzie tej... co ma właściwie najmniejszy

móźdzek...? Bo kura to komplement, dżdżownica...? Wie pani coś o dżdżownicy, ma ona w ogóle jakąś umysłowość? Kopyto i klucze od mieszkania Feli trzymała w domu pod ścierkami, w celu podrzucenia ich pani przy najbliższej okazji. Nienawidziła pani, na własne uszy to słyszałam, a wielce szanowny małżonek zaczął chłonać... nie, chłodnąć...? Ochłonał albo ochłódł, co za idiotyczne słowa, gramatycznie skomplikowane, wychodzi tylko w czasie przeszłym, forma dokonana, jak je przedstawić w czasie teraźniejszym...? Bo jeśli chłonał, to jest całkiem co innego...

Zgłupiałam od tego telefonu tak przeraźliwie, że spróbowałam się wdać w dywagacje językowe.

— Ochłódniwał...? — powiedziałam niepewnie.

— Nie najlepiej — skrytykowała Chmielewska. — Powinnam to wiedzieć, ale możliwe, że emocje mi umysł naruszyły. Coś tam, w każdym razie, małżonek negatywnego okazał, więc bała się panicznie ujawnienia afery. I pieniędzy jej zabrakło, a Fela żądała. Za poniechanie przedstawię. Koniec streszczenia. Wszystko sama święta prawda, udokumentowana, żadnych wątpliwości. Powinno pani być przyjemnie, dobranoc.

Odłożyłam słuchawkę i popatrzyłam na Agatę. Przyszło mi na myśl, że w życiu nie widziałam równie osłupiałej ludzkiej istoty.

— Coś ty powiedziała...? Ochłódniwał...? Specjalnie zapamiętałam! Co to było...?!

Jeszcze przez chwilę nie byłam w stanie ubrać w słowa euforii, jaka się we mnie rozszała. Ponadto jej rozmiary chciałam ukryć nawet przed Agatą.

— Nic — powiedziałam z wysiłkiem. — Chmielewska dzwoniła. Podobno dopadli mojej następczyni w stanie nadużycia i to ona kropnęła przyjaciółkę Felę... Mają dowody. Ze strachu.

Agata powolutku zmyła z siebie wyraz osłupienia, przyjrzała mi się uważnie, obejrzała stół, no, rzeczywiście, nie wyglądał zbyt zasobnie, kawa i wino, zajrzała do szafki, wydłubała koniak, pół butelki stało gdzieś tam w kącie. Nalała mi od serca, sobie też, stanowczym gestem zmusiła mnie do wypicia.

— Teraz powiedz porządnie, co ona ci powiedziała! — zażądała z naciskiem.

Opanowałam się, powtórzyłam całą rozmowę z komplikacjami gramatycznymi włącznie. Agata nalała sobie dodatkowo.

— Szampana nie masz? — spytała po chwili. — Szkoda... Nic, przyniosę jutro. Najdroższy, jaki znajdę w tym mieście. Więc jednak...! Ona się chyba nie wygłupiała, pierwszy kwietnia po drugiej stronie roku... Rozpoznałaś ją po głosie?

— Rozpoznałam.

— Więc jednak ta kurwa...? No i popatrz, jak się wszystko zgadza! Co za oślica jakaś, nie, przepraszam wszystkie oślice, nie mam dla niej porównania, istnieją chyba skorpiony płci żeńskiej...?

— Skorpion sam z siebie nie atakuje — skorygowałam słabo. — Musi się czuć zagrożony...



— Widziałaś?

— Widziałam. Uciekł.

— Wszy, pluskwy i karaluchy — rozważała Agata jakoś okropnie naukowo. — Nie, też nie, one gryzą dla życia, nie ze złośliwości. Staram się straszliwie wykombinować cokolwiek gorszego niż człowiek, ale sama widzisz, że mi źle wychodzi. Znasz jakiegoś obrzydliwszego ssaka?

Nie miałam w tym momencie głowy do ssaków, wysiliłam się jednak i nie znalazłam żadnego. No, owszem, mignęła mi gdzieś jakaś walka jeleni o łanię, ale to chyba nie było to...

— Chcesz może encyklopedię zwierząt...? — spytałam, wciąż niemrawo.

— Idiotka! — zirytowała się Agata. — Gdzie tej szmacie do zwierząt...?! Trudno mi w to uwierzyć, ale chyba Stefan na oczy przejrzał, a ona zaczęła się bać, że intryga wypłynie. Mówiłam ci, nie potrafiłaś uwierzyć, że to kretyn, któremu gównu na umysł padło, jasne było, że się otrząśnie prędzej czy później, proszę, proszę, jeszcze i to chciała na ciebie zwalić, ale za głupia! Zaraz, nad półgłówkami coś tam czuwa, nie Pan Bóg, kogo Pan Bóg chce skarać, temu rozum odbiera, jakaś siła przeciwstawna, nie przypomnę sobie na poczekaniu, ale ty pomyśl przez chwilę, jeśli zdołasz! Gdybyś była tu, a nie w Kołobrzegu, gdyby twój samochód stał pod ręką...!

Teraz się wreszcie otrząsnęłam, może nawet skuteczniej niż Stefan.

— Ty się puknij — rzekłam gniewnie. — Ona za głupia, żeby się włamać do mojego samochodu. Do domu też, chyba że przez dzieci, ale ja mam dzieci inteligentne, one są moje, a nie jej. Może i miała takie kretyńskie nadzieje, no i co? Co by jej z tego przyszło?

Po dość długim zastanowieniu i zniweczeniu znacznej ilości koniaku Agata odzyskała trzeźwość umysłu.

— Masz rację. To idiotka. W ostatecznym rezultacie rozum nad głupotą panuje, pod warunkiem, że głupotę do wiadomości przyjmie. Trudno mu, ja wiem. Ale niech diabli biorą rozum i głupotę, ważne, że wreszcie do jakiejś prawdy doszli! Myślisz, że Stefan na to co...?

To wiedziałam na pewno i nie musiałam myśleć wcale.

— Nic. Nie obchodzi mnie. Niech on się martwi. Dla mnie umarł, wiesz? I nagle czuję, że zaczynam żyć na nowo, wcale nie jestem stara, dzieci są po mojej stronie i jeden taki... Paweł mu na imię i co cię reszta obchodzi... W Kołobrzegu go poznałam, ale on z Warszawy i może nawet do niego zadzwonię...

Przez całe lata mojej przyjaźni z Agatą z takim poparciem chyba się nigdy nie spotkałam...

Bieżan z Górskim całą dobę spędzili pracownicy, chcąc wreszcie przekazać zamknięte dochodzenie prokuraturze. Prokurator Wesołowski, prowadzący sprawę, zdołał wykręcić się od udziału osobistego, aczkolwiek o słuszności ekspresowego wystosowania nakazu wszelkich przeszukań został powiadomiony grubo przed północą.

Bezwzględnie najtrudniejszą częścią śledztwa było przesłuchanie na trzeźwo osób, uprzednio pijanych. Nastąpiło to na końcu, bo osoby musiały porządnie wytrzeźwieć, ponadto jedną z nich trzeba było sprowadzić do komendy przemocą.

— No i popatrz, nieprawdopodobne w rezultacie okazało się prawdziwe — rzekł po tej katordze Bieżan z westchnieniem ni to ulgi, ni zgrozy. — Jak to tam było u tego Holmesa? Odrzucić niemożliwe nieprawdopodobne samo wyjdzie...

— Ślepy fart, nawet nie musieliśmy tego niemożliwego odrzucać — zauważył Robert z samą ulgą, bez zgrozy. — Ale rzeczywiście, sam z siebie człowiek by tego nie wymyślił. Motyw Borkowskiej aż się pchał, i to by każdy zrozumiał, nawet miałaby okoliczności łagodzące. Chociaż jednak poszlakówka...

— Gdyby ta... jak by tu elegancko powiedzieć... głupia gęś, sprawczyni, zdołała podrzucić jej dowody rzeczowe, mielibyśmy cholerne kłopoty. Chwalić Boga, Zenia nam się złamała. Czekaj, muszę to wszystko uporządkować.

Własną ręką Bieżan układał wszelkie dokumenty, protokoły i zeznania, nie mając najmniejszej ochoty eksponować przed całym światem swoich własnych błędów, wolał w nich grzebać osobiście. Utwierdzał się w mniemaniu, że tak głupio żadnego dochodzenia nigdy dotychczas nie prowadził, a w pomyłkach i zaniedbaniach bije w tej chwili wszelkie rekordy. Górski go nie pocieszał, bo sam żywił podobne poglądy, aczkolwiek czynił nieudolne próby usprawiedliwiania ich zaćmieni umysłowych.

— Dowód, no, dowód to dowód, dokument tożsamości — mówił niepewnie. — Człowiek spojrzy, ma nazwisko i adres... Żeby chociaż miała dwa dowody...!

— I pamiętnik z dokładnym opisem wydarzeń — powiedział Bieżan kąśliwie. — Ta kretynka, sprawczyni, narobiła tyle głupot, że włos na głowie dęba staje. A myśmy się chyba od niej zarazili.

— Ale Chmielewska zaświadczyła, że tam dalej, w tych domach, żywego ducha nie było!

— Należało sprawdzić porządniej. No dobrze, nie było, a facetka franki wieszła. I nie myśmy na nią trafili, tylko osoba postronna, co by było, gdyby sobie nie skojarzyła? Bzdura, nie bzdura, samochód należało wziąć pod lupę od razu, a nam się zachciało lekceważyć blondynki... Przeszukanie mieszkania denatki, też natychmiast, to nie, na Wyduja czekaliśmy, ja chyba musiałem na głowę upaść. Tajemnicza przyjaciółka ofiary, zawracanie Wisły kijkiem, było przycisnąć nauczycielkę, tego amanta z młodych lat, jak mu tam, Woźniaka, tego Ramona, on jeszcze siedzi, mieliśmy go pod ręką, przyjaciółka by nam sama wyszła!

— Ale motyw wskazywał na pierwszą Borkowską, to na co ta przyjaciółka...

— A no właśnie, sam widzisz, tak się mszczą zaniedbania. Borkowski mi się majaczył, było ściągnąć go z tej Szwecji na porządne przesłuchanie, to znów nie, towarzyską pogawędkę z nim odbyłem i cześć.

— Ale one obie łąły...

— Które?

— Borkowska i Młyniak...

— A co miały robić? Na ich miejscu też bym zełgał! Gdyby mówiły prawdę, wiesz, co bym zrobił? Aż mi niedobrze, jak sobie pomyślę... Posadziłbym tę Agatę Młyniak, przecież ona nie miała żadnego alibi, Borkowska w Kołobrzegu, a Młyniak ją cichutko uwalnia od życiowej zmory... O, właśnie! Też kretyński pomysł, denatka jechała samochodem z przeciwniczką, ewidentnym wrogiem, jasne było przecież, że musiała jechać z przyjaciółką, współpracowniczką, z kimś swoim! Jedno przeczy drugiemu, same niejasności, a my nic, jak te żłoby i tumany!

— Nie, to nie my — zaprotestował Robert rozpaczliwie. — To ta sprawczyni! Ona do myślenia niezdolna, ona jeszcze do tej pory nie wierzy, że wszystko wyszło na jaw!

— Ale do premedytacji owszem, zdolna. Zamiast dać forszę Feli, kupiła spluwę na bazarze, tego jej nie udowodnimy, bo tam nikt się przyzna, że sprzedawał, ale wystarczy sam fakt, że miała. Przy sobie. Nawet odcisków palców nie starła. No i te klucze, denatka żadnych kluczy nie ma, dowiadujemy się, że mieszka sama, i co? Wychodzi z domu bez kluczy? To jak mieszkanie zamyka? A my nic. W bluzeczce jedwabnej, bez kurteczki, bez niczego, a my co? Nic. Dzieci ma dwoje, chociaż nigdy nie rodziła, a my zaniedbujemy identyfikację, rany boskie...!

— Bo to wszystko takie strasznie głupie...

— A głupie, zgadza się. Tej Urszulce w ogóle do głowy nie przyszło, że istnieje coś takiego jak łuska po naboju. Uważała, że jak podrzuci Wydujowi żakiet Feli, zatrze wszelki ślad znajomości. Nie, mnie to się we łbie nie mieści... Do Feli zakradała się zaułkami, a że Cieciana na nią oczy wytrzeszcza, nawet nie zwróciła uwagi. A my się od tygodnia babrzemy nie wiadomo w czym. Spieprzone dochodzenie...

— Motyw bruździł! — zaopniował Górski z wielką energią. — To taki babski motyw, że nikt normalny by na to nie wpadł. Ale jednak ją mamy, i to przygwożdżoną dowodami, denatka u niej, mimo wszystko, bywała, zostawiła odciski palców, dzieci o jakiejś cioci Feli bąkały, najważniejszy samochód, tam już obie zostawiły, co mogły!

— Poza tym, przyznała się — przypomniał Biezan i nareszcie westchnął z prawdziwą ulgą, nie skażoną przygnębieniem. — Sama się podłożyła, że lepiej nie trzeba, liczy na to, że Borkowski wróci i z całego bagna ją wyciągnie.

— A Borkowski co? — zaciekał się Górski. — Bo nawet nie zdążyłem spytać o ten telefon do niego.

Bieżan oderwał się od segregowania papierów, odsunął trochę krzesło od biurka i łypnął okiem w kierunku małej, zakamuflowanej lodóweczki, zawierającej w sobie odrobinę napojów, służbowo wzbronionych. Pozornie służyła do konserwacji drugich śniadań, z konieczności konsumowanych niekiedy późną nocą, a szczególnie przydatna bywała w okresie letnim, kiedy taka, na przykład, kiełbasa mogłaby się zaśmierdnąć. Pomyślał, że po godzinach pracy i przekazaniu całego chłamu Wesołowskiemu chyba do lodóweczki sięgną.

Wbrew pierwotnym zamiarom kontakt telefoniczny z małżonkiem sprawczyni jednak nawiązał i odbył z nim rozmowę, z której sporządził zaledwie króciutką notatkę, chociaż rozmowa zaliczała się raczej do długich. Borkowski najpierw nie chciał rozmawiać wcale, potem usiłował mu nie uwierzyć, wreszcie potraktował sprawę poważnie i całkiem rzeczowo wyznał, co myśli.

— Nic z tego — powiadomił teraz Bieżan Górskiego z dużą satysfakcją. — Za adwokata zapłaci, ale na tym koniec. Z drugą żoną, w obliczu wydarzeń, nie chce mieć nic wspólnego, zawiódł się na niej, o żadnym morderstwie nic nie wie, ale małżonka już jakiś czas temu przestała mu się podobać. Podejrzewa, że został wprowadzony w błąd...

— Podejrzewa...! — prychnął Górski z całym potępieniem, na jakie udało mu się zdobyć.

— Przyśpiesza powrót, będzie pojutrze. Nasza droga Urszulka na kontakt uczuciowy z upragnionym małżonkiem nie ma już co liczyć. Tak mi wyszło z tego gadania, to twardy facet i w pierwszej kolejności ochroni siebie.

— Tak jak przy Barbarze...?

— Dokładnie. Nic mu się nie przyłoży, bo najgorsza jełopa zgadnie, że tajemnicy strzeżono właśnie przed nim, ma prawo być niewinny jak dziecko. A szlachetność okaże, skoro na adwokata jej nie pożałuje. Na świadka go wezwą, nie ma obawy, żadna sędzina tej przyjemności sobie nie odmówi...

— Chyba że będzie sędzia facet...?

— E tam, facet! Żaden facet tego kretyństwa nie rozgryzie, wyłgają się wszyscy i głowę dają, że za stołem usiądzie baba. To babska zbrodnia. A propos, nie wiem, czy wiesz, że ci z Wilanowa w pierwszej chwili stawiali na Chmielewską, masz pojęcie? Przed jej domem, ona nie cierpi wywiadów, facetka szła do niej na wywiad, a cholera ją wie, może skądś zdobyła spluwę i wywaliła do niej w nerwach. Taka im się myśl załęgła. Całe szczęście, że od razu im przeszło, bo i nas by jeszcze wpuścili w maliny.

— Od razu? — zdziwił się Górski.

— Od razu. Przez psa.

— A...! Pies zaświadczył, że w tym miejscu, skąd padł strzał, Chmielewskiej w żaden sposób być nie mogło. To wiem, jest w protokóle.

— No właśnie. I cały czas się dziwię, jakim cudem ta zaraza umysłowa na psa nie padła. Wygłupili się wszyscy, z wyjątkiem psa, jedyny żywy stwór, który jakiś rozum zachował i nie dał się zmacić. Odporny taki...?

Górski patrzył na szefa zarazem zakłopotany i osobliwie rozpromieniony.

— A, bo major nie wie... Ja się dowiedziałem przypadkiem. Ten pies, to wcale nie pies, tylko suka. Też płci żeńskiej. Nazywa się Beza...

Po bardzo krótkiej chwili na Bieżana spłynęła nadprzyrodzona światłość i nagle poczuł, że dzięki psu płci żeńskiej zaczyna wszystko rozumieć...

A mój kot w rezultacie nie został złapany, koniec

## Epilog nie na temat.

Wiem, o co mnie pytają czytelnicy, a szczególnie czytelniczki. Tak jest, z tym bobem to prawda, żywię się bobem od paru lat i nie tyję ani na włos. Mrożony jest nawet lepszy niż świeży, ponadto gotuje się szybciej, od chwili zawrzenia dziesięć minut wystarczy, ponieważ jest zblanszowany.

Osoby pracowite mogą sobie same zamrozić świeży, z własnej działki albo tanio nabyty na bazarze. Trzeba go przedtem obgotować, najlepiej wrzuciwszy do wrzącej wody. Pobulgotać chwilę i cześć, potem wystudzić i zamrozić, z tym że to mrożenie wymaga co najmniej -18 stopni. Także szczelnego opakowania.

Osobiście nie mroziłam, zatem odpowiedzialności za to na siebie nie biorę. Znam natomiast doskonale bób świeży, zamrożony bez owego blanszowania. Żadna ludzka siła zjeść tego nie zdoła, nawet gdyby ktoś gotował go później przez całą dobę.

No nie, przesadziłam. Istota konająca z głodu, mając do wyboru własne zelówki, korę drzewną albo ów bób, z całą pewnością wybierze bób i nie jest wykluczone, że nawet się nim pożywi. Raczej bez przyjemności.

Bób jadalny można konsumować przed telewizorem w miejsce chrupek, chipsów, orzeszków, czekoladek, słonych paluszków oraz wszelkich innych, szkodliwych dla figury, produktów. Jeśli ktoś nie lubi bobu, jest wynaturzonym dziwołagiem i niech sobie tyje, ile mu się żywnie podoba. Osobiście takiej istoty nie znam.